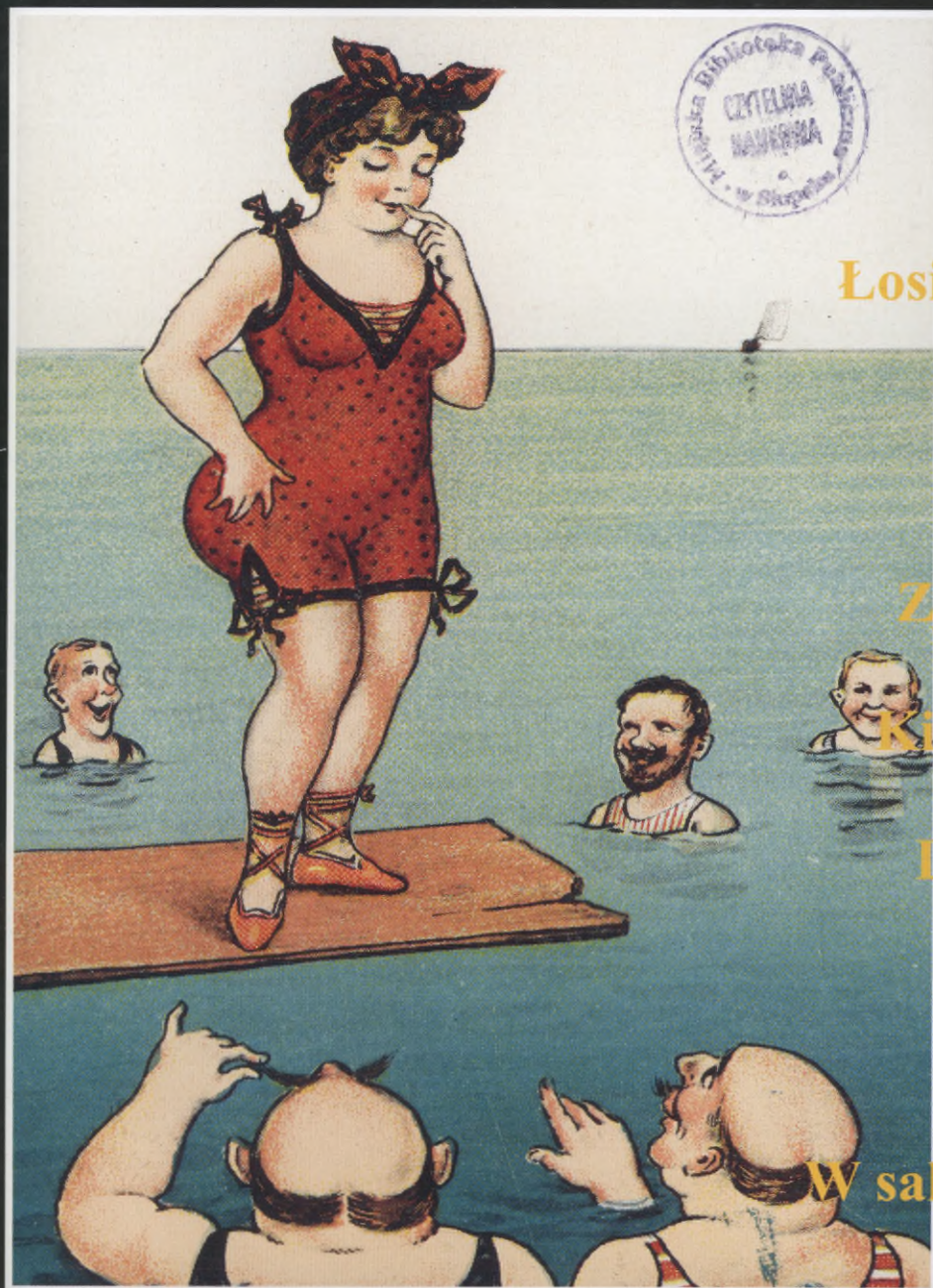


Turystycznie po Pomorzu



Pomierania

Cena 10 zł (VAT 0%) MIESIĘCZNIK REGIONALNY, nr 7-8 (389), lipiec - sierpień 2006 r. Rok założenia 1963, nr indeksu 371939 PL, ISSN 0238-9045



**Lwowianka
na Kaszubach**

Łosie z Koszowatki

**Znaleziska
spod A-1**

Zjazd Kaszubów

Kiedrowski budzi

Ludowe Talenty

**Remus między
wersami**

W salonie Uphagena

VIII Zjazd Kaszubów

Gdynia, 1.07.2006 r.



pomerania



Numer wydano dzięki dotacji:
Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa
Narodowego, Urzędu Marszałkow-
skiego Województwa Pomorskiego
oraz Urzędu Miejskiego w Gdańsku



Od redaktora

2. Listy

3. Janusz Kowalski, Pomorskie szlaki kajakowe
10. Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Szlak papieski rzeką Stupią
11. Stanisław Klimowicz, Rowerem po Szwajcarii Kaszubskiej
17. Małgorzata Marcinowicz, Ludzie listy piszą... (felieton)
18. Sulisława Byczkowska, Przemysław Borowski, DESTILINK – wymiana doświadczeń i dobrych praktyk
20. Iwona Joć, Ostoja łosi
22. Teresa Juńska-Subocz, Nigdę do zgubę nie przidać Kaszëbë
23. Marcelina Kulikowska, Wrażenia z wycieczki po Kaszubach
32. Krzysztof Szczepanik, Wakacje za (bliską) zagranicą
35. Tomasz Żuroch-Piechowski, Rób kabaret! (felieton)
36. Andrzej Mróz, Historyczne znaleziska pod autostradą A-1
38. Przemysław Borowski, Gdańsk również rolniczy
40. Michał Kargul, Remusowa kara
43. Kazimierz Ostrowski, Najpierw rzeczy pomorskie (felieton)
44. Dark Majkówski, Baszka – wspomink knôpiczëch lat
46. Edmund Szczesiak, Lew, stołem, budziciel
50. Iwona Joć, Człowiek z charakterem
52. (MA), Transcassubią do korzeni
53. D.Sz., Uroczystości jubileuszowe w Wejherowie
54. Darek Szymikowski, I Kongres Kaszubski
57. Stanisław Janke, Zrzeszenia portret własny
58. Jarosław Kroplewski, Jak Walerémũ sã udało nikògò nie őszmùlëc
61. Czesław Markiewicz, Tam, gdzie słyhać śpiew syren
66. Stanisław Janke, Poetycka zapowiedź Remusa
70. Br. Zbigniew Joskòwsczi, Wiérztë
71. Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Odija (felieton)
72. Wacław Tempski, Kaszëbë – po leśny horyzont (3)
75. Marek Barański, Salon ze starożytnym kluczem
80. Regina Szczupaczyńska, Kapela Plëskota
81. Krzysztof Kowalkowski, Jubileuszowe Ludowe Talenty
82. Lektury
87. Klëka
94. Kow., Informator regionalny
96. Rómk Drzeżdżónk, Chcemë le so zażëc (felieton)

Reprodukcja na okładce pochodzi ze zbiorów Antykwiariatu
Naukowego im. A. Krawczyńskiego w Gdańsku

Jakiś czas temu pokazywałam nasz region grupie urzędników z Niemiec. Kiedy staliśmy na platformie wieży na najwyższym pomorskim wzniesieniu – Wieżycy, jeden z nich, zachwycony krajobrazem i poznaną tu kulturą, powiedział: „Wie pani, byłem u was wcześniej, ale nad morzem. A wystarczy przecież odwrócić się do niego plecami i na kilka dni udać się w głąb łądu. Człowiek nie ma świadomości, ile traci, dopóki nie wie, jakie skarby tam się kryją”. Takie i podobne słowa obcokrajowca czy w ogóle kogoś, kto mieszka poza naszym terenem warto wziąć sobie głęboko do serca. Często spojrzenie człowieka z zewnątrz sprawia, że zaczynamy doceniać, co mamy, co zawsze mieliśmy, ale przestaliśmy zauważać. Nadaje naszemu myśleniu świeżości. Odkrywamy wówczas na nowo wartość tego, co do niedawna wydawało się nam powszednie, nudne czy prowincjonalne. Przykład mamy w niniejszym numerze. Otóż w 1909 roku na wycieczkę po Kaszubach udali się mieszkańcy Galicji, a konkretnie – Lwowa. Jej uczestniczką, Marceliną Kulikowską, opublikowała potem w odcinkach w „Kuryerze Lwowskim” wspomnienia z podróży. I to jakie! Opisała życie w Gdyni i Kartuzach w czasach, kiedy nie były jeszcze miastami, znajdujące się w nich obiekty oraz sytuacje codzienne. Autorka przelanych na papier wrażeń była także w Wejherowie i Kościerzynie. Nie stroniła od ludzi, z zainteresowaniem przysłuchiwała się kaszubskiej mowie.

Oprócz walorów krajobrazowych i kulturowych, warto w naszym regionie promować aktywny wypoczynek. Zarówno na Kaszubach, jak i na Kociewiu nie brakuje przecież szlaków wodnych i rowerowych. Z niektórymi z nich czytelnik zapozna się na naszych łamach. Niejedną ostoję znajdą u nas miłośnicy nieskażonej przyrody i ciszy, a nawet egzotyki. Co rusz też pojawiają się nowe atrakcje. Strusie zdążyły już spowszednieć, więc niektórzy sprowadzili ze Skandynawii... łosie. Ciekawe, czy w pomorskim klimacie przeżyłby kangury...?

Lato to również czas przeróżnych regionalnych festynów. Z rozmachem odbył się 1 lipca w Gdyni Zjazd Kaszubów. Tego samego dnia w Starogardzie Gdańskim świętowali Kociewiaczy.

Zapraszam do wakacyjnej lektury. (-)

Iwona Joć

Z Warmii do przyjaciół z Kaszub

Szanowni Państwo (z redakcją „Pomeranii” związani jako autorzy lub czytelnicy)! Na początku maja miałem urodziny i ze wzruszeniem dostrzegłem piękną, zdobną kartkę z życzeniami, nadesłaną mi z redakcji „Pomeranii”. Ślicznie za te życzenia dziękuję. (...) A skoro tak – są to także powinszowania dla ludzi z Kaszub, których od czasów studenckich w Toruniu po dzień dzisiejszy, a więc od ponad czterdziestu lat, poznawałem. Najpierw był to Edmund Puzdrowski, student fizyki, a potem Krystyna, jego przyszła żona (i przez lata całe podpora redakcji), a także Lech Eądkowski, torunianin, który ruchowi kaszubsko-pomorskiemu nadał nowe tempo; i jeszcze paru ludzi z Torunia, którzy na Wybrzeżu nabrali szwungu; i jeszcze uczestnicy spotkań we Wdzyńskich Kiszewskich; i jeszcze paru dzisiejszych profesorów z Uniwersytetu Gdańskiego (językoznawców, historyków i historyków literatury); poza tym pisarze i dziennikarze, i spora grupa poetów. Po prostu – siła ludu. A wszystkim po drodze było z „Pomeranią”, przynajmniej na niektórych „odcinkach” czasu. Stąd moja wycieczka w przeszłość, aby podkreślić, że zmiany, jakie zachodziły i zachodzą, mieszczą się w ciągłości kulturowej. Jeśli więc dziękuję obecnej redakcji za przysłane mi życzenia urodzinowe, to w jakiejś mierze jest tak, że podziękowaniami chciałbym objąć wszystkich, którzy krążyli wokół Kaszub. (-)

Erwin Kruk

Fragment listu nadesłanego do redakcji

Jeszcze o kościerskim muzealnictwie

W majowym numerze „Pomeranii” Krzysztof Jażdżewski napisał o początkach kościerskiego muzeum. Rzeczywiście, historia tej placówki sięga 1963 r. Chcę jednak uzupełnić te informacje. W latach 1870-1885, kiedy Konstanty Damrot był dyrektorem Seminarium Nauczycielskiego w Kościerzynie,

znajdowała się tam spora kolekcja „starożytności”, czyli zabytków archeologicznych pochodzących z przypadkowych odkryć. Byłby to zatem najstarszy ślad muzealny w Kościerzynie. O ile mi wiadomo, za dyrekcji następcy Damrota, ks. Augustyna Rosentretera, większość kolekcji została przekazana do nowo powstałego Muzeum Prowincjonalnego Prus Zachodnich w Gdańsku. (-)

Prof. Tadeusz Grabarczyk

Po długiej i ciężkiej chorobie
zmarł 1 lipca br.



Rajmund Bolduan

– dziennikarz i redaktor, przez całe swoje życie zawodowe związany z „Dziennikiem Bałtyckim”. Był młodszym bratem śp. Tadeusza Bolduana, publicysty i działacza regionalnego, synem przedwojennego burmistrza Wejherowa – Teodora Bolduana.

Wyrazy głębokiego współczucia
z powodu Jego śmierci
składa Rodzinie

Prezes

Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
Artur Jabłoński

wraz z Zarządem Głównym i redakcją „Pomeranii”

pomerania

Adres redakcji:

80-837 Gdańsk, ul. Straganiarska 21-22
tel. 058/301-27-31, 058/301-90-16
faks 058/346-26-13
e-mail: red.pomerania@wp.pl

Redakcja: Iwona Joć (redaktor naczelna),
Marek Adamkiewicz (sekretarz), Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Łukasz Grzędzicki, Iwona Makurat, Wojciech Makurat

Magdalena Leyk - kolportaż i prenumerata
e-mail: mleyk@simplusnet.pl

Kolegium: Edmund Szczesiak (przewodniczący), Jerzy Dąbrowa-Januszewski, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Kleina, Kazimierz Ostrowski, Wiktor Pepliński, Stanisław Pestka, Bronon Synak

Projekt graficzny: Anna Kościukiewicz

Projekt okładki: Iwona Joć, Janusz Kowalski

Wydawca: Zarząd Główny Zrzeszenia

Kaszubsko-Pomorskiego

Konto: Bank Millennium

41 1160 2202 0000 0000 5171 0863

Druk: Drukarnia WL,

ul. Elbląska 66, 80-761 Gdańsk

tel. 058/301-44-18, 058/305-35-30

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
artykułów oraz zmiany tytułów.

Prenumerata

w redakcji: osobiście
lub przekazem, w każdym czasie

w jednostkach Ruchu

na pocztę lub u listonosza; także
na stronie internetowej pocztą
www.poczta.lublin.pl/gazety

Numery archiwalne w cenie 5 zł.
do nabycia w siedzibie redakcji

Pomorskie szlaki kajakowe



W województwie pomorskim są znakomite warunki do uprawiania kajakarstwa

Fot. Iwona Joć

Janusz Kowalski

Kierowane są do mnie czasem takie zapotrzebowania: Opisz szlaki kajakowe w województwie gdańskim (dawniej) lub pomorskim (obecnie). Otóż są to życzenia formułowane fałszywie. Wszystko, co dotyczy problematyki wodnej, np. zlewni, może bowiem być sensownie rozpatrywane tylko w ich obszarach, a przecież nie pokrywają się one z granicami administracyjnymi.

Jeden kajak, jeden namiot, bywa że tylko jeden śpiwór

Kajakarstwo jest turystyką wybitnie dwuosobową. Mało jest kajaków jedno- lub trzyosobowych. Podobnie jest ze sprzętem biwakowym, który z reguły pomyślany jest dla pary osób. Nawet gdy spływ jest masowy, z możliwością jego krajoznawczego (opłaceni fachowi przewodnicy po atrakcyjnych obiektach) i towarzyskiego (wspólne boczne wycieczki piesze, ogniska, śpiewy, tańce, hulanki, swawole) urozmaicania, to zawsze podstawową jednostką tych turystycznych włóczęg jest dwoje ludzi.

W odróżnieniu od wczasów ograniczonych sztywnymi terminami (typowe są 2-tygodniowe), wypoczynek turystyczny, w tym i kajakowy, można planować na dowolny okres. Preferowane są wyjazdy od soboty (praktycznie od piątkowego popołudnia) do następnej niedzieli i wyjazdy weekendowe. Te ostatnie nierzadko realizowane są na raty, tj. kolejnymi odcinkami tej samej rzeki (trasy) z przerwami w dniach roboczych.

Innymi okolicznościami, wpływającymi na wybór wodnego szlaku, jest to czy ma się sprzęt własny, czy pożyczany (kajak sztywny albo składany, lub sprzęt pokrewny, np. ponton) oraz czy dysponuje się samochodem (z ba-

gażnikiem stosownym do przewożenia kajaka sztywnego), a może korzysta się z PKS lub PKP. Uwzględniając te okoliczności, preferując przy tym korzystanie z komunikacji autobusowej, przedstawiam dwie grupy pomorskich szlaków kajakowych.

Trasy rzekami uchodzącymi do morza

Reda dostępna jest dla kajaków już poniżej młyna w Strzebielinie, ale dojazd tu PKS z Wejherowa jest marny, więc polecam położone ponad 10 km dalej Zamostne, gdzie można wodować 200 m od przystanku autobusowego. Po drodze przenoska przed sztucznym jeziorem Orle (3,5 km trasy), a dalej (9 km) po prawej w sosnowym lasku biwak.

Prawie do tego miejsca można też dopłynąć 4 km Bolszewką z Gościcina (PKP 50 m od rzeki). Po drodze dwie łatwe przenoski po 20 m.

Od ujścia Bolszewki do Redy (9,5 km) po prawej Wejherowo, a za nim po lewej biwak (24 km). Dalej meandry i kilka przenoszeń (w tym jedno niewygodne w Redzie – 29 km).

Od ujścia rzeki do Zatoki Puckiej (39,5 km) należy kierować się w prawo do początku wsi Rewa (41,5 km), gdzie 50 m do PKS.

Piaśnica dostępna jest od przystanku PKS Elektrownia Wodna „Żarnowiec”, skąd płynie się 1 km kanałem z głównego zbiornika tej elektrowni do J. Żarnowieckiego. Po lewej (2,5 km trasy) pole biwakowe, dalej (3,5 km) Nadole z licznymi atrakcjami.

Vis a vis Nadola (5,5 km) na prawym brzegu 400 m od niego Góra Zamkowa, o wysokości 93 m ponad wschodnim brzegiem, z grodziskiem. Płynięcie przy prawym brzegu obok pola namiotowego w Lubkowie (8 km) i dalej do wypływu rzeki (10,2 km), a następnie prosto do rezerwatu florystycznego Piaśnickie Łąki (13,7 km) ciągnącego się 1,1 km na lewym brzegu rzeki. Koniec spływu (14 km) przy polu namiotowym, skąd jest 500 m do PKS w Dębках. Można też po wypłynięciu na morze udać się w prawo 10 km do Karwi mającej liczne połączenia PKS z Puckiem i Gdynią.

Łeba wiosną jest dostępna już od J. Sianowskiego w powiecie kartuskim, ale latem aż do Lęborka brakuje w niej wody. Zygmunt Wrześniowski i Marek Sperski o 20-kilometrowym odcinku Łeby Tłuczewo – Bożepole Wielkie napisali, że jest on „dostępny tylko dla wprawnych”, a o innym, że jest „niezwykle uciążliwy z powodu zarastania, niskich kładek i zatorów”, więc nawet wiosną, gdy jest w rzece sporo wody, najlepiej kajak przewieźć 8 km od Bożegopola do Godętowa koleją lub samochodem. W opisie tym pomijam górną połowę Łeby, jako że jest to trasa tylko dla specjalnych amatorów, której pokonanie zadają kaptani-kajakarze (był nim Jan Paweł II) spowiadającym się u nich szczególnie grzesznym wiosłarom.

Wędrówkę pozostałą częścią Łeby zaczniemy wsiadając w Gdyni o 9.09 do pociągu jadącego bezpośrednio do Łeby, a z którego trzeba będzie wysiąść o 10.24 na przystanku Lębork Nowy Świat (ten pociąg kursuje tylko od 1 VII do 31 VIII), skąd jest 300 m do rzeki. Tu Łeba jest już uregulowana. Po godzinie płynięcia, na prawym,

wysokim brzegu (10 km trasy) spostrzeżemy miejsce nadające się do obozowania, jedyne na całym szlaku. Trzeba z niego skorzystać, bo następne będzie dopiero na prawym brzegu rzeki w Gaci u jednego z gospodarzy (44,3 km), skąd widać już j. Łebsko.

Jeżeli fala na tym jeziorze będzie niebezpieczna, to raczej należy zakończyć tu wanogę i udać się PKS 20 km do Słupska. Decydujący się na dalszą wędrówkę niechaj płyną lewą odnogą rzeki na jezioro (45 km), a następnie na prawo, do wypływu rzeki w stronę miasta Łeba (55 km). W nim od pierwszego mostu (56,8 km), w prawo ulicą Sienkiewicza do stacji PKP i przystanku PKS jest 200 m.

Można też w ostatni dzień wanogi Łebą od Gaci płynąć jeziorem Łebsko w zachodni jego kraniec (56 km) do kanału długości 10 km łączącego go do jezioro z j. Gardno (po drodze 3 łatwe przenoski), a tym jeziorem w lewo do wsi Gardna Wielka (70,2 km wędrówki), skąd odjeżdżają autobusy PKS do Słupska.

Kolejną trasą w tej grupie jest Łupawa, zaliczona przez PTTK do rzek górskich. Wędrowanie nią zaczyna się od leśnictwa Soszyca położonego na brzegu j. Obrowo, gdzie jest przystanek PKS trasy Bytów – Rokity. Są tu miejsca dogodne do biwakowania. Po 1 km płynięcia tym jeziorem jest z niego przepływ na j. Jasień (1,5 km trasy). Tu widać wyraźnie, w którą stronę trzeba płynąć: najpierw do przewężenia jeziora we wsi Jasień (4,5 km), a dalej wzdłuż lewego jego brzegu do Zawiatu (9 km), gdzie pierwsza przenoska. Dalej bystrza, holowanie kajak i obnoszenie go z prawej strony niskiego mostku. Wkrótce, po tej samej stronie, można biwakować. W Kozinie (16,5 km) są dwie przenoski i osiągamy po prawej ujście Bukowiny dłuższej niż trasa j. Obrowo – Kozin.

Płynięcie Bukowiną zaczyna się w Potęgowie, gmina Linia (PKS z Wejherowa), na przewężeniu między J. Potęgowskim a Czarnym, które struga łączy z J. Kamienieckim (6 km tej bocznej trasy), a następnie przepływ Bukowiną na J. Święte (6,5 km). Możliwe biwaki nad wyżej wymienionymi jeziorami. Dalej górna Bukowina z licznymi bystrzami, holowaniami i przenoskami. Kolejne biwakowania możliwe 1 km poniżej Oskowa (17,5 km) i tuż przed Kozinem, oba na prawych brzegach. Na przebycie całej tej trasy bocznej, liczącej 26 km, potrzeba co najmniej dwu dni.

Powracam do opisu (i kilometrażu) Łupawy. Po 6-kilometrowym zalesionym wąwozie otwiera się z lewej miejsce na biwak (22,5 km), a następne będzie 5 km za młynem Podkomorzyce (przenoska) w zalesionym wąwozie (31,2 km). Dalej długo brak miejsc do obozowania na łonie natury. Trzeba się nastawić na nocowanie przy (lub w) zagrodach. Zatarasowań rzeki zwalonymi drzewami, bystrzy, mielizn i niskich kładek oraz innych



Przenoski i przewożenie sprzętu to zmoza kajakarzy
Fot. Iwona Joć



Źródło mapy: Marek Sperski, Szlaki wodne Pomorza Gdańskiego, 1989; uzupełnienia: Janusz Kowalski

konieczności przenoszenia kajaka nie zliczysz. Kolejne wsie: Łupawa (36,2 km), Żochowo (40,8 km), Strzyżyno (46,5 km), Łebień (50 km), Damno (58,5 km), Wiatrowo (63,5 km), Drzeżewo (65,4 km), Zgojewo i Żelkowo (73 i 75,5 km), za którym szeroka bezleśna 12-kilometrowa dolina doprowadza do rezerwatu częściowego „Rowokół” i do Smołdzina (88,5 km), kilometr za nim na lewym brzegu możliwy biwak. Po wypłynięciu na j. Gardno (94,3 km) kierować się na zachód do Rowów (98,3 km), gdzie Łupawa uchodzi do morza (99,5 km wędrowki) i skąd są autobusy PKS do Ustki i do Słupska.

Przegrodzenie w 1913 roku Słupi w Grabówku spiętrzyło jej wody i wody jej dopływu Bytówki i spowodowało powstanie tu odstożnika bytowskich ścieków a rzekę poniżej tamy pozbawiło wody. Nastąpił więc podział Słupi na dwie trasy.

Trasa górnej Słupi zaczyna się w Gowidlinie, przez które wiedzie szosa Gdańsk – Sierakowice – Słupsk. Nad północno-wschodnią zatoką J. Gowidlińskiego (400 m od PKS) możliwy biwak. Płynięcie przy lewym brzegu jeziora do Podjazów (5,5 km trasy), a następnie Słupią przez Amalkę na jez. Węgorzyno, którym – trzymając się jego prawego brzegu – do Sulęcyna. Biwak na lewym, wysokim (na szczęście są schody) brzegu zatoki.

Wy wpływ Słupi (12 km) rozpoczyna rzeczny 15-kilometrowy odcinek trasy. Na nim ostre pływnięcia, zwałone drzewa i płycizny, kładki itp. utrudnienia. Ot, zwyczajnie, jak na górskiej rzece. Na j. Żukówko pływnięcie w prawo do biwaku przy rybakówce (28,6 km).

Kolejne płynięcie rzeką przez Młynki do elektrowni wodnej w Soszycy. Przenoszenia w tych miejscach. Dalej zaczyna się Park Krajobrazowy „Dolina Słupi”. Na rozwidleniu rzeki kierować się w prawo do krańca J. Głębokiego (50 km). Woda płynie z niego kanałami podziemnymi i otwartymi do szosy, gdzie jest syfon z odmulnikiem. Zasila elektrownię „Gałąźnia Mała”, a następnie dociera kanałem do koryta Słupi w pobliżu wsi Gałąźnia Mała. Z krańca J. Głębokiego trzeba żeby ktoś przewiózł nas (i kajak) do Gałąźni Małej (jeżeli byśmy chcieli płynąć dalej środkową Słupią) lub 7 km w pobliże Budowy (gdybyśmy chcieli zwiedzić Skotawę), albo zawiózł do domu. Obydwa opisy – patrz następna trasa.

Trasa Kamienicy oraz środkowej i dolnej Słupi zaczyna się 200 m od przystanku PKS Kamieńcz na linii Bytów – Kołczygłowy – Słupsk. Kamienica po kilometrze dopływa do koryta Słupi, które wypełnia, i po dziewięciu kilometrach łączy się z wodą z elektrowni „Gałąźnia Mała”. Na tych dziesięciu kilometrach są dwie przenoski i możliwości biwakowania, także w Gałąźni Małej. Teraz dwa jeziora zaporowe: Konradowo (11 km trasy) i Krzynia (16,4 km), na którego prawym brzegu dobry biwak. Po przenosce z zapory Krzynia na rzekę (19,5 km), płynięcie nią do ujścia Skotawy z prawej (27 km).

Wiosłowanie Skotawą zaczyna się od drogi Budowo – Jawory. Na całej tej bocznej trasie jest 10 przenosek, pierwsza po dwu kilometrach. Za mostem na drodze Kotowo – Gogolewko (4,2 km tej bocznej trasy) w lesie jedyne na trasie dobre miejsce biwakowania.

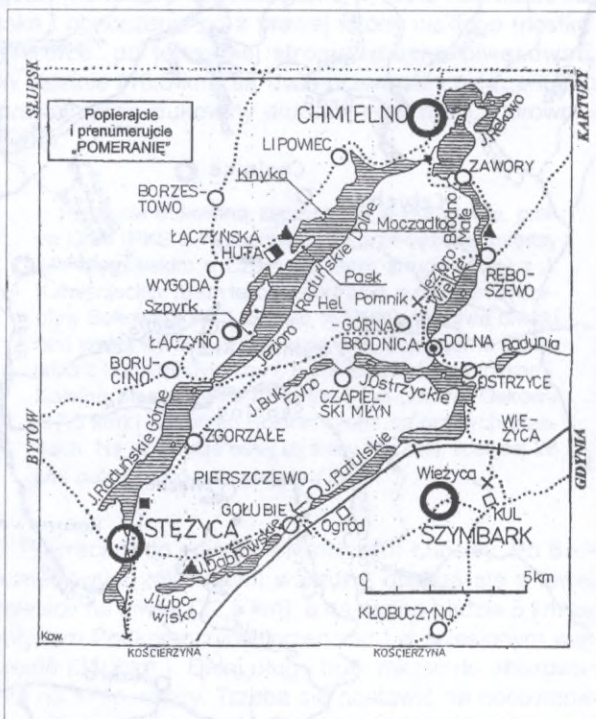
Wędrówkę trzeba zacząć bardzo wcześnie, aby zdążyć przed nocą do końca rzeki (32,2 km tej bocznej trasy), a na Słupi do pobliskiego dogodnego biwaku tuż za mostem drogi Żelkówko – Lubuń.

Powracam do opisu (i kilometrażu) Słupi. Ze wspomnianego biwaku (28 km) płynięcie do Słupska. Proponuję „przeskoczyć” miasto, a rozstawić namioty w lesie na prawym brzegu rzeki za mostem kolejowym trasy Słupsk – Gdynia (43,5 km).

W ostatni dzień pływnięcia Słupią nie ma przeszkód ani zorganizowanych pól biwakowych. W Bydlinie (58,5 km) jest 200 m do przystanku PKS, a w Ustce (72,5 km) można wylądować na prawym brzegu rzeki o 100 m od peronów stacji PKP.

Trasy rzekami w dorzeczu Wisły

Trasy te są znane bardziej niż opisane powyżej, a oprócz tego są „rozczipierzone”. Niektóre (Wda i Brda) mają poboczne, niejednolite, odchodzące od nich kanały, a prawie wszystkie posiadają dopływy dostępne do kajakowania. Aby zachować proporcję północy do południa (po części poza województwem pomorskim), drobniejsze trasy południowe pominię.



Jeziora Raduńskie

Rys. Janusz Kowalski

Radunia formalnie zaczyna się Jeziorem Stężycym, ale jest ono – jako krajobrazowo nieatrakcyjne – w wędrówkach kajakowych pomijane. Za początek trasy przyjmuję przystanek PKS w Stężycy położony 200 m od J. Raduńskiego Górnego, ale start może być i z innego miejsca. Również biwaki mogą być inne niż oznaczone na mapce jako czarne trójkąty.

Kierunek płynięcia ku grobli oddzielającej J. Raduńskie Górne od Dolnego (5,8 km trasy), do Chmielonka (16,1 km), gdzie blisko PKS. Przeniesienie kajaka na 600-metrowy odcinek rzeki; po nim płynięcie do Chmielna albo na południe jeziora Kłodno (17,8 km) do wypływu Raduni w Zaworach. 500 m rzeki i płynięcie 2,4 km jeziorem Małe oraz 3,2 km Wielkie Brodno. Brodnica Dolna – przenoska i J. Ostrzyckie (24,3 km). Z niego możliwe boczne wypadki na j. Bukrzyno i Lubowisko albo skręcenie w lewo i po 400 m osiągnięcie w Ostrzyczach wypływu Raduni.

Tu zaczyna się pierwsza łąkowa część szlaku. Kolejne wsie: Goręczyń, Somonino i Wyczechowo (40 km), za którym wskazane jest po lewej przenocowanie, bo na przepłynięcie pobliskiego przełomowego Jaru Raduni trzeba świeżych sił i około pięciu godzin. Jar, zaliczony przez PTTK do rzek górskich, kończy się zaporowym jeziorkiem Rutki (50 km), gdzie jest 400-metrowa przenoska przez teren tamtejszej elektrowni wodnej.

Dalej druga łąkowa część szlaku: rzeka przegrodzona licznymi jazami, przeplatająca się z jeziorami zbierającymi wodę dla elektrowni lub naturalnymi. Kolejne miejscowości: Żukowo (55,4 km), Lniska (58,9 km) i Niestępowo (62,6 km). 3 km za nim początek jeziora zaporowego Łapino, na którego końcu 300-metrowa przenoska, kanał i staw oraz znowu kanał doprowadzający przez Kolbudę (70 km trasy) do sztucznego Jeziora Kolbudzkiego. Płynąć 300 m przy jego lewym brzegu do miejsca, gdzie są bardzo dobre warunki do załadowania kajaka na samochód (betonowa pochylnia i pływający pomost). Jest tu także wypożyczalnia kajaków. W tym miejscu proponuję zakończyć wędrówkę Radunią, gdyż pojawiające się dalej znaczne utrudnienia obrzydzą ją aż do Gdańska ogromnie.

Wierzycyca. Szybkie startowanie na zachodnim krańcu jeziora Wierzycko, tuż przy przystanku PKS Wierzycko (autobusy z Kościerzyny w stronę Starogardu). Szybkie, bo jezioro to jest odstojnikiem kościerskich ścieków. Płynięcie kilometr przez nie do wypływu rzeki na południe. Wiosłowanie aż do jeziora Zagnanie (7 km trasy) jest łatwe. Na lewym brzegu tego jeziora po obu stronach wejścia do jego północnej zatoki dość dobre miejsca na obóz.

Płynięcie kilometr przy prawym brzegu jeziora do wypływu rzeki w Stawiskach (8 km) – przenoszenie 10 m przy zastawce, a następnie 100 m przy młynie w Nowej Kiszewie (13,5 km). Dalej możliwości biwakowania za Małym i za Starym Bukowcem (20 km) po prawej.

Następny odcinek rzeki jest prawie bezleśny i prawie bez przeszkód. Za Bożympołem Szlacheckim (36 km)



Wielu zostaje kajakarzami na całe życie. Na zdjęciu Józef Weltrowski, weteran spływów Śladami Remusa.

Fot. Marcin Pacyno

liczne dobre miejsca biwakowania. Za Pogódkami (47 km) na prawym brzegu grodzisko, a na lewym miejsce biwakowania. Za Jaroszewami (48,5 km) przy małych laskach po prawej biwaki. Po lewej dwa ujścia Wietcisy (59 km), ważnego bocznego szlaku Wierzycy.

Miejsca wodowania na Wietcisie są dość odległe od przystanków PKS. Tylko obok górnego młyna w Skarszewach jest to 300 m. Po 700 m płynięcia przez miasto – dolny młyn (przenoska 100 m), a dalej woda brudna, natomiast krajobraz malowniczy. W sumie ta boczna trasa liczy 5,6 km. Tuż przed ujściem rzeki do Wierzycy możliwość biwakowania.

Na Wierzycy wpływamy na najładniejszy zalesiony odcinek szlaku, kończący się za mostem kolejowym (pod nim bystrze), po prawej, ujściem Piesienicy (76 km szlaku). Szybkie przepłynięcie przez Starogard Gdański, wszak te wędrówki nie są przeznaczone do zwiedzania miast.

Poniżej Starogardu biwakowanie dopiero za Brachnowami (90 km), a następnie za ujściem Węgiernicy (107 km), obydwie po lewej. Po minięciu Dębiny (111 km) – Pelplin, na którego krańcu słyszy się szum bystrza. Trzeba z lądu zbadać aktualne warunki jego spłynięcia.

Przy pierwszym po prawej lasku (123 km) możliwość biwakowania. Stocki Młyn (124,3 km), przenoska 120 m. Na pierwszym po lewej pastwisku (129 km) biwakowanie, ostatnie przed Gniewem (139,5 km), gdzie należy „zakotwiczyć” po lewej przed mostem, skąd 200 m do dworca PKS (dawny PKP). Do Wisły stąd 1,5 km.



Wbrew powszechnym wyobrażeniom płynięcie jeziorem jest trudniejsze niż rzeką.

Fot. Iwona Joć

Szlak Mątawy zaczynają trzy jeziora położone na wschód od niej. Z Nowego jedzie się PKS na zachód. Przystanek PKS Osiny jest 500 m na południe od j. Osiny. Płyniemy tym jeziorem 600 m na zachód i przenosimy kajak 80 m przez drogę na j. Łąkosz. Po lewej w lesie dobry biwak. Obok rezerwat torfowiskowy. Płyniemy osią jeziora. Obok kępy sitowia kanał do rybakówki (przenoska 100 m) i na jezioro Radodzierz (4,5 km trasy), zagospodarowane rekreacyjnie, ale też z miejscami na indywidualne biwaki.

Od południowo-zachodniej zatoki tego jeziora jest 500 m do przystanku PKS Krzewiny (alternatywne miejsce początku wianogi). 300 m na północ od tego miejsca widoczna krata, od której zaczyna się płytka struga (holowanie kajaka) doprowadzająca do Mątawy (8,4 km).

Las i bezludzie. Przenoski w Borowym i Bąkowskim Młynie (17 km). Po dwóch kilometrach dobre miejsce na biwaki. Kolejne przenoski w Rozgartach, Buśni i Pile (26 km) po czym znowu las (możliwe biwaki).

Most za Świętem na szosie Świecie – Nowe (34,8 km) kończy leśny odcinek spływu, którego pokonanie zabiera trzy dni. Na dalsze nudne płynięcie Mątawą szeroką obwałowaną doliną Wisły potrzeba sześciu godzin. Meta w Nowem (65 km trasy) na lewym brzegu Wisły.

Wdą poprowadzi od 8 do 16 lipca br. z Lipusza do Błędna na Kocieniu XXI Kaszubski Spływ Kajakowy „Śladami Remusa”. Przedstawiłem go w tegorocznej, kwietniowej „Pomeranii” i skrótkowo w internecie (www.kaszubi.pl, menu: kluby).

Tu więc tylko **dolna Wda**, cała leśna, z wielu miejscami do biwakowania. Błędno traktuję umownie jako jej początek. W pobliżu, 100 m od mostu, jest przystanek PKS trasy: Starogard Gdański – Skórcz – Śliwice.

500 m niżej mostu dobry pierwszy obóz. Rzeką meandruje mając po lewej szosę. Gdy od niej się odsu-

nie, znak to, że zaczął się Wdecki Park Krajobrazowy. Po prawej leśnictwo Pohulanka (11,5 km trasy), a na obu brzegach długa wieś Stara Rzeką.

Po lewej rybakówka Piekło (19,4 km), gdzie zaczyna się sztuczne jezioro Żur z wieloma zatokami, subjeziorami, kilkoma wyspami. Na dokładne zwiedzenie tego wodnego kompleksu potrzebne są dwa dni. Nad jeziorem wsie: Tleń, Grzybek i Żur (31,8 km), gdzie jest zapora. Zaraz za nią zaczyna się jezioro Gródek. Przy początkowych zagrodach Gródka zapora po prawej przegradza koryto rzeki, a wodę kieruje kanałem (tu koniec Wdeckiego Parku Krajobrazowego) w lewo do zapory (przenoska), po której znowu meandrująca Wda. Przy niej Bedlenki (52,4 km), Wyrwa (57,7 km) i Kozłowo (60 km). Po kilometrze nowo wybudowana obwodnica drogowa Świecia – początek miasta.

Koniec spływu (66,6 km) na polu biwakowym, na prawym brzegu rzeki, obok ruin zamku krzyżackiego. Stąd 1,4 km do ujścia Wdy do Wisły.

Brda jest najdłuższą z opisywanych tu rzek. Można nią płynąć już od Jeziora Pietrzykowskiego Dużego (od wsi Świeszyno), ale lepszy jest dojazd PKS z Bytowa i Miastka (gdzie odprawiane są msze święte w języku kaszubskim) do Trzyńca.

Początkowo rzeka jest wąska, bywa że zarośnięta i z częstymi mieliznami, co wymaga holowania kajaka lub jego przenoszenia nie tylko na zastawkach. Kolejne miejscowości z przeszkodami: Stara Brda (6 km trasy), leśniczówka Pustowo (9 km), Żołna (13 km). W Nowej Brdzie (500 m do przystanku PKS) od 1696 roku produkowano papier ze znakami wodnymi w postaci herbu Radziwiłłów i napisem Niv Brag. Dalej są rezerваты: Przytoń (24 km), gdzie spotkać można bobry i wydry, i Osiedle Kormoranów (30 km), które w latach 80. opuściły te ptaki; są tu „za to” lęgowiska czapli siwej.

Na prawym brzegu jeziora Szczytno wieś Rzewnica (36 km) z polem biwakowym. Po przewężeniu jeziora

ostro skręcić w lewo, płynąć obok Wyspy Zamkowej ze śladami średniowiecznego grodu, kierując się przez zatokę na jeziora Szczycienko (39 km) i Końskie. Po nim rzeka, a nad nią Jemielno i po prawej Płaszczycza (PKS), gdzie przed mostem jest dwór zbudowany w 1755 roku przez Piotra Tuchołkę. Dalej Sapolno i Ciecholewy (PKS), po których – począwszy od mostu drogi Chojnice-Bytów – zaczyna się Zaborski Park Krajobrazowy, który na naszej trasie ciągnie się do Męcikału.

Po godzinie płynięcia od tego miejsca Jezioro Charykowskie (66 km). Należy na nim skręcić w lewo do Małych Swornychgaci (z oryginalnymi zagrodami kaszubskimi), gdzie jest przepływ na Jezioro Długie i Karsinśkie doprowadzające do Swornychgaci (74 km) – dużej wsi z nauczaniem języka kaszubskiego w Szkole Podstawowej oraz edukacją regionalną z elementami tego języka w gimnazjum. Następnie Brda i jezioro Witoczno węzłowe na szlaku. Do niego z północy przybywa Zbrzyca, ważny dopływ Brdy.

Spływ Zbrzycą zaczyna się w Sominach (PKS na trasie: Brusy – Bytów). Są tu dwa pola biwakowe i drewniany kościół z 1755 roku. Płynięcie Jeziorem Sominśkim do połączenia rzeką z prawej (zachodniej) zatoki z Jeziorem Kruszyńskim (4,3 km tej bocznej trasy). Na nim skręcić w lewo i, zostawiając po lewej dwie wyspy, płynąć do nie zarośniętej szuwarami części jeziora, gdzie koło Windorpu (6,6 km) jest wypływ Zbrzycy. Rzeka, jezioro Parzyn, znowu rzeka, z lewej dopływ Młosienica, zakręt w prawo, wieś Kaszuba (13,8 km) z obnoszeniem kajaka na lewo od młyna.

Dalsze wsie: Milachowo (przenoska), Rolbik (18,5 km), Widno (23,8 km), gdzie zobaczyć można odrestaurowany starokaszubski piec chlebowy, i Laska (PKS i pole biwakowe), a po niej ciąg połączonych jezior: Laska, Księże, Długie i Parszczenica, na którym płynąć w lewo do jeziora Śluza. Po nim rzeka doprowadza do j. Witoczno (38 km tego bocznego szlaku).

Powracam do głównego szlaku (i jego kilometrażu). Wypływ Brdy w środku wschodniego brzegu jeziora Witoczno (77 km). Po prawej biwak w Płęnie (79,5 km) i jeziora (nad nimi i dalej sporo miejsc biwakowych): Małolackie (na jego krańcu skręcić w prawo), Łackie, Dybrzk i Kosobudno. Z prawej strony początek spiętrzonej Brdy, wkrótce Męcikał (90 km) z przystankiem PKS 200 m od rzeki. Tama w Myłofie (96 km). Po lewej Wielki Kanał Brdy, po prawej rzeka nie wymagająca przez kilka dni płynięcia przenoszenia kajaka. Ważniejsze wsie: Rytel (tu początek Tucholskiego Parku Krajobrazowego), Woziwoda (124,5 km), Rudzki Most (5 km do Tucholi), Piła Młyn (południowy kraniec Tucholskiego Parku Krajobrazowego).

Niedaleko za tą wsią początek sztucznego, bardzo rozgałęzionego Jeziora Koronowskiego. Na 3 km przed widocznym jego końcem w Pieczyskach przepływ w lewo

na jezioro Lipkusz i na Kanał Lateralny (boczny a „równoległy”) oraz na Jezioro Białe, z którego za wyspą w prawo odchodzi 1,5-kilometrowy kanał-rynną – doprowadzenie wody do elektrowni w Samociążku (188,5 km). Wpływanie na ten kanał-rynną trzeba telefonicznie uzgadniać z kierownictwem elektrowni (telefony: 052/382-38-75 i 052/382-38-85). Przez zaporę w Samociążku uciążliwa przenoska 200 m na Brdę. Można stąd popłynąć 4,2 km pod słaby prąd do centrum Koronowa.

Dalsze dwa sztuczne jeziora powstały po wybudowaniu zapór w Tryszczyń (195 km) i Smukale (201,8 km), gdzie jest pętla bydgoskiego autobusu miejskiego nr 58. Można skończyć tu spływ albo popłynąć do mostu i rozwidlenia wód (208,6 km). W prawo połączenie z Kanałem Bydgoskim, w lewo rzeka. Przed mostem kolejowym (209,1 km) przystanie kajakowe – zwyczajowe mety spływów Brdą. Jest z nich w lewo 800 m do stacji PKP Bydgoszcz Główna.

Publikacje

Przedstawiłem wybrane pomorskie trasy kajakowe, a puszczanie się tymi, o których napisałem, tylko na podstawie moich słów, dostarczy licznych niespodzianek. Kto chce większości z nich uniknąć, niechaj skorzysta z przewodników. Najobszerniejszy Z. Wrześniowskiego i M. Sperskiego „Kajakiem po wodach Pomorza Zachodniego (cz. północna i wschodnia)” ukazał się w 1971 r., więc jest w niektórych fragmentach przestarzały. Nowsze, dotyczące poszczególnych rzek, publikuje Zbigniew Galiński, np. o Brdzie (2001), Wdzie (2002) czy o Raduni (2004). Komu odpowiada wodno-kajakowe odpoczywanie-włóczenie się, powinien z nich skorzystać. (-)



Aby do brzegu...

Fot. Iwona Joć

Szlak papieski rzeką Słupią

Od powitania przez nadleśniczego Józefa Piskę z Nadleśnictwa Leśny Dwór w gminie Dębica Kaszubska rozpoczęły się 14 czerwca uroczystości upamiętniające pobyt nad Słupią w 1964 r. arcybiskupa Karola Wojtyły ze swoją kajakową „rodzinką”:

– Żołędzie, z których wyrosło drzewko, które dzisiaj posadzimy przy pamiątkowym głazie z wyrytym napisem „Dąb Jana Pawła II”, poświęcił papież-Polak podczas wizyty w Watykanie delegacji naszych leśników.

W pięknej, nadrzecznej scenerii, przy moście w Leśnym Dworze, niedaleko wspaniale urządzonego pola biwakowego, zebrał się młodzież szkolna, mieszkańcy, władze gminy, starostwa i miasta Słupska. Obecna była również liczna grupa leśników oraz przedstawiciele Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Wójt Grzegorz Grabowski z dumą podkreślił inicjatywę mieszkającego w Dębicy Kaszubskiej radnego powiatowego i członka ZKP – dr. wet. Stanisława Janka, by w 2006 r. nadać Słupię nazwę Papieskiego Szlaku Kajakowego Rzeką Słupią. Pomysł wsparli biskupi diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej oraz pelplińskiej, przez teren których rzeka przepływa. Ufundowania dziewięciu pamiątkowych obelisków wzdłuż trasy wodnej podjęli się wójtowie gmin oraz administratorzy parafii.

Po posadzeniu przez gospodarzy gminy i leśników papieskiego dębu oraz poświęceniu go przez tutejszego proboszcza ks. Ireneusza Nowaka, w jego pobliżu umieszczono szczelną kapsułę z zapisem tej uroczystości.

– Dla potomnych – wyjaśnił Andrzej Modrzejewski, dyrektor okręgowy Lasów Państwowych ze Szczecinka.

Dalszy ciąg spotkania miał miejsce na przybrzeżnej skarpie, przy ogromnym obelisku, który obrobił Ryszard Salega. Głaz, na którym widnieje napis: „Janowi Pawłowi II – Naucz nas zwalczać zło, ale widzieć brata w człowieku – W podziękowaniu mieszkańcy Gminy Dębica Kaszubska 14 czerwca 2006 r.” poświęcił ks. Jan Giriatiwicz ze Słupska. Sygnaliści z Nadleśnictwa Bytów odegrali hymn leśników.

Miejsce rozpoczęcia pamiątkowego spływu przez arcybiskupa Karola Wojtyłę, a więc początek szlaku papieskiego, upamiętni wkrótce (prawdopodobnie w sierpniu) kamień nad Jeziorem Gowidlińskim (gm. Sierakowice). W lipcu podobne staną w Sulęczynie (gm. Sulęczyno), Parchowskim Młynie i Soszycy (gm. Parchowo), Gołębiej Górze (Bytów/Czarna Dąbrówka) i w Krępie (gm. Słupsk/Kobylnica). Dołączą one do już odsłoniętych w Leśnym Dworze, Lubuniu (gm. Kobylnica), Gałąźni Małej (gm. Kołczygłowy) oraz tego pierwszego, w Słupsku, poświęconego 17 lipca 2004 r., w 40. rocznicę spływu. (-)

Jerzy Dąbrowa-Januszewski



Początki szlaku papieskiego szkoły z Dębicy Kaszubskiej i Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego ze Słupska

Fot. Jerzy Fryckowski



Obelisk odsłaniają (od prawej): wójt gminy Dębica Kaszubska Grzegorz Grabowski, starosta słupski Zdzisław Kołodziejcki oraz dyrektor okręgowy Lasów Państwowych ze Szczecinka Andrzej Modrzejewski.

Fot. Jerzy Fryckowski

Rowerem po Szwajcarii Kaszubskiej



Widok na Chmielno

Stanisław Klimowicz

Pan Bóg, tworząc świat, zapomniał ponoć o ziemi dla Kaszubów. Gdy spostrzegł swój błąd, wysypał z worka resztki najwspanialszych klejnotów – malownicze wzgórza i jeziora, śliczne doliny, niespotykanej urody lasy. Popatrzył na to wszystko i uśmiechnął się. Tak według legendy powstały Kaszuby.

Pięknie ukształtowana, dzięki „wizycie” lodowca skandynawskiego, kraina jaką jest Szwajcaria Kaszubska to szczególnie atrakcyjny teren dla turystyki rowerowej. Czyste powietrze, urozmaicony krajobraz i duża, o niezbyt dużym natężeniu ruchu, ilość dróg lokalnych sprawiają, że kolarz może liczyć tu na wiele wrażeń.

Proponowane szlaki rowerowe rozpoczynają się i kończą w Chmielnie, które można potraktować jako „bazę wypadową” do odbycia wielu ciekawych wycieczek. Nie są one na razie oznakowane, ale z opisem i mapą na pewno nikt nie zabłądzi.

Rowerem można udać się z Chmielna na Wieżycę (ok. 54 km), do Kartuz – stolicy Szwajcarii Kaszubskiej

(ok. 25 km), przez Sianowo do Rzymu (ok. 17 km) albo przez Lampę dookoła Jeziora Raduńskiego Dolnego (ok. 28 km)

Rowerem na Wieżycę

Chmielno – Zawory – Ręboszewo – Złota Góra – Brodnica Dolna – Ostrzyce – Wieżycza – Szymbark – Gołubie – Stężycza – Zgorzałe – Brama Kaszubska – Wygoda – Łączyńska Huta – Lipowiec – Chmielno

Trasa bardzo długa, o dość dużym stopniu trudności, ale za to urokliwa, niejednostajna. Prowadzi w połowie Drogą Kaszubską – najpiękniejszą widokowo trasą na całych Kaszubach. Zbudowana została ona w latach 1965-1967 i wiedzie z Garcza do Wieżycy. Jest to najbardziej uczęszczany szlak turystyczny, wybierany ze względu na niezwykłą malowniczość mijanego krajobrazu i bardzo ciekawe obiekty.

Wyruszamy z centrum Chmielna i kierujemy się na południe w **stronę Zaworów**. Po drodze mijamy w Chmielonku (1,5 km), przy moście na Raduni, stary młyn wodny z 1738 roku, kilkakrotnie przebudowywany, ale działający do dziś. Podjeżdżamy pod niewielkie wzniesienie i, mając przed sobą ponadkilometrowy

odcinek drogi do Zaworów, podziwiać możemy jezioro Kłodno i położoną nad nim wieś. Okrążając to jezioro od południa pokonujemy drugi most nad Radunią i zbliżamy się do Zaworów. Wieś ta jest nietypowo usytuowana na kilku minitarasach wciętych w zbocze wysoczyzny, jest jak gdyby zwornikiem spinającym dwa jeziora: Kłodno i Brodno Małe. Odwiedzają ją chętnie turyści z całej Polski, którzy korzystają ze znajdujących się tu kwater agroturystycznych.

Za Zaworami (3 km) droga prowadzi niemal nad brzegiem jeziora Brodno Małe, które ma swój koniec w Ręboszewie. Dojeżdżając do skrzyżowania skręcamy w prawo na most nad Radunią przepływającą na jezioro Brodno Wielkie. Pedałując dalej zaczynamy podejść powoli na szczyt wzniesienia zwanego **Złotą Górą** (9,5 km), z którego roztacza się wspaniały widok na okolicę. Z tego miejsca widać m.in. wieżę na Wieżycy i całe pasmo Wzgórz Szybarskich.

Dodatkową atrakcją jest tutaj monument, poświęcony partyzantom kaszubskim walczącym z niemieckim okupantem. Został on odsłonięty w 1968 roku, a jego autorem był znany gdański rzeźbiarz Witold Tolkin. Złota Góra to także miejsce dorocznego festynu Truskawkobranie.

Droga Kaszubska skręca tu w lewo i prowadzi dość stromo w dół, do Brodnicy Dolnej. Przed wsią, po le-

wej stronie leży charakterystyczny głaz narzutowy wydobyty w czasie powstawania drogi, na którym wykuto przebieg Drogi Kaszubskiej i lata jej budowy.

Jadąc przez Brodnicę Dolną i później wzdłuż brzegu Jeziora Ostrzyckiego docieramy do letniskowych **Ostrzyc** (13,5 km), położonych nad jeziorem o tej samej nazwie. Z lewej strony, na wysokości restauracji „Jezioranka”, znajduje się punkt widokowy Jastrzębia Góra, zaś po drugiej stronie jeziora – rezerwat Ostrzycki Las chroniący buczynę pomorską. We wsi jest kilka restauracji oraz informacja turystyczna.

W Ostrzycach przejeżdżamy przez most nad Radunią, która wypływając z Jeziora Ostrzyckiego skręca w kierunku Gdańska. Brzegiem jeziora jedziemy aż do wiaduktu kolejowego na trasie Gdynia – Kościerzyna. Po drodze mijamy osadę Kolano, znaną z tego, że kiedyś była tu karczma. Po przejechaniu pod wiaduktem kierujemy się w stronę dworca kolejowego, który zostawiamy po lewej stronie drogi.

Zaczyna się 2,5 km podjazdu wzdłuż zboczy Wieżycy. Po pokonaniu bardzo ostrego zakrętu, zwanego Kaszubskim Zakrętem Śmierci, pedałując cały czas pod górę, dojeżdżamy do asfaltowej szosy Gdynia – Kościerzyna. W tym miejscu kończy się Droga Kaszubska. Skręcamy w prawo na trasę o dużym natężeniu ruchu i po minięciu budynków Kaszubskiego Uniwer-



Szwajcaria Kaszubska to szczególnie atrakcyjny teren dla turystyki rowerowej

sytetu Ludowego skręcamy jeszcze raz w prawo do Szymbarka.

Po chwili dojeżdżamy do znaków szlaku czarnego, który przechodzi przez drogę i kierujemy się za nimi w stronę szczytu. Trafiamy nań bez problemu. Znajduje się tu nowo wzniesiona wieża widokowa, ponad 30-metrowej wysokości, z której rozciąga się wspaniała panorama tej części Szwajcarii Kaszubskiej. Sam szczyt, liczący 328,6 m n.p.m., jest najwyższym wzniesieniem na całym Niżu Wschodnioeuropejskim, od Uralu aż po Pireneje.

Wracamy tą samą drogą do szosy i skręcamy w prawo. Zjeżdżamy do **Szymbarka** (21 km) – najwyżej położonej na Kaszubach wsi (około 250 m n.p.m.). Są tutaj kościół w stylu pseudoromańskim, sklepy, ośrodek zdrowia, restauracja oraz poczta. Położenie w bliskim sąsiedztwie Wzgórz Szybarskich uczyniło z wioski centrum wypoczynku zimowego. Organizowane są tu kuli-gi, ogniska, działają wyciągi narciarskie – słowem „kaszubskie Zakopane”.

Z Szymbarka kontynuujemy wycieczkę w stronę **Gołubia Kaszubskiego** (25 km), malowniczo położonego pomiędzy jeziorami Kółka Raduńskiego. Następne 7 km drogi prowadzi przez las. Kolejną miejscowością na trasie jest **Stężycza** (32 km), gdzie warto zwiedzić barokowy kościół, wybudowany w 1706 roku, z cennym wyposażeniem. We wsi jest jeszcze druga, poewangelicka świątynia, którą mijamy przy wjeździe do miejscowości. Od zakończenia drugiej wojny światowej nie jest ona jednak użytkowana.

Udając się z powrotem na szlak rowerowy musimy skręcić na drogę biegnącą wzdłuż Jeziora Raduńskiego Górnego, w kierunku wsi **Zgorzale**. Po dojechaniu do skrzyżowania z drogą Kartuzy – Bytów (38 km), skręcamy w lewo i dalej szosą przez las docieramy prosto do Bramy Kaszubskiej. Tak nazwano, poprowadzony w czasie budowy drogi, przekop. Jest to jakby brama wjazdowa na Kaszuby. Po kilkuset metrach przejeżdżamy groblą rozdzielającą Jezioro Raduńskie (39 km). Tuż za nią mijamy po lewej stronie Stację Limnologiczną Uniwersytetu Gdańskiego, której pracownicy badają jeziorne wody.

Na najbliższym skrzyżowaniu skręcamy w prawo, w stronę Miechucina i zaczynamy podjeżdżać na wzniesienie, z którego obserwować można okolicę w całej okazałości. Po przejechaniu 2 km zobaczymy wieżę kościoła w **Wygodzie Łączyńskiej** (44 km). Sama wieś znajduje się w centrum kaszubskiego „zagłębia truskawkowego”. Piękny kościół i korzyści z truskawek zawdzięcza Wygoda ks. Anastazemu Sadowskiemu. W tym roku mija 100 lat od powstania parafii na Wygodzie. Pseudo-barokową świątynię zbudowano na początku XX wieku. Koniecznie zobaczyć należy jej wnętrze. Z racji swojego położenia i założeń architektonicznych zaliczana jest ona do najpiękniejszych na Kaszubach.

Przy kościele kierujemy się w prawo i drogą obok cmentarza udajemy się w stronę Chmielna. Na pierw-

szym skrzyżowaniu skręcamy w prawo i dojeżdżamy niebawem do **Łączyńskiej Huty**, za którą dalej możemy podziwiać Jezioro Raduńskie Dolne, krajobrazy go otaczające oraz codzienną pracę mieszkańców.

Za **Borzestowską Hutą** (47,5 km) zatrzymujemy się na chwilę przed pomnikiem poświęconym partyzantom Gryfa Pomorskiego, ufundowanym przez mieszkańców gminy Chmielno. Ostatni odcinek drogi prowadzi przez Lipowiec (49,5 km) i dalej ulicą Raduńską do Chmielna. Droga zbliża się do brzegu jeziora, a następnie oddala się. Mijamy przystań jachtową i wjeżdżając na niewielkie wzniesienie docieramy do pierwszych zabudowań wsi.

Czas naszej wyprawy dobiegł końca, do Chmielna pozostał ponad 1 km drogi.

Do Kartuz – stolicy Szwajcarii Kaszubskiej

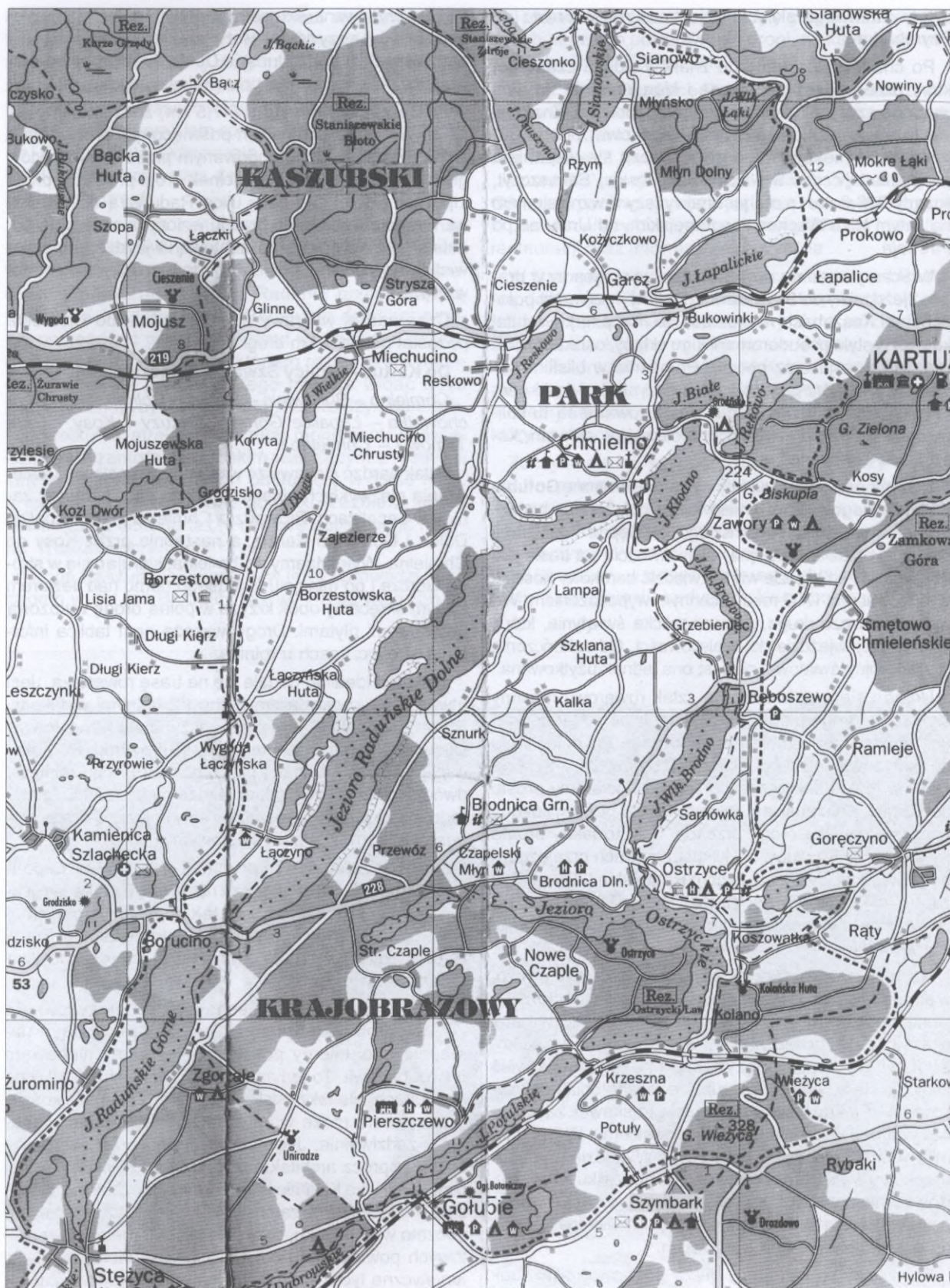
Chmielno – Bukowinki – Łapalice Dolne – Góra Chochowatka – Łapalice Górne – Kartuzy – Kosy – Góra Tamowa – Chmielno

Szlak bardzo ciekawy ze względu na możliwość zwiedzania niezwykłych obiektów, takich chociażby jak zamek w Łapalicach. Prowadzi z Chmielna przez Łapalice Dolne i Górne do Kartuz, a następnie przez Kosy do Chmielna. Wyjeżdżamy z Chmielna, kierując się w stronę Garcza i po minięciu ostatniego domu nad Jeziorem Białym skręcamy obok krzyża w polną drogę wyłożoną betonowymi płytami. Drogę wskaże nam tablica informująca o wczasach u rolnika.

Trakt ten idealnie nadaje się na trasę rowerową. Jest utwardzony, o niewielkim ruchu i z ładnymi widokami. Po przejechaniu 300 metrów zaczyna się wznosić wąskim przekopem w stronę osady **Bukowinki**. Po pokonaniu wzniesienia, dalej przez pola i łąki, po minięciu dwóch kolejnych zagród, dojeżdżamy do punktu, z którego tuż za płotem prowadzi w stronę jeziora droga biegnąca starym nasypem kolejowym.

My podążamy dalej i po chwili jesteśmy w **Łapalicach Dolnych**. We wsi, tuż za remizą strażacką skręcamy w prawo. Szlakiem wśród łąk docieramy do następnej drogi i skręcamy nią w lewo, w stronę zamku. Trasa celowo tędy prowadzi, ażeby nie jechać bardzo ruchliwą szosą Kartuzy – Lębork.

Około 1,5 km trzeba jechać aż do skrzyżowania z szosą prowadzącą do zamku. Zjeżdżamy nią, a następnie pedałujemy pod górę i jesteśmy niebawem u wrót budowli. To jedyny tego typu obiekt nie tylko na Kaszubach, ale także w Polsce, który swoją wielkością i rozmachem może wprawić niejednego zwiedzającego w zadziwienie. Jego przeznaczenie nie jest znane nikomu oprócz architekta i właściciela zamku w jednej osobie – Piotra Kazimierczaka, artysty rzeźbiarza z Gdańska. To 12-basztowe zamczysko, którego wznoszenie rozpoczęto w 1984 roku, liczy ponad 5000 metrów kwadratowych powierzchni i od wielu lat jest wielką atrakcją turystyczną tych okolic. Zamek można zwiedzać, ale tylko za zgodą właściciela lub pracujących tam czasem



Fragment mapy Szwajcarii Kaszubskiej wydawnictwa Vicon Gdańsk

robotników. Po obejrzeniu go wsiadamy na rower i wracamy tą samą drogą, którą przyjechaliśmy, ale nie skręcamy do Łapalic, tylko jedziemy do szosy i tam kierujemy się w prawo. Przejeżdżamy przez **Łapalice Górne**, obok starej cegielni i drogą wśród lasu zbliżamy się do Kartuz.

Do miasta wjeżdżamy od zachodu ulicą Wzgórze Wolności i już na jej początku zatrzymujemy się, by zwiedzić jeden z najwspanialszych zabytków sztuki sakralnej na Pomorzu – kościół poklasztorny z XV wieku. Jest on dobrze widoczny po lewej stronie drogi.

Kartuzy są miastem młodym, prawa miejskie uzyskały bowiem dopiero w 1923 roku. Znaną są z racji swojego położenia i miana stolicy Kaszub. Oprócz kolegiaty na zwiedzenie zasługuje tutaj Muzeum Kaszubskie znajdujące się przy ulicy Kościerskiej 1, w którym zgromadzone są dobra kultury materialnej i duchowej Kaszub. Możemy zobaczyć w nim sprzęty codziennego użytku, a także wiele zabytków sztuki ludowej.

Podróż z Kartuz do Chmielna najlepiej odbyć drogą przez Kosy. Z Kartuz wyjeżdżamy ulicą Chmielenską (od kościoła poklasztornego w lewo) i po przebyciu 500 m skręcamy w prawo. Nową asfaltową drogą dojedziemy aż do samych Kosów.

Spotkamy tu znaki pieszego szlaku czerwonego, które wytyczają trasę do Chmielna (5 km). Najpierw droga prowadzi około 3 km przez las, a następnie szosą. Przed wyjazdem z lasu zobaczymy po lewej stronie dość duże wzniesienie. Skręcamy w lewo, w drogę polną prowadzącą do Zawór. Po dojechaniu do przydrożnego krzyża warto wspiąć się z rowerem na szczyt Góry Tamowej (224,1 m n.p.m.), z której widać piękną panoramę jezior chmielńskich. Do Chmielna pozostało około 2 km drogi. Możemy zatem posiedzieć chwilę podziwiając piękne widoki. Po krótkim odpoczynku musimy wrócić do znaków szlaku czerwonego i skręcając w lewo drogą leśną prowadzącą stromo w dół jedziemy do Chmielna.

Przebieg Sianowo do Rzymu

Chmielno – Garcz – Sianowo – Cieszonko – Rzym – Kożyczkowo – Chmielno

Szlak ten jest godny polecenia dla wszystkich, którzy chcą odpocząć w ciszy i przy okazji zwiedzić Sanktuarium Matki Boskiej Królowej Kaszub w Sianowie. Jest łatwy i bardzo ciekawy, można go potraktować jako przejażdżkę pielgrzymkową. Wyjeżdżamy z Chmielna w stronę Kartuz, kierując się drogą na lewo od kościoła. Po dojechaniu do skrzyżowania dróg w Garczu przejeżdżamy szosą Kartuzy-Łębork i rozpoczynamy właściwą podróż do Sianowa. Poprowadzi nas tam najpierw droga wykładana betonowymi płytami, a następnie polna utwardzona droga, którą bardzo przyjemnie pokonuje się trasę naszej wycieczki. Do Sianowa pozostało około 5 km.

Na początku miniemy, po prawej stronie, zabudowania położone nad Jeziorem Łapalickim, później będziemy poruszać się drogą na skraju lasu, przy której stoją



Kościółek w Sianowie. W nim znajduje się figura Matki Boskiej Sianowskiej Królowej Kaszub.

pojedyncze zagrody rolników. Wyjeżdżając z lasu w dół docieramy do pierwszych zabudowań Sianowa.

W centrum wsi zatrzymujemy się przy kościele z 1816 roku z gotycką figurką Matki Boskiej Sianowskiej Królowej Kaszub. To jej **Sianowo** zawdzięcza swą sławę. Niewielka figurka pochodzi z pierwszej połowy XV wieku. Według legendy została znaleziona w krzaku paproci, skąd przyniesiono ją do pierwszego sianowskiego kościoła. Gdy ten spłonął, rzeźbę znaleziono nietkniętą ogniem. To samo miało się zdarzyć i po drugim pożarze. Dziś piękna Sianowska Pani, koronowana w 1966 roku na **Królową Kaszub**, znajduje się w głównym ołtarzu, ukryta za obrazem. O jej odsłonięcie trzeba prosić na plebanii.

Z Sianowa kierujemy się drogą od kościoła w lewo w stronę Mirachowa. Po przejechaniu przez most nad rzeką Łebą skręcamy w lewo na drogę polną prowadzącą do Cieszonka. Po minięciu tej niewielkiej osady rozpoczynamy trudny podjazd leśnym wąwozem na wzniesienie zwane Łysą Górą (204,4 m n.p.m.). Gdy znajdziemy się już „u góry”, skręcamy w lewo i skrajem lasu jedziemy w stronę jeziora Osuszyño.

Jeszcze jeden krótki zjazd i jesteśmy nad tym uroczym położonym jeziorem, nad brzegiem którego warto się na chwilę zatrzymać. Dalsza droga prowadzi w kierunku

południowym, wzdłuż brzegu jeziora i po 300 metrach jesteśmy już w Rzymie. To nie jest żaden żart, wita nas zresztą tablica informująca, że wjeżdżamy do Wiecznego Miasta. Bez wiz, paszportów i dodatkowych kosztów. Jest to część wsi Kożyczkowo, nazwana tak przed pierwszą wojną światową przez księdza w Sianowie. Tablicę postavili w 1996 roku młodzi turyści z Chmielna, których opiekunem jest autor niniejszego tekstu. Takich nazw na Kaszubach jest bardzo dużo, całkiem niedaleko jest Ameryka i Brazylia. Mieszkańcy Rzymu to poczciwi ludzie, ciężko pracujący na lichej ziemi na swoje utrzymanie.

Pozostawiamy kaszubski Rzym i docieramy do szosy, którą w lewo zjeżdżamy w dół, do mostu nad rzeką Łebą. Przed nami niewielka wieś Kożyczkowo należąca do gminy Chmielno. Stąd już tylko 3,5 km do Chmielna. Udajemy się do trasy Kartuzy – Lębork i dalej polną drogą jedziemy na skróty do pierwszych zabudowań. Jesteśmy z powrotem w Chmielnie.

Przez Lampę dookoła Jeziora Raduńskiego Dolnego

Chmielno – Chmielonko – Lampa – Sznurki – Przewóz – Brama Kaszubska – Wygoda – Łączyno – Łączyńska Huta – Borzestowska Huta – Lipowiec – Chmielno

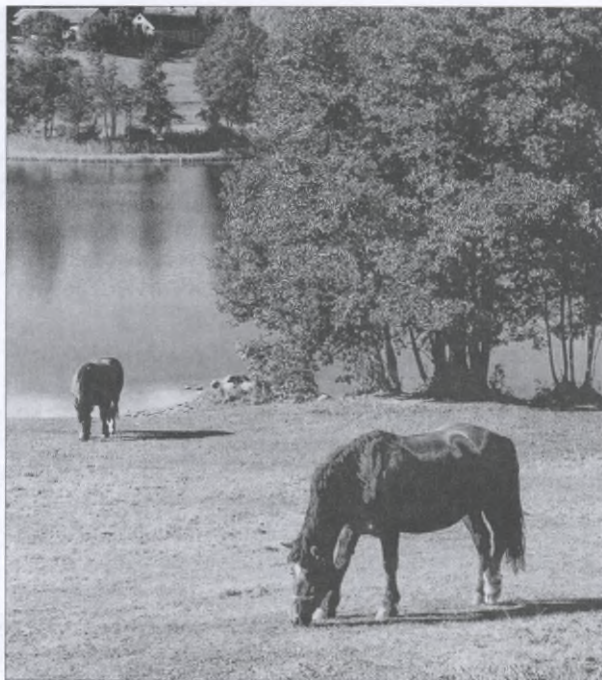
Śluzak ten jest pod każdym względem wyjątkowy. Jest mało znany, a więc i niezbyt uczęszczany, przebiega głównie polnymi drogami, prowadzi dookoła największego jeziora Szwajcarii Kaszubskiej.

Jak zwykle wyruszamy z centrum Chmielna. Po minięciu młyna w **Chmielonku** jedziemy dalej i skręcamy w prawo w kierunku Lampy i Przewozu. Trasa, którą teraz się poruszamy została wybudowana niedawno i docelowo miała skrócić drogę z Chmielna do Kościerzyny. Służy ona dzisiaj przede wszystkim właścicielom domków letniskowych i okolicznym mieszkańcom.

Pokonujemy dość długi podjazd i gdy już znajdziemy się na prostej, przekonamy się, że warto było się tu wybrać. Wystarczy spojrzeć prosto przed siebie lub w prawo, aby nacieszyć się wspaniałymi widokami.

Jedziemy dalej mijając pojedynczo rozrzucone zagrody **Lampy Górnej i Dolnej**. Ciekawostką jest to, że jeszcze do dzisiaj znajdowane są tu na polach odłamki szklanych naczyń. Zdaniem najstarszych mieszkańców Lampy, dawno temu znajdowała się tu huta szkła.

Tuż za Lampą kolejny trudny podjazd prowadzący na szczyt wzniesienia. Docieramy do wsi o dość zabawnej i dziwnej nazwie **Sznurki**, której rozrzucone gospodarstwa ciągną się wzdłuż brzegu jeziora na odcinku około 2 km. Warto zatrzymać się w tym miejscu, ponieważ jest tu najpiękniejszy widok na rynnę **Jeziora Raduńskiego Dolnego** i wyniosły zalesiony półwysp Paszk po drugiej stronie jeziora.



W ostatnich latach powstaje na Kaszubach coraz więcej gospodarstw agroturystycznych, oferujących m.in. przejażdżki konne.

Dojeżdżamy do sklepu spożywczego w Sznurkach, za którym kończy się droga asfaltowa, a rozpoczyna polna. Prosto przez las (około 4 km) trafimy nią do kolejnej miejscowości – **Przewozu**. Nazwa wsi pochodzi od przeprawy do Łączyna po drugiej stronie jeziora, zanim Jezioro Raduńskie przedzielono groblą na dwie części, budując na niej drogę.

Przejeżdżamy przez wieś i kierujemy się w stronę lasu. Z Przewozu pozostało około 1 km do szosy Kartuzy – Bytów. Gdy tam już się znajdziemy, skręcamy w prawo i pedałując dalej po 500 metrach zjeżdżamy leśnym „wąwozem” przekopanym w trakcie budowy drogi, nazywanym **Bramą Kaszubską**, na groblę dzielącą Jezioro Raduńskie na Górne (po lewej) – o długości 6,3 km i Dolne (na prawo) – o długości 9,7 km.

Po lewej stronie przejeżdżamy obok Stacji Limnologicznej Uniwersytetu Gdańskiego i tuż za kioskiem skręcamy w prawo, w wąską drogę asfaltową prowadzącą w kierunku ośrodka wypoczynkowego „Mòdròk”. Wiedzie ona wzdłuż zachodniego brzegu jeziora. Kiedy znajdziemy się na wysokości ośrodka, warto wstąpić do znajdującej się w nim kawiarenki, z tarasu której widać piękny brzeg jeziora.

Dalsza droga prowadzi prosto w dół – do wsi **Łączyno**, przez którą przejeżdżamy kierując się polną drogą w stronę Wygody Łączyńskiej. Niebawem dojeżdżamy do szosy i skręcamy w prawo. (-)

Zdjęcia ze zbiorów Stanisława Klimowicza



Małgorzata Marcinowicz

„Ludzie listy piszą...”

Są w życiu chwile, które zamykają pewne etapy. Jedną z nich jest zakończenie roku szkolnego, poprzedzone w podstawówkach masą konkursów, a na wyższych poziomach nauczania sprawdzianami, testami i egzaminami. I wyrывa się młodzież Mickiewiczowi, Pitagorasowi, Einsteinowi, wpadając w ramiona... No właśnie, czyje? Słońca? Lata? Wakacyjnych miłości, uwiecznionych długimi listami?

Kto dzisiaj pisze listy, takie prawdziwe, z piórem w rękę, z kartką papieru na biurku, przy śpiewie ptaków? To niewątpliwie przeżytek. Ja również dawno tego nie robiłam. Komputer wyparł pióro niemal zupełnie, chociaż takowe posiadam. Kupuję doń wkłady dość regularnie, co wskazuje na jego używanie, ale listu, niekoniecznie miłosnego, nie pisałam nim jeszcze ani razu. Nawet felietony do „Pomeranii” zwykłam wystukiwać na klawiaturze, bo to szybciej i jakoś tak... łatwiej (?).

Nie da się chyba mówić o całkowitej niechęci do słów pisanych. Myślę tu o wszelkiej komunikacji internetowej i SMS-ach, niestety wątpliwej jakości. Niedawno analizowałam język internetu. Z punktu widzenia językoznawstwa materiał-morze, z punktu widzenia estetyki... okropność. Wniosków tu zapisywać nie będę, bo ni miejsce, ni czas po temu. Ale zatęskniłam do tych listów, głównie wakacyjnych, niezobowiązujących, lekkich, nawet ulotnych, zapomnianych, a jednak gdzieś wyrzuty i wciąż żyjących. Listów do przyjaciół, do znajomych i do nieznanym. Z jakim cudownym uczuciem biegło się w poszukiwaniu stosownej papeterii – i tej pachnącej, i tej... niczego nie obiecującej, wynajdywało się ozdoby nie tylko słowne, lecz także graficzne! Wybierało stosowne metafory i opisywało wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Dzisiejsza tendencja do skrótów męczy miłośników pięknej mowy. Dużym pocieszeniem jest fakt, że na wakacje wielu z nas zabiera książki. W przedszkolach dają przyjaciół na lato w postaci plecaków i pi-

lek. Książek nie widziałam, może dlatego, że przedszkolak jeszcze nie czyta. Przy akcji „Cała Polska czyta dzieciom” dość to paradoksalne, ale...

Gdyby taką książką na wakacje okazały się listy Ignacego Kraszewskiego do pięknej Dysz, zapewne większość czytelników powróciłaby, a rzesza młodych rozpoczęła ich pisanie, choćby dla samej przyjemności otrzymywania na nie odpowiedzi (warto nadmienić, że Wspomniany napisał ich do Rzeczonyj ponad 5000!). Zatem radość to ogromna. Myślę, że doświadczamy jej wszyscy, że przychodzi z każdym e-mailem i SMS-em, tak jak przychodziła z każdym listem w białej lub kolorowej kopercie. Ale w liście była jeszcze świadomość, że tę kartkę i tę kopertę trzymały ręce bliskiej osoby, że przed dwoma, może trzema dniami, dotykały je ukochane palce i spoczywał na nich gorący oddech stęsknionych ust. Komputer, jakkolwiek wspaniały, nie jest w stanie oddać zapachu niekoniecznie papeterii, ale tego niepowtarzalnego..., chyba uczuć, który czuje się podczas czytania listów zasypanych odręcznym, nawet trochę koślawym pismem.

Jakiś czas temu, podczas robienia zakupów, usłyszałam takie oto zdanie: „Chyba z dziewięć lat nie czytałam książki”. Kontekst był dość banalny, bo nie o lekturze była mowa, ale o... odrabianiu lekcji przez dziecko, które, zapewne nie radząc sobie samo, poprosiło matkę o pomoc. Ta, chcąc je wesprzeć, musiała przeczytać jego lekturę obowiązkową. Całość otoczona była bardzo wyczuwalną nutką ironii, niestety.

Jakie cudowne byłyby wakacje, gdyby dzień spędzać na czynnym wypoczynku, wieczory przy grillu, a do poduszki czytać coś przyjemnego po prostu. Rano zaś obudzić się we wspaniałym nastroju, z przemożną potrzebą opisania wszystkiego, co wydarzyło się poprzedniego dnia. A przed wyjściem w góry, spacerem po lesie, bieganiu za piłką, wrzucić list do skrzynki... (-)

DESTILINK – wymiana doświadczeń i dobrych praktyk

**Suliśława Byczkowska
Przemysław Borowski**

Od kwietnia 2005 roku Kaszubski Uniwersytet Ludowy w Wieżycy jest partnerem projektu DESTILINK, realizowanego w ramach Programu INTERREG III C. DESTILINK to europejska sieć wymiany doświadczeń i dobrych praktyk w zakresie zrównoważonego rozwoju turystyki na obszarach wiejskich, będącej ważnym elementem rozwoju regionalnego. Jest w niej 16 partnerów z 11 państw reprezentujących obszary zarówno górskie, jak i nadmorskie. Uczestnicy rekrutują się spośród lokalnych władz, organizacji działających na rzecz rozwoju lokalnego, instytucji badawczych zajmujących się problematyką turystyki oraz stowarzyszeń.

Przedstawiciele poszczególnych instytucji zbierają się cyklicznie na warsztatach u jednego z partnerów. Ostatnio, w dniach 8-12 maja, byli w Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym w Starbieniu, gdzie prowadzone były warsztaty „Zrównoważony rozwój turystyki w regionie pomorskim”. W ich trakcie uczestnicy spotkali się ze starostą powiatu puckiego – Arturem Jabłońskim, odwiedzili też gospodarstwa agroturystyczne w okolicach Łeby. W ramach szkolenia odbyła się również konferencja w gospodarstwie państwa Kostuchów „Wichrowe Wzgórze” w Chmielnie. Uczestniczyli w niej partnerzy projektu DESTILINK, przedstawiciele Starostwa Powiatowego w Kartuzach oraz osoby związane z turystyką z okolic Chmielna. Zaprezentowane zostały przedsięwzięcia podejmowane aktualnie przez lokalną grupę działania w ramach Programu Pilotażowego Leader+ na terenie Kaszub, „sieci lokalnych/regionalnych produktów” działających w Szkocji oraz angielskie doświadczenia z tworzenia „Lokalnych sieci – w ramach turystyki wiejskiej”. Funkcjonowanie takich lokalnych sieci firm turystycznych na terenie Anglii przedstawił Tom Burnham.

Przyczyną powstawania owych struktur jest fakt, że ponad 95 proc. małych i średnich przedsiębiorstw sektora prywatnego północno-wschodniej Anglii to mikroprzedsiębiorstwa, które samodzielnie nie posiadają odpowiedniej siły przebicia. Ich funkcjonowanie razem z innymi daje m.in. możliwość wspólnego ponoszenia kosztów marketingu dla osiągania celów, na które dotychczas nie można było sobie pozwolić ze względów finansowych. Sąsiednie podmioty gospodarcze są po-



O angielskich doświadczeniach z uczestnictwa w programie DESTILINK opowiedział Tom Burnham.

Fot. ze zbiorów Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Wieżycy

strzegane bardziej jako współpracownicy i koledzy, niż jako konkurenci. Poprzez podzielenie się zadaniami marketingowymi, nawet w szczycie sezonu, sieci mają większe możliwości promowania się na przestrzeni całego roku, a ludzie i podmioty wymieniają się najlepszymi doświadczeniami. Co najważniejsze, cała grupa stanowi zauważalny podmiot zarówno dla potencjalnych klientów, jak również lokalnych władz.

Tom Burnham przedstawił skrócony przepis na założenie takowej sieci: podstawową rzeczą jest znalezienie ludzi „pokrewnych duchem”, którym nie jest obojętne, co dzieje się w okolicy. Następnie należy pozyskać przedstawicieli miejscowej społeczności: właścicieli mniejszych i większych gospodarstw, przedsiębiorstw itp. Utworzona w ten sposób grupa sterująca ma za zada-

nie wyeksponować jeden lub dwa, osiągalne przy użyciu dostępnych zasobów, „wspaniałe pomysły”, które przyniosą korzyści lokalnej turystyce. Kolejnym etapem jest zorganizowanie walnego zgromadzenia osób zainteresowanych projektem. Istotne jest, aby uwzględnić nawet tych, których początkowo nie brało się pod uwagę. Należy również pamiętać o społecznościach satelickich miejscowości, również stanowiących o całokształcie przedmiotowego terenu. Grupa sterująca musi wiedzieć jasno, co chce uzyskać w wyniku tego zebrania. Aby uniknąć nieporozumień, warto zdefiniować skład (zasięg) sieci.

Jeśli już się zawiąże jakaś forma porozumienia i współpracy, trzeba pomyśleć o takich rzeczach jak: nazwa sieci, regulamin, plany i cele do realizacji w najbliższej przyszłości. W kolejnych etapach prac należałoby się pokusić o stworzenie biznesplanów dla zamierzonych przedsięwzięć. Będą one dużym ułatwieniem w przypadku chęci ubiegania się o jakiegokolwiek dofinansowanie dla naszych pomysłów. Trochę bardziej skomplikowanymi zadaniami może być wspólny marketing, choćby poprzez stworzenie wyspecjalizowanej witryny internetowej czy przeprowadzenie badań rynkowych. Przykładowo wykorzystując ewidencję pobytu członkowie sieci oferujących noclegi zbierają informacje statystyczne w prostych bazach (pochodzenie

gości, zakres zakupionych usług itp.), zaś goście samodzielnie wypełniają kwestionariusze. Ważną sprawą jest przeprowadzenie „remanentu” posiadanych zasobów (liczba miejsc noclegowych, atrakcje, lokale gastronomiczne, szlaki turystyczne, dostępne zajęcia i formy rekreacji, sklepy i in.). Taka lista zasobów z pewnością umożliwi wypromowanie naszej okolicy. Tworząc nową sieć trzeba jednak pamiętać o już istniejących podmiotach. Dobrze jest uzyskać ich zaangażowanie, albowiem tzw. wojny domowe, zapoczątkowane przez obrażone lokalne organizacje, mogą całkowicie uśmiercić nawet najlepszy projekt.

Powyższe założenia nie są zupełną nowością dla mieszkańców Pomorza – na podobnych zasadach od 2001 roku realizowany był w naszym województwie Pilotażowy Program Odnowy Wsi. Na jego podstawie powstało wiele lokalnych stowarzyszeń, chcących aktywnie działać dla rozwoju własnej miejscowości. Nie znaczy to, że w przedsięwzięcia tego typu nie mogą angażować się już istniejące organizacje, np. koła gospodyń wiejskich czy wspólnoty parafialne.

Tom Burnham powiedział, że w Polsce mamy to, co w Anglii już dawno utracono i czego się szuka: tradycję, przywiązanie do ziemi, silne sąsiedzkie i rodzinne więzi. (-)



Organizatorzy szkolenia w Starbieniu mają nadzieję, że przyczyni się ono do zaktywizowania lokalnych środowisk.

Fot. ze zbiorów Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Wierzyca

Ostoja łosi



Rodzinie Czapiewskich nigdy nie brakowało oryginalności. Maciej hoduje łosie.

Fot. Leszek Dawidowski („Dziennik Bałtycki”)

Kuba, Agata, Magda i Leszek – to imiona skandynawskich łosi „zamieszkujących” pierwszą w Polsce fermę tych zwierząt w Koszowatce niedaleko Ostrzyc. Pomysł na jej założenie zrodził się trzy lata temu. Za pośrednictwem Gdańskiego Związku Pracodawców, Maciej Czapiewski, przedsiębiorca z gminy Somonino, nawiązał kontakt z największym na świecie hodowcą łosi – Sune Haggmarkiem ze Szwecji.

– Sune, którego nazywamy wcale nie krzywdząco „Łosiem”, szukał miejsca pod nowy ogród hodowlany – opowiada pan Maciej. – Razem z ojcem zaprosiłem go na Kaszuby.

Wystarczyło jedno spojrzenie na rozciągający się ku dolinie teren. Było tu wszystko, czego łosie potrzebują do życia – łąka, brzozowy las, jezioro. I jeszcze zachwyt nad unikatowym krajobrazem, nieskażoną przyrodą.

Rodzina Czapiewskich znana jest z niekonwencjonalnych pomysłów. Ojciec Macieja, Jan, jest dzierżawcą jezior raduńskich. Organizuje m.in. duże zawody wędkarskie. Brat, Daniel, utworzył w Szymbarku Centrum Edukacji i Promocji Regionu, w którym znajdują się ko-

pie różnych zabytkowych obiektów, a także oryginalny, sprowadzony z głębi Rosji dom sybiraka. Jest tutaj również najdłuższa, mierząca prawie 40 m, deska na świecie. Ponadto od kilku lat, 6 grudnia, organizowane są w centrum ogólnopolskie zloty Mikołajów. Dorównanie rodzinie było więc dla Macieja sporym wyzwaniem. Nie usatysfakcjonowałoby go zapewne utworzenie np. strusiej ферmy, których w Pomorskiem nie brakuje. Ale łosie... To co innego! Na Kaszubach rzadkość, prawie egzotyka, występują bowiem jedynie w północno-wschodniej Polsce.

Chociaż o tych niecodziennych w naszym regionie zwierzętach zrobiło się głośno w maju tego roku, to mało kto – poza mieszkańcami wsi – wie, że Agata, Magda i Kuba przywiezieni zostali poprzedniego lata. Zanim je przetransportowano, przygotowano dla nich trzyhektarowy wybieg. Uzyskano też zezwolenia ministra środowiska, wojewódzkiego konserwatora przyrody oraz weterynarza.

– Nie chcieliśmy upubliczniać sprawy, bo najpierw zwierzęta musiały się zaaklimatyzować – wyjaśnia pan Maciej. – Trwało to do wiosny... I udało się! Łosie zado-

mowały się, przyzwyczały do pracowników, reagują, kiedy się je woła.

W sobotni czerwcowy poranek jedna z kłep urodziła synka. Zwierzę znalazł w trawie pracownik fermy. Jako że na świat mały „łośiek” przyszedł w dniu imienin Leszka, tak też dano mu na imię. Następne narodziny zapowiadają się niebawem, gdyż potomstwa spodziewa się druga kłepa.

Mały Lesiu już po tygodniu świetnie biegał i pływał. Jeszcze przez jakiś czas będzie karmiony przez matkę, a potem zacznie jeść to samo, co pozostałe łosie – siano, ziemniaki, owies. Będzie też łapał ryby w jezioru (szczupaki, karasie, liny) i zrywał korę z drzew.

Pożytek z łosich, zawierających celulozę, odchodów zrobił Sune Haggmark. Jest on jedynym na świecie producentem papieru z tego surowca. Maciej Czapiewski zamierza z niego skorzystać, wydając m.in. pocztówki z podobiznami łosi. Bo hodować te zwierzęta chce wyłącznie ze względów turystycznych. Liczy, że chętnych do zobaczenia i poznania ich życia będzie wielu. Atrakcją ma być możliwość nakarmienia łosia. A może ktoś skusi się na łosie mleko albo ser z niego? Zaznaczyć tylko trzeba, że nie jest on tani. W Szwecji – w przeliczeniu na naszą walutę – kilogram kosztuje 1700 zł!

Łoś to uparte stworzenie. Ponoć jak pojawi się na drodze, to jak święta krowa potrafi tkwić na niej i patrzeć na stojący przed nim samochód. Doszły nas słuchy, że jeden taki „delikwent” pojawił się raz na pasie startowym szwedzkiego lotniska. Sprawiał jego pracownikom niemały kłopot... (-)

Iwona Joć



Do Koszowatki łosie ze Skandynawii trafiły w sierpniu ubiegłego roku.
Fot. Marek Adamkiewicz



Łąki, brzozowy las, jezioro – na fermie łosie mają wszystko to, czego potrzebują do życia.
Fot. Marek Adamkiewicz

O łosich w pigułce

Łoś zamieszkuje najczęściej rozległe, wilgotne lasy, bory bagienne, olsy, brzeziny, zarośla wierzbowe. Łatwo przystosowuje się do warunków środowiska i chociaż najchętniej bytuje w lasach naturalnych, to coraz częściej spotyka się go w kompleksach zagospodarowanych, a nawet w miejscach gęsto zaludnionych.

Ze względu na wielkość może ogryzać rośliny na wysokości 50-200 cm. W chwytaniu pokarmu pomagają długa, górna warga i ruchliwy język. Zazwyczaj je sosnę, jałowiec, jodłę, modrzew i świerk. Dostarczają mu one wysokokalorycznego pożywienia w postaci pąków, pędów i nasion. Latem potrzebuje około 30-50 kg pokarmu dziennie, zimą około 12 kg, a wiosną 10 kg.

Łoś jest zwierzęciem poligamicznym. Samiec przez pewien czas jest z jedną kłepą, a następnie, w tym samym sezonie, może być z drugą lub nawet trzecią. Nigdy jednak nie gromadzi „haremu”. Kłepa osiąga dojrzałość w wieku 1 roku i 4 miesięcy, byki uczest-

niczą w rui po raz pierwszy w wieku 2 lat i 4 miesięcy. Ruja odbywa się we wrześniu – październiku. Okres jej trwania wynosi u samicy około 7 dni. Czas ciąży to 226-244 dni. Kłepy wydają na świat jedno lub dwa, bardzo rzadko trzy cielęta. Rodzą się one w maju i na początku czerwca. Laktacja przeciąga się do jesieni.

Ssaki te mają doskonały węch, dobry słuch i nieco gorszy wzrok. Zanurzone w wodzie rośliny odnajdują za pomocą zmysłu dotyku. Od pierwszego dnia życia łoszaki, gdy żądają opieki matki lub chcą przyciągnąć uwagę, wydają głos o wysokim tonie. Później porozumiewają się raczej za pomocą gestów niż dźwięków.

Niezwykle długie nogi pomagają łosiom brodzić w błocie, wodzie lub śniegu oraz przekraczać przeszkody terenowe. Zwierzęta te są doskonałymi pływakami. Okresy maksymalnej ich aktywności przypadają na brzask i zmierzch. W dni wietrzne z reguły pozostają w legowiskach. W ostojach o obfitej bazie żerowej i przy dostatku wody na ogół mało się poruszają.

„Nigdë do zgùbë nie przindą Kaszëbë”

Słowa marsza kaszubskiego Hieronima Derdowskiego kończy się artykuł pt. „Wrażenia z wycieczki po Kaszubach”, napisany przez Marcelinę Kulikowską, a zamieszczony w „Kurierze Lwowskim” w 1909 roku.

Opublikowanie niniejszego przedruku zawdzięczamy Jerzemu Nacelowi, mieszkańcowi Gdańska, ale rodem z Kartuz, dumnemu ze swojego kaszubskiego pochodzenia. Jego pasją jest tropienie wszystkiego co kaszubskie. Stara się dowartościować i rozślawiać Kaszubów.

Miał zaledwie 2 latka, gdy jego ojciec, Paweł Nacel, kupiec, członek Związku Zachodniego, zapłacił najwyższą cenę za swoją działalność i bycie Kaszubą. Został zamordowany przez hitlerowców 14 września 1939 roku. W miejscu kaźni, przy szosie pod Łapalicami, znajduje się obelisk poświęcony pierwszemu szesćciu straconym tam kartuzianom.

Jerzy Nacel ukończył Liceum Ogólnokształcące im. Hieronima Derdowskiego w Kartuzach. Wcześniej, w wieku 11 lat, był ministrantem w kościele pw. św. Kazimierza. Wspominał ten okres w artykule „Wędrowki ołtarza”, który ukazał się w „Dzienniku Bałtyckim” 21 marca 2003 roku. Opisany w nim został czternastoletni „pobyt” tryptyku św. Adriana z Bazyliki NMP w Gdańsku i związane z nim przeżycia autora tekstu.

Pan Jerzy jest absolwentem Akademii Medycznej i Farmacji w Gdańsku, jej emerytowanym wykładowcą, członkiem Polskiego Towarzystwa Historii Medycyny i Farmacji. Badał historię aptekarstwa na Kaszubach, czego efektem jest m.in. monografia aptekarstwa kartuskiego w latach 1834-1945. Napisał również referaty z tej tematyki na Zjazdy Międzynarodowe PTHMiF (Gdańsk-Poznań).

Interesował się roślinami związanymi nazewnictwem z Kaszubami, takimi jak: goździk kartuski, wyka kaszub-

ska, jaskier kaszubski itp. Opracowania na ich temat zostały wydane przez Wojciecha Kiedrowskiego (kolegę z liceum) w periodyku „Zsziwk”.

Jerzy Nacel wspomaga finansowo wydawanie książek na temat kaszubszczyzny. Ufundował też replikę tablicy z Ziemi Świętej z tekstem „Ojciec Nasz” w języku kaszubskim dla kościoła pw. św. Jana w Gdańsku.

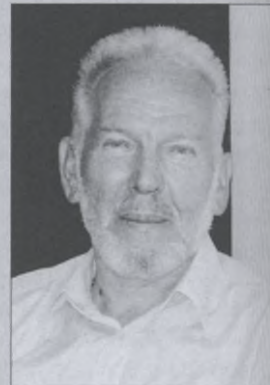
Był również inicjatorem i współautorem tablicy pamiątkowej poświęconej aptekarzom kartuskim, odsłoniętej w ramach Roku Kaszubskiego 2006.

Bibliofil – wyszukuje, odkupuje i zbiera kaszubskie szkice literackie oraz wszelkie wzmianki związane tematycznie z regionem. Udało się mu uzyskać od pochodzącego z Lwowa gdańszczanina, informację i pomoc w uzyskaniu cennej kopii artykułu o Kaszubach sprzed prawie stu lat.

Bierze czynny udział w comiesięcznych spotkaniach po mszy świętej w języku kaszubskim (druga niedziela miesiąca o godz. 11 w kaplicy kościoła pw. św. Jana w Gdańsku), w tawernie „Mestwin” przedstawiając swoje odkrycia, spostrzeżenia, opracowania.

Właśnie dzięki takim ludziom jak Jerzy Nacel „nigdë do zgùbë nie przindą Kaszëbë”.

Życzę przyjemnej lektury i zapraszam do dyskusji, co się zmieniło przez sto lat, szczególnie w zachowaniu języka kaszubskiego w miastach. (-)



Jerzy Nacel

Fot. Iwona Joć

Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
oficjalna strona

www.kaszubi.pl

codzienne aktualności biura KPZ | odjimezi | zrzeszeniowe dokumenta
kalendarium imprezów | Rok Kaszëbsczi | 50 lat Zrzeszeniô



Wrażenia z wycieczki po Kaszubach



Kapela kaszubska przy diabelskim kamieniu niedaleko Mirachowa

Fot. ze zbiorów Iwony Joć

Marcelina Kulikowska

(Tekst w pisowni oryginalnej)

Kurier Lwowski, 1909, N 291, 24 czerwca

Kaszuby! Kraj dla nas, żyjących w Galicji czy Królestwie, daleki i nieco egzotyczny, mało przeważnie znany, a niezwykle wprost z tego względu, że tam mieszkancie równin, pól, łąk, czy gór wreszcie – spotyka się z całą rodzimą, rybacką, ludem nadmorskim, żyjącym pod znakiem żagli i wiosł, fali i burzy morskiej, z którym we własnej swej mowie porozumieć się może.

I natenczas to morze, wiecznie rozgadane swoją żywą falą – innem się staje i nową nabiera treści. Jak z szerokiej płaszczyzny Wielkopolski, jak z ogromnej, rozrośniętej nad Wisłą Warszawy, jak z Wawelskiego wzgórza czy Tatrzańskiego wirchu – tak i od tego siniego Bałtyku jedną zawodzi nam pieśnią. Nuty w niej smutków, niedoli, niewoli, echa bólów i łez nad pogrzebaną przeszłością, tęsknoty ku jutrzejszemu dniowi i pragnienia ogromne, i ręce ku przyszłości wyciągnięte... i walka, walka, walka ciągle, nieustanna, zażarta.

Tak, jak to u nas, od pokoleń już tylu...

O Kaszubów toczą się, jak wiadomo i inne walki, mianowicie uczonych sławistów, nieumiejących sobie dać rady z językiem kaszubskim, który jedni dialektem polskiego, inni osobnym językiem słowiańskim mianują. I nie tylko język, ale i pochodzenie ludu kaszubskiego ma być tajemnicą okryte, nie wiadomo ile w nim może być pierwiastków wendyjskich, ile krwi czysto słowiańskiej.

Liczba ich również nieznana dokładnie. Inna jest podawana przez oficjalne źródła, zmniejszająca ją gwoździ powiększenia cyfr znaczących Niemców, inna jest ta, którą podają różni uczeni. A wiadomo tylko jedno: oto, że ostrze germanizacji niekulturalne, nieludzkie, bezmyślne – wżera się w tę ziemię i w tych ludzi, codziennie szmat nowy wydzierając dawnym właścicielom, dążąc jednocześnie do zagłady tego pięknego, bogatego języka, którym dziś jeszcze po wioskach i miasteczkach mówią starzy i młodzi, którym piszą, nieliczni wprawdzie, ale utalentowani poeci kaszubszy.

Kościół, szkoła, urząd, gazeta, stowarzyszenie, a prztem siła, pięść i nienawiść – oto są bronie, których się używa ku zniemczeniu Polaków. Na Kaszubach, lud niezbyt liczny (od 150.000 do 200.000 głów wynoszący), mało narodowościowo uświadomiony, niezawsze jeszcze może i umie przeciwstawiać wrogim zakusom – własny swój, narodowy interes.

Na tych dalekich kresach warunki są ciężkie: Większa własność przeważnie już w rękach niemieckich, inteligencji rodzimej brak – w lud wiejski wrzynające się gęsto wielkie kluny ludności niemieckiej, której część nie od dziś tam przecie siedzi.

A przytem i ekonomiczne warunki trudne. Ziemia Kaszubska, choć pięknymi wzgórzami obsiadła, choć ładnymi jeziorami zasłana, choć stykająca się z błękitną

falą Bałtyku – biedna jest, piaszczysta, lekka, nie na wszystkie nadająca się posiewy, głównie „bulwie” (ziemniakami) rodząca.

Kaszubowie w Prusach Zachodnich mieszkają w 7 powiatach: człuchowskim, tucholskim, chojnickim, kartuskim, wejherowskim, puckim i gdańskim.

Miasta są naturalnie więcej zniemczone, niektóre na wskroś niemieckie. Ludność powiatów północnych mniej uświadomiona i odporna narodowo.

Pierwszą wycieczkę, dla powierzchownego bodaj zapoznania się z Kaszubami – odbyłam do Wejherowa (Neustadt) w dzień poprzedzający Wniebowstąpienie, święto czczone odpustem w Wejherowie.

Z Gdańska jedzie się godzinę koleją. Przejeżdża się okolicą nadmorską, polami, mijając miasta, wsi, z których jedne są niemieckie inne kaszubskie. Kaszubska jest nadmorska Gdynia, nad nią, na oksywskiej kępie leżąca malownicza Oksywjia.

(C. d. n.)

Kurier Lwowski, 1909, N 293, 25 czerwca

W Wejherowie ruch odpustowy. Parę gromadek kobiczych wysiada z wagonu, gwarząc o mającej nadciągnąć kompanji z Kościerzyny. Przyłączam się do nich i ku wielkiej mojej ucieście rozumiem Kaszubki, które mówiąc ze mną, starają się mówić czystą polszczyzną. Język literacki polski, jest na Kaszubach językiem kościelnym, w nim odbywają się kazania, drukują książki do nabożeństwa, matki uczą na nich czytać dzieci. W ostatnich czasach, wobec pracy nad uświadomieniem narodowem na Kaszubach – rozchodzą się poczęły liczne gazetki ludowe, jak: „Pielgrzym Telpiński”, „Gazeta Gdańska” i „Gazeta Grudziądzka”, której prenumeratory doszli do imponującej liczby 90.000!!

Moje towarzyszkii obiecują ciceronować mi w zgietku odpustowym. Prowadzą mnie do krewnych, zamieszkających w Wejherowie. Po stromych schodach wchodzimy do biednej, wyrobniczej izby. Zastajemy w niej kilka osób do różnych należących pokoleń. Nie dziwi się memu przypadkowemu, a niespodziewanemu wtargnięciu, gawędzimy swobodnie i mile. Uderza mnie w tych lu-



Gród Wejhera

Fot. ze zbiorów Iwony Joć

dziach spokój i prostota. Mając przed sobą jednocześnie przedstawicieli kilku pokoleń w jednej rodzinie – mogę naocznie śledzić, jakim jest postęp germanizacji, rezultat urzędowej pruskiej szkoły. Niestety, dostrzegam zjawisko nad wyraz smutne: stara babka mówi tylko po kaszubsku, syn jej, człowiek dojrzały – włada biegle obydwojma językami, młodzieniec zaś 20-letni mówi wprawdzie po kaszubsku, ale chętnie wtrąca do rozmowy całe zwroty niemieckie, niekiedy zaś wprost po niemiecku do pozostałych przemawia.

Wiem, że zjawisko to często powtarzać się będzie, że jest rezultatem tej najokropniejszej walki przez szkołę i duszę dziecinną, wiem, że w zniemczonym jak Wejherowo mieście, musi ono plastyczniej występować niż to być może w innych miejscowościach Kaszub, jednakże spotkawszy się na tej ziemi po raz pierwszy z jasnym rezultatem germanizacji młodego pokolenia – doznaję wrażenia smutku i trwogi.

– Gdzie pan pracuje? – pytam młodego chłopaka.

– Byłem w „brauerei”, ale tam teraz nie jem i przynajmniej się szczerze, że lepiej zna i lubi więcej mowę niemiecką od ojczystej.

Zresztą, czyż on, wychowanek szkoły pruskiej, bierny pionek w rękach obcych, od 7-go roku życia mimo wiedzy i woli wyzuwający się ze wszelkich węzłów historii i uczuć swego narodu, może znać i lubić ten język, którym mówi wprawdzie babka i matka, ale który tu, w oczach jego ciągle poniżany i deptany ustępuje przed innym, obcym, przez gwałt w myśli jego i w serce wtłaczanym?... A wszakże on w sobie ani świadomości, ani siły nie ma, aby przeciwstawić własną wolę, własny, bliższy mu interes, aby nie uleść gwałtowi, którego się na nim dopuszczają...

Uprzejmi gospodarze pokazują mi druki, znajdujące się w posiadaniu rodziny. Te „papiery” są to książki do nabożeństwa polskie i gazeta: „Ostdeutsche Arbeiter Zeitung”, którą z niemieckiego Tow. katolickiego dostają. Imiona dzieci tej rodziny: Greta, „knop” (chłopiec) Leo, do matki mówią po kaszubsku „nanko”.

Wychodzimy na miasto. Ruch i ożywienie znaczne. W rozstawionych straganach sprzedają odpustowe drobiazgi i smakołyki. Kupcy i kupcowe, to Niemcy lub Kaszubi. Ci ostatni do kupiectwa, podobno, wielkie mają zamiłowanie.

Idziemy na spotkanie kompanji z Kościerzyny. Jest nas kilkaset osób. Sposobność do słuchania mowy, badania typów. Wydaje mi się, że niekiedy chwytam różnicę północnego a południowego dialektu, który jest bardziej do polskiego zbliżony. Ubrania widzę tylko miejskie, ciemne, z przeważającą u kobiet barwą czarną. Czarne na głowie włóczkowe chusteczki, ciemne spódnice, kaftany, fartuchy. Wiele z nich nosi kapelusze. Ubrania wszystkie bardzo brzydkie, bez cech charakterystycznych, tandetne, nie różniące się zresztą od okolicznych ubrań niemieckich.

(C. d. n.)

Kurier Lwowski, N 302, 1 lipca 1909

Brzydko w tych strojach wygląda nasza gromada.

Przeciętny typ Kaszuby nie jest piękny. Rysy ich twarzy są nieregularne. Wzrost często zaledwie średni. Twarze ich mają wyraz łagodny, zęby zdumiewają białością. Zresztą dookoła zamieszkały lud niemiecki, którego przecież znaczna część od rdzennych mieszkańców tej ziemi pochodzi – piękny także nie jest.

Gdy tak liczną gromadą idziemy drogą polną, niebo nad nami zasnuwane chmurami, wicherzyśko zimne dmie... Wiosna tu zwykle późna, w tym roku jeszcze wyjątkowo spóźniona. Pola piaszczyste, lekkie, ledwie do siewów zorane, czernieją po obydwu stronach drogi. Posiewy ozime drobne, blado-zieloną runią wydobywają się z pod ziemi... Z jednej i drugiej strony okrażają Wejherowo łańcuchy niewysokich wzgórz, porośniętych lasem...

Gdy nadciągnęła kompanja kościerzńska, wracamy z nią ku miastu. Nie widzę w tej gromadzie ludzkiej temperametu, który widziałam kiedyś przy podobnej okazji w Częstochowie.

Idą wszyscy porządnie, systematycznie, niekiedy tylko, dość rzadko, odezwie się głos jakiś niecierpliwszy, zgęstnieje, stłoczy się tłum, przystanie ktoś chwilowo, sprawiając małe, nieznaczne zamieszanie... Do naszej gromady podchodzą chłopaki, kupczący cukierkami.

Mówią do mnie po niemiecku. Odpowiadam po polsku.

Chłopak, z charakterystycznym grymasem rzuca mi wyzywająco:

– Ich verstehe nicht polnisch.

Grymas ten już tylokrotnie u dzieci dostrzegałam...

Mówię do chłopca po polsku, tłumaczę, że kupić nie mogę, bo po niemiecku nie rozumiem.

Odchodzi, po chwili jednak wraca i twardą wymową po polsku towar mi swój ofiarowuje.

Takbym pragnęła znać dzieje tego dziecka. Prawdopodobnie przodkowie jego po kaszubsku lub po polsku mówili. Może jego dziadek i babka dziś jeszcze nie mówią inaczej, on sam jest synem ciemniejszego narodu, a za lat już kilka, kilkanaście w ciemność się przedzierzgnąć może... Oto tu, na tej ziemi, będącej od tylu wieków terenem ścierania się i walki dwu ras, w chwilach, gdzie już nie walka, ale gwałt, przymus, gniot – zmieniają codzienne konfigurację wzajemnego ilościowego stosunku narodowości – widz naocznie stwierdzić może, jak jeden i drugi ząb maszyny państwowej w żywy organizm narodu się wgłębia i jak ciało jego i krew we własny swój ustrój przetwarza. I oto się czuje, czym jest ta siła zbiorowa, opancerzona prawem pisanym i prawem miecza i oto się czuje, czym jest niemoc słabszego, upokarzający ból pokonanego, a świadomego, który patrzeć musi, jak wrogą mu ręką szarpie rany i sięga aż po żywe serce...

W zaborze pruskim bezustannie podobne nasuwają się myśli i wzruszenia i zwracać się trzeba do historii,

szukać przyczyn w psychologii narodów, a dla wydobywania iskry pociechy – patrzeć na żywą, intensywną pracę ludzi współczesnych, biegnącą drugą, równoległą falą z germanizacyjną robotą rządu i hakatystycznym jadłem, wszczepianym w krew niemiecką. Tu, w samym Wejherowie, spotyka się odrazu z trzema przykładami krzepkości i odporności rodaków naszych z zaboru pruskiego.

Istnieje tu Bank kaszubski, stowarzyszenie spożywcze Merkury, oraz inne – Kupiec, które prowadzi wielki sklep towarów łokciowych i konfekcyjnych. W „Kupcu” ruch wielki. Przychodzą po towar Kaszubi i Niemcy. Personal sklepowy naturalnie polski. Istnieje od lat 5 w Wejherowie, powodzi się Kupcowi dobrze, działalność jego jest sprężysta, a na rozumnie pojętym interesie oparta, bo aż 6% dywidendy akcjonariuszom wypłaca.

Konkuruje szczęśliwie z niemieckimi firmami w Wejherowie i okolicy, a ruch jest tak znaczny, że musiano przy sklepie dobudować wielką oszkloną halę dla pomieszczenia towarów. Obok Kupca ma siedzibę swoją Bank kaszubski – z drugiej strony rynku, w wielkiej kamienicy mieści się sklep Stowarzyszenia spożywczego Merkury. Obok sklepu imponująca rozmiarami, mogąca pomieścić do 1.000 osób sala, przeznaczona na zebrania Towarzystw polskich. W sali jest estrada, na której odbywać się mogą przedstawienia polskie, odczyty, rozbrzmiewać chóry.

(C. d. n.)

Kurier Lwowski, N 304, 2 lipca 1909

Wielkość tych przedsiębiorstw, ruch w nich panujący, ożywienie, sprawność, czynią silne, podniecające wrażenie. Naprzeciw jednej fali – płynie inna i przeciwstawia cudzej sile – własną siłę. Są to wcielone w czyn hasła walki ekonomicznej, rozbrzmiewające tak potężnie w całym zaborze pruskim. Kupujemy u swoich, łączymy się w spółki, zrzeszenia, towarzystwa. Towarzystwo wielkie, rozrośnięte, sprężyste, daje poczucie własnego życia i własnej mocy, którą przeciwstawia wrogiej. Na nic, na nikogo liczyć nie można, pomocy nie da nikt, żadne niespodzianki nie przyjdą, jedno tylko źródło: brać z siebie samego i w siebie tylko wierzyć.



Gdynia – wieś

Fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

Wejherowo jest miastem powiatowym, założonym w r. 1643 przez wojewodę malborskiego, Jakóba Wejhera. Znanie jest szeroko na Kaszubach dzięki istnieniu w nim Kalwarii i przywiązanych do niej odpustów. Kaszubi są nadzwyczaj pobożni. Miasto jest obecnie bardzo zniemczone, w powiecie zaś wejherowskim żywioł kaszubski przekracza 2/3 ogólnej ludności. Wejherowo wchodziło w XVII. w. w skład dóbr, które rodzina Sobieskich na Kaszubach posiadała.

Dziś dobra Wejherowskie, z pięknym dworem i obszernym, starym parkiem są własnością dziedzica Niemca, miasto zaś samo niewielkie, ale schludne, nie różni się na pozór od małych miasteczek niemieckich. Z czasów założyciela pozostał tu piękny kościół katolicki, w którym się mieszczą portrety fundatorów, należących do rodzin Wejherów, Przebendowskich, Radziwiłłów.

Na sklepach widać już tylko napisy niemieckie, niekiedy uderzy brzmienie polskiego lub kaszubskiego nazwiska obcą pisaną pisownią.

W wejherowskim powiecie leżą wsie nadmorskie: Gdynia, oraz Oksywie na kępie Oksywskiej.

Do Gdyni jedzie się przeszło pół godziny od Gdańska. Dzień cudny, niebo i morze tak błękitne, jak na dalekim południu, roślinność wiosenna wczesna, blade jeszcze, wiotkie na drzewach listeczki, niskie drobne dźbła zbóż zasianych jesienią. Pod wiosenne posiewy – orzą zaledwie.

Gdynia rozłożona nisko nad morzem. Idzie się przez środek wsi piaszczystej, źle utrzymaną szosą; do chatup leżących dalej od drogi – prowadzą dróżki polne, słabo w piaskach zarysowane. Brak roślinności i surowość nagiego, białego piasku – nadają wiosce charakter pustylny i smętny. Domy są przeważnie parterowe, murowane i lepienne, dachówką lub strzechą kryte.

Przechodzę obok szkoły, gdzie na podwórzu chłopcy wykonują ćwiczenia gimnastyczne. Część dzieci wychodzi już z budynku szkolnego. Każde uprzejmie pozdrowienia niemieckim słowem: gut Morgen. Próbuje mówić z niemi, rozumieją wszystkie i wszystkie po kaszubsku odpowiadają. Rozmawiam i z dorosłymi, kobiety zaalarmowane są panującą na wsi szkarłatną, którą nazywają: „pryszcz”. Oto przed godziną dziecko jedno umarło...

Pytam którąś z kobiet, czy pozwoli zwiedzić chatę. Nic nie ma przeciwko temu, mówi tylko, że są: „ubodzy ludzie”.

Istotnie, izba przez jej rodzinę zamieszkała mała, niska, tandetnymi, miejskimi meblami wypełniona, służąca za mieszkanie kilku osobom, sprawia wrażenie ubogiej. Ubogą jest i następna i trzecia, do której wchodzi.

Na ścianach rozwieszono wielkie i liczne obrazy świętych. Ojciec rodziny naprawia sieci i na hacзки zakłada przynętę dla ryb. Twarz ma ogoloną, jak zwykli do czynić rybacy nad wielu morzami. Łowią tu flondry, ale głównie

latem. Na ulicy widać rybaczki, dźwigające na plecach wielkie, z łoża plecione kosze. Przy dość krótkich spódniczkach – sprawia to malownicze wrażenie. Kilka kobiet niesie powiązane pęki flonder w rękach. Życie tu rybackie, morskie...

Opowiada jeden, drugi, że syn, czy ojciec rodziny jest gdzieś obecnie na morzu, w dalekich krajach, jako marynarz. Na horyzoncie widać parę łodzi... Pierwszy raz mam sposobność z nadmorskimi mieszkańcami mówić językiem rodzinnym. Kaszubi rozumieją mnie wybornie, nazywają tu, w Gdyni polski język „wysokim”.

– Pani mówi z „wysoka” – powiadają mi – język ten jest „fein”.

Książki do nabożeństwa mają polskie, gdyż w parafii Gdyńskiej – w sąsiedniej Oksywii nabożeństwa i nauka kościelna są polskie. O gazetach opowiadają, że niektórzy czytają polskie: „Pielgrzyma”, „Gazetę Grudziądzką”, inni zaś – niemieckie.

Kurier Lwowski, 1909, N 310, 6 lipca

Starsza kobieta, którą spotykam na drodze – mówię tylko po kaszubsku. Córka jej i wnukowie dobrze władają po niemiecku. Któraś opowiada, że jej po niemiecku mówić „milej”...

Jednakże w Gdyni, ani w położonej wyżej, malowniczej Oksywii nie spotkałam nikogo, kto by nie mówił po kaszubsku. Mówią językiem ojczystym dorośli i dzieci. Średnie i młode pokolenie językiem niemieckim włada biegle. Spotykam dwie wędrownie kupcowe, które z towarem swym zwracają się do kaszubek po niemiecku: te ostatnie tylko już w tym języku im odpowiadają.

Podobno lud kaszubski mało swój język szanuje. Niemiecki i polski, języki kościelne, państwowe, języki, którym władają stykające się z ludem Kaszubskim klasy uprzywilejowane – wydają im się piękniejsze i wykwintniejsze. Brak dostatecznego uświadomienia narodowego – jest tego przyczyną.

Sprawy językowe, religijne, narodowościowe – dość jeszcze niejasno przedstawiają się umysłom ludu Kaszubskiego. Pytałam o to ludzi znających tutejsze stosunki i sama starałam się zrozumieć to zjawisko. Sprawa przedstawia się tak: polskość, kaszubskość i katolicyzm stanowią jeden spleciony węzeł, niemieckość zaś i luteranizm drugi – z których zwykle trudno wybrać.

– Czy Polak a katolik to jedno?

– Ja... ja...

– A czy Niemiec katolik to Polak.

– Ja... ja... tylko on po kaszubsku (lub po polsku) nie goda...

– A czemu?

– Nie umie – nie chce...

– A Niemiec?

– Niemiec – to luter...



Gdynia, ok. 1904 r.

Fot. ze zbiorów Muzeum Miasta Gdyni

Wielu opowiada, że czyta gazety polskie, niemieckie – mi literami drukowane. Okazuje się, że tytuł takiej „polskiej” gazety brzmi: „Yolksblatt”, a redagowana jest przez jakieś katolickie, niemieckie stowarzyszenie. Zresztą słyszałam i od Niemców z ludu tutejszego odpowiedzi podobne. Jeden z nich, żonaty z Kaszubką dowodził, że jest tej samej co i żona narodowości, tylko, że jest deutsch katolik, a ona polnisch katolik.

Jednakże wielu Kaszubów zdaje sobie jasno sprawę z narodowości swojej. Zdarza się niejednokrotnie spotkać z głęboką świadomością i mocno wkorzenionym uczuciem narodem polskim.

W pobliżu od Gdyni Oksywji, wsi rolniczej, mieszkają „Gburzy”, t.j. zamożniejsi gospodarze, posiadający paruset morgowe gospodarstwa, 2-4 koni, odpowiednią ilość krów i innego bydła. Domy gburów są okazałszy niż domy biednych rybaków. Na oznaczenie biedniejszego rolnika – posiadają Kaszubowie wyraz półgbur. Chałupnik zaś jest to już biedak, wyrobnik rolny, nieposiadający koni.

Ze wzniesionej Oksywskiej kępy – roztacza się piękny, morski widok.

Kępę tą opisuje poeta Kaszubski Aleksander Majkowski:

Tam w dole szumią dune
I pianą rąbią krej,
Tu w górze płaczą zwone
Na grobów cechy rej.
Tu kosciołk miedze grobe
Jak wdowa wtuleł sę,
A płoszczem goe żalobę
Okrywa z morza mgła...

Pragnąc użyć prawdziwie pięknego a pełnego widoku morskiego i jednocześnie zapoznać się ze wsią pół-

nocną kaszubską – należy dojechać do Wielkiej Wsi. Leży ona w północnej części Kaszub, w powiecie Puckim. Okolica ta należy do mniej ziemczonych. Kaszubowie północni należą do tak zw. „beloków”, t.j. nie wymawiających twardego ł.

Wielka Wieś położona jest u wstępu na półwysep Hełę, oddzielający zatokę Pucką od Bałtyku. Półwysep ten jest bardzo wąski, tak, że leżąca na granicy jego Wielka Wieś siedzi jakby na czatach nad wielkim (Bałtyk) i małym morzem (zat. Pucka).

Jest to wieś czysto kaszubska. Pokazywano mi tylko jeden dom, będący własnością prywatną Niemca, słyszałam nadto jednego z wieśniaków, rozmawiającego z żoną Niemką po niemiecku.

(C. d. n.)

Kuryer Lwowski, 1909, N 312, 7 lipca

Wieś, mimo nazwy, niewielka, przeważnie rybacka. Być może, że kaszubski swój charakter zawdzięcza niedogodnemu połączeniu z resztą świata. Z Gdańska bowiem trzy razy koleje zmieniać trzeba, aż wreszcie z przystanku Gnieźdźewa niewygodną, piaszczystą szosą po przebyciu około 7 klm. do wsi dostać się można. Z dwu stron tej drogi rosną drzewa, z dziwnie powyginanymi od wichrów koronami, „olszki” to i „jassy” (olchy i jesiony), jak mnie objaśnia woźnica.

Wieś wygląda ubogo. Widzę w niej, jak już zauważyłam w innych wsiach kaszubskich – parę systemów chałup. Starsze – niższe, lepienie, często słomą kryte – nowsze, wedle urzędowych wzorów budowane, wygodniejsze, wyższe, murowane, kryte dachówką lub papą.

Na starszych domach, na szczytach dachów – sterczą z dwu stron drewniane, krótkie krzyże.

Nad wsią snują się dymy gęste, torfowe.

Dookoła cisza i spokój.

Gospodynie w małych ogródkach sięją warzywa, dzieci spędzają z pastwisk krowy. Jakaś przedsiębiorcza Kaszubka kupuje od kobiet szmaty i na wielki wóz je układa.

Na jednym z domów uwite bocianie gniazdo. Na końcu wsi stoi nowy, piękny budynek szkolny. Opasany ogródkiem, obwieszony siatką żelazną – z jednej strony ma ładny widok morski.

Przechodząc obok szkoły widzę główki dziecięce nad zeszytami pochylone. Ze szkoły wychodzą równym, żwawym krokiem i wszystkich po niemiecku pozdrawiają. Jedną za drugą kropłą sączy się w serca i myśli dziecinne...

Poszłam nad brzeg „wielkiego” morza, piaszczysty, szeroki, przepysny. Miękki piasek tworzy jasną wstęgę wybrzeża. W tem bładem obramieniu występuje miodra, żywa fala Bałtyku.

Dziś morze rozgadane, szumiące. Trochę nad niem mgieł wisi, przyćmiewając jego barwę i przejrzystość. Szum fali jest również głuchszy, matowy. Ale przestrzeń tych wód ogromna, powietrze nad nimi czyste, przepyszne. Ponad brzegiem przelatuje ptactwo, białe. Są to ciche mewy („miewy”)...

Na brzegu łodzie rybackie, sieci i rybaków kilku. Jeden z nich stary, ze zrumienioną od wiatrów twarzą, w dziwnej, barankiem wąskim oszytej czapie na głowie. Po niemiecku nie rozumie wcale. W oczach ma taki wyraz, jakby się tem chlubił chciat.

– A żal wam, że dzieci tyle się po niemiecku uczą...

– Cóż robić – pani...

Splunął przez zęby i do łodzi wsiadł. Podeszli ku niemu dwaj młodszy, którzy jeli łódź na morze spychać. Zakłótyła się, raz, drugi, oni do niej wskoczyli dziarsko, kilkanaście uderzeń wiosłami dali – i znikli mi z przed oczu, wypłynęli na wodę, na morze, na szeroką, szeroką falę.

Niezwykle piękny jest ten piaszczysty, otwarty brzeg morski, pusty, głuchy, bez hoteli i kurhausów, bez gości kąpielowych, automatów i fonografów.

...Kawał ziemskiego szlaku otwarty niebu i słońcu, wiochom i deszczom, szumom morza i głosom gromów...

...I fala... ta wieczna fala, co mija, by przyjść, znowu ta sama, niezmienna... Ileż ona wysłuchiwała bolesnych skarg, bolesnych dum człowieka... Iluż pokoleń świadkiem już była, ileż widziała grzebanych, w nicościach ginących... I tu nad tym szmatem ziemi ileż ponad nią mocy ludzkich już przeszło... I oto teraz gra, temu nielicznemu nadmorskiemu ludowi kaszubskiemu i oto patrzy, jak na zgon jego czyha dzień każdy, godzina każda...

*

Powiat kościerski należy do najbardziej uświadomionych w sprawach narodowych i walki z germanizacją.

Jechałam tam z Gdańska w niedzielę rano. Na dworcach, w wagonach tłok znaczny. Jadą liczni wycieczkownicy świąteczni, nadto wielka ilość członków związku by-

łych wojskowych, spieszących na doroczne święto. Pełno tych panów w wozach wszystkich klas. Ubrani odświętnie: we frakach, cylindrach, tużurkach, zwykłych sukniach – jak kogo stać, jak kto może.

Wszyscy noszą odznaki swego stowarzyszenia: czarne, państwowe orzełki i kwiaty w bułoniczkach.

(C. d. n.)

Kurier Lwowski, 1909, N 314, 8 lipca

– Deutschland, Deutschland über alles... widać, słysząc, czuć z ich mowy, z ich wzroku, z ich głosu. Publiczności mówiącej innym językiem niż niemiecki – nie dostrzegam w moim przedziale III klasy, dopiero w sąsiednim IV słyszę mowę kaszubską...

Na stacjach, jak zresztą wszędzie w zaborze pruskim napisy niemieckie, pisma niemieckie, nazwy niemieckie... Wiem, że istnieją inne, dawne, słowiańskie brzmienia, które jednak zacierane są z całą energią. Kościerzyna – stare, odwieczne miasto – nosi oficjalną nazwę: Berent in West-preussen. Na jednej ze stacji wysiadają moi towarzysze podróży, czekają ich tłumy współkolegów, muzyka, wieńce, sztandary, tu bowiem odbyć się ma święto związku wojskowego. Ruch ogromny, wrzawa, radość, tryskająca ze wszystkich twarzy pewność siebie i śmiałość...

W pustym już niemal przedziale – jadę dalej, unosząc z sobą wrażenie, że oto patrzyłam przez chwilę na falę, która nas żywymi chłonie...

Wysiadłszy w Kościerzynie, idąc dość długą drogą, wiodącą do miasteczka – słyszę już tylko język polski i kaszubski. Zresztą języki te są tak tu pokrewne, że ja właściwie nie umiem ich odróżnić. Kościerzyna liczy 7000 mieszkańców. W tej liczbie 5000 Polaków. Spotykam się tu z silnym napięciem walki narodowościowej, hakatyzm z jednej, pobudzenie ducha polskiego – z drugiej strony najeżyły ostrą bronią granice między dwiema narodowościami. „Gazeta Grudziądzka” rozchodzi się tu w znacznej ilości egzemplarzy, istnieją Towarzystwa: przemysłowców, młodzieży chrześcijańskiej, rolnicze, rzemieślników i t. d. W stowarzyszeniach tych odbywają się liczne wykłady.

W Kościerzynie zakupione już są budynki, wraz z ogrodem na Dom Polski, który stanie się tu głównym ogni-



Dawna Kościerzyna. Fot. ze zbiorów Iwony Joć

skiem życia towarzyskiego i oświatowego, mieścić w sobie będzie czytelną i bibliotekę. Niedaleko od Kościerzyny, w lesie, nad malowniczym jeziorem mieszka kaszubski prototyp Drzymały, gbur Aleksander Pepliński, który cztery długie lata, na własnym zagonie, w wozie przemieszkał.

Rozparcelował on przed kilku laty większą własność swoją, a na pozostałej części sam zamyślił osiąść. Gdy chciał, na tej ziemi, wynoszącej przeszło 300 morgów wraz z lasem – wystawić dom mieszkalny – doznawać począł wielu szykan ze strony władz. Dokuczano mu tak, że sam, własnymi rękami, nie kupując nic od Niemca zbudował wóz kryty, w którym z rodziną zamieszkał, a z „ojczyzny” (ojcowizny) swej nie ustąpił. Przetacza ten swój dom ruchomy z jednego kraju lasu ku drugiemu, i tu wśród szumu sosen, nad zwierciadłem jeziora – wypracowuje w sobie ducha oporu i samoobrony. Nie dali w domu stałym na „ojczyźnie” osiąść – więc wymyślił sobie wóz mieszkalny i tu, w srogie zimy, wśród niewygód i prześladowań żyje i żyć chce...

*

W Kościerzynie wychodzi pod redakcją dra Majkowskiego „Gryf”, pismo sprawom kaszubskim poświęcone.

Gryf jest herbem kaszub. W artykule wstępnym redakcja „Gryfa” zadania swe i cele zaznacza:

„Do dziś dnia o kresach kaszubskich wśród inteligentnego ogółu polskiego często dziwne i zgoła błędne istnieją pojęcia. Urywczę artykuły dzienników, osobiste wrażenia kuracjuszy sobockich, wywiady u osób, żyjących dłuższy lub krótszy czas wśród Kaszubów, a mimo to zupełnie obcych przyrodzie i duchowi kaszubskiemu – tworzą często materiały do obrazu Kaszub i Kaszubów chybionego na wskroś.

Na jednym tylko polu i to w dziedzinie językoznawstwa dokładne i ścisłe naukowe posiadamy prace, wykonane przez swoich, nie mówiąc o licznych publikacjach na ten temat ogłoszonych przez Niemców”.

...Uderza na pierwszy rzut oka, że właśnie sprawa językowa na Kaszubach tak żywo zainteresowała społeczeństwo. Polega to na tem, że na tym punkcie system germanizacyjny zakłada dźwignię, aby podług zasady „divide et impera” rozbić jedność Kaszub z Polską i tem łatwiej kresy nadbałtyckie zgermanizować.

(C. d. n.)

Kuryer Lwowski, 1909, N 316, 9 lipca

Wobec tego, że nie jest jeszcze ustalone wśród sławistów zdanie, czy język kaszubski jest językiem samodzielny, czyli też narzeczem polskiego – redakcja „Gryfa” pisze:

„Spór uczony z hasłami: tu język odrębny, tu narzecze: niezdolen naszym zdaniem wpłynąć po dziś dzień już na stosunek Kaszub do Polski. Istnieją silniejsze więzy, łączące nas w jeden naród: wspólność kościelna, kul-

turalna, wspólna tradycja historyczna i wspólna niedola”.

Dalej w tymże artykule czytamy:

„Ciekawy życia kaszubskiego nad jeziorami, wśród wzgórz i borów znajdzie wsie, zaludnione przez oraczy i rybaków, mieszkających w domach, które noszą znamię mistrza rodzimego, zdrowy i silny naród na łonie szorstkiej, ale oryginalnej piękności przyrody. A bliżej poznawszy ich tryb życia, zadziwi się tej swojskiej, rodziwej kulturze gburskiej. Zadaniem naszym będzie działać informująco pod tym względem, żywiąc nadzieję, że uda się wśród szybko dokonującej się zmiany, utrwalić niejeden objaw życia Kaszubów, przyswoić go kulturze naszej, polskiej”.

Redaktor „Gryfa” jest Kaszubą z urodzenia, sprawy kaszubskie zna i na sercu mu one leżą.

„Gryfa” przeznaczył dla Polaków z dalszych okolic i za-borów, ma też trochę prenumeratorów w Poznańskim, Galicji, Królestwie. Z „Gryfa” dowiadujemy się o statystyce, etnograficznemu rozsiadleniu Kaszubów, czytamy o sztuce ludowej kaszubskiej, której zabytki w małym muzeum gromadzi pan Gulgowski w Wdździe (Sandorf).

Dodać na tem miejscu należy, że istnieje Tow. poświęcone ludoznawstwu kaszubskiemu, wydające sprawozdania (po niemiecku): „Mitteilungen des Vereins für Kaschubische Volkskunde” pod redakcją dra Lorentza, zajmujące się od lat wielu badaniami nad językiem kaszubskim i pana Gulgowskiego, nauczyciela w Wdździe.

„Gryf” uwzględnia bardzo dział baśni i opowiadań ludowych. Literatura kaszubska ludowa, zawarta w baśniach jest bogata i oryginalna. Pieśni Kaszubowie mają mało, nie śpiewają wiele. „Pomerania non cantat” pisa-no od dawna. W kościołach lud śpiewa rozpowszechnione i gdzieindziej polskie pieśni.

Literatura kaszubska pisana jest zjawiskiem pochodzącym z XIX w. Pierwszy po kaszubsku zaczął pisać dr. Florjan Ceynowa, rodowity Kaszuba, który musiał stworzyć specjalną ortografię, odpowiadającą bogatym dźwiękom narzecza kaszubskiego.

Do postaci dr. Ceynowy, przywiązują zwykle epitety oryginalności, tajemniczości, a nadto spotyka się ten pierwszy działacz kaszubski z zarzutami moskalofilstwa, a wrogiego względem bliskich Polaków usposobienia.

Poeta Jarosz Derdowski, autor poematu „O panu Czarlińskim co do Pucka po sece jechał” – czuł się natomiast szczerym Polakiem i ofiarowując swój utwór J. I. Kraszewskiemu, w przedmowie pisze:

Czujcie to ze serca toni

Skłód nasz apostołści

Nie masz Kaszub bez Poloni,

A bez Kaszub Polści...

Pod względem artystycznym utwór Derdowskiego stoi na wysokim poziomie i z tego względu zasługuje na sze-

rokie rozpowszechnienie, jak również, iż zaznajamia nas z piękną naturą kaszubskiej, ze zwyczajami ludowymi, które dostrzegł i utrwalił bystry wzrok poety. Poemat ten, pełen humoru, jędrności, świeżości – pisany jest gwarą kaszubską, jakiej używają w pow. Chojnickim, skąd autor pochodził, i nie przedstawia zbyt wielkich do pokonania trudności dla czytelnika polskiego.

Napisał jeszcze Derdowski „Kaszuba pod Widnem” i „Jasiek z knieji”.

Trzecim i ostatnim zarazem pisarzem kaszubskim jest dr. Aleksander Majkowski, poeta, redaktor „Gryfa”.

Wydał on poemat p. t. „Jak w Koscerzynie koscielnego obrele”, oraz zbiorów wierszy lirycznych, pod tytułem: „Śpiewy i frantowci”.

(C. d. n.)

Kuryer Lwowski, 1909, N 322, 13 lipca

W tym ostatnim jest wiersz, poświęcony mowie kaszubsko-pomorskiej:

*Legł ce ojc z mieczem w rękę, wojną bity, w grobie.
Brat szedł pod białym orłem zdobywać so światę,
I, dziecko, ciebie nie znoł, cieć poleczał brate.
A świat zabył o krzywdzie twojej i o tobie...
I jak gąskas se pasło prze wejadłem żłobie,
I cezy cę wegnele z progu twojej chaty,
I błotem oczepele ce królewskie szatę,
I żywcem chceleć kopać w niestrojonym grobie.
A ty biedno seroto w tak płacziwyj doli
Niemo szłas między pola stród maku i wrzосу,
I nawet nie umiałaś mówić, co cę boli,
Bo wstydzelaś se sama swygo w piersi głosu.
Jaż cę i przytuleł szare wieście strzeche
Beś dzeleła jich młode smutci i uceche!*

*(Z mieczem legł w rękę ojciec pośród bitwy w grobie,
Brat szedł pod białym orłem na zdobycie świata
I dziecię nie wiedziało, kędy droga brata,
Świat zapomniał o krzywdzie twojej i o tobie.
I jak gąska tyś pasła się przy pustym żłobie,
I obcy cię wygnali z progów twojej chaty,
I błotem pokalali twe królewskie szaty,
I żywcem chcieli grzebać ciebie w zimnym grobie...
A ty biedna sieroto w tak płacziwej doli
Niema szłas między pola, śród maku i wrzосу
I nawet nie umiałaś mówić, co cię boli,
Bo wstydziłaś się sama swego w piersi głosu,
Aż cię przytuliły szare, wiejskie strzechy,
Byś dzieliła ich drobne smutki i uciechy.)*

I oto teraz na Kaszubach rozpoczyna się praca, mająca na celu obronę owej pięknej, zaniedbanej mowy.

Sądząc z poezji Derdowskiego i Majkowskiego – dochodzi się do przekonania, że ten język dotychczas mało opracowywany literacko jest jednak bardzo bogaty, giętki, plastyczny, obrazowy. Być może, że to indywidualność poetów wycisnęła na nim to piętno, w każdym jednak razie, czytając ich prace doznaje się prawdziwie artystycznych wrażeń i rozkoszy, podziwia humor, jasność, świeżość, ten dech czysty, szeroki, tę krzepkość i jędrność słowa, które ich znamionują. Być może, że dla poznania Kaszub i Kaszubów przystępować należy pierw do czytania ich poetów, wśród nich urodzonych, wrośniętych i wychowanych.

Na tych pieśniarzach kaszubskich wycisnęła swe piętno piękna, romantyczna, czasem groźna natura kraju. Grały im od kolebki wichry morskie, fale jezior, szumiały korony leśne i łany pól, pustkowiec piaskami wiejące lub wrzosami porośnięte. A znaczyła ich także dola ludu, przeszłość jego daleka i tajemnicza, w bańnię spowita, i późniejsze, tak różne koleje jego losu, i te wreszcie dnie dzisiejsze, przed którymi staje się jednym, wytężonym pytaniem: i cóż jutro dać może?...

Kartuzy i okolice Kartuz należą do piękniejszych miejscowości Kaszub i zwane są pospolicie: Kaszubską Szwajcarią.

Są tam góry, sięgające 300 m. wysokości, są jeziora przejrzyste, w które wrzynają się pagórki, są lasy piękne, teraz na wiosnę świeżą, soczystą zielenią pokryte. Młode liście buków wesołą, jasną barwą nęcą oko, na falującej powierzchni pól siedzą gęste żytiane zagony. Po ciąg nasz przebiega doliną Raduni, o której Derdowski w ślicznej kolysance śpiewa:

*A w Raduni krwawo woda,
Szkoda ojca, żeco szkoda!*

*Matka płacze bez ustanku,
Ty śpij sobie na poślanku.
Tobie pluszcze rybka w stawie,
Gąska gzęgo na murawie.
A w Raduni krwawo woda,
i t. d.*

*Cebe matka wepiastuje,
A stróż Amniol cę piluje
Weprowadza cę na łączkę.
Wiąnek daje dziecku w rączkę.
A w Raduni i t. d.*

*Wiąnek bierzesz do dum sobie,
Kładziesz go na taki grobie,
Kłęcząc modlisz się za ojca,*



Widok na Kartuszy z Gaju Świętopelka

Fot. ze zbiorów Iwony Joć

Co go zabjeł krzyżok zbojca
A w Raduni i t. d.
(Dok. nast.)

Kurier Lwowski, 1909, N 324, 14 lipca

Miasto Kartuszy jest nowe, raczej wieś to wielka, zamieszkała przez urzędników, rozłożona pięknie wśród pól, jezior i gór porośniętych lasami. Nazwę swą zawdzięcza starożytnemu klasztorowi, stojącemu nad przejrzystą taflą niewielkiego jeziora.

Na cmentarzu, obok kościoła, na pomnikach i krzyżach wkopanych na grobach zmarłych, widać jak i wśród żywych, ślady fal wojennych, które aż tu w kraj śmierci zabiegły. Są tam nazwiska o brzmieniach polskich, niemiecką pisane pisownią i niemieckim opatrzone werselem. Są one, często zupełnie niemieckie, które za życia swego nosili ludzie o uczuciach polskich, jak o tem świadczą na ich grobach napisy...

Powiat kartuski, jak i kościerzyński, należy do mniej niemczonych. Są tu wsie czysto kaszubskie, w których poczucie narodowości polskiej wkorzenione jest głęboko. Spotyka się tu wiele gazet i książek polskich. Spotyka i ślady dawnej, rodzimej kultury gburkiej. Chaty charakterystyczne, drewniane, strzechą kryte z podcieniami.

W chatach tych przechowują się i stare nieliczne sprzęty: szafy zdobione oryginalną, kolorową ornamentyką, skrzynie malowane, obrazy stare na szkle malowane i podklejane. Znaczący przyznają im pochodzenie rdzenne kaszubskie. Kaszubskiem jest i pewne specjalne naczynie gliniane, zwane „donicą”, a służące do mielienia tabaki. Zażywają jej wiele Kaszubi, którzy mają jak pisze Derdowski, nosy tabaką znaczone:

Nos ma, jak cień róż od prochu, na końcu czerwony,
Ten u niego zawdy czarno je zatabaczony.

Pewien stary gbur dla ilustracji nasypał przy mnie z misternego różka niuch tabaki na grzbiet ręki, tam właśnie, gdzie się już staw pierwszego palca zaczyna i z uśmiechem tabakierkę zażył.

O ile zauważyć mogłam, Kaszubi są bardzo grzeczni i uprzejmi, chętnie udzielają objaśnień wszelkich, radzi prowadzą rozmowę bodaj z nieproszonym i niespodziewanym gościem. Na twarzy noszą wyraz łagodny, i jakby nieco smutny, przyćmiony. Mówią pomalu, ważąc słowa, być może czynią to dla Polaków przybyłych z dalszych stron, nieosłuchanych z ich miększą mową. Sądząc po poetach kaszubskich – muszą mieć oni jednak temperament żywy i wrażliwy – opowiadają, że przejawiać się on zwykł na jarmarkach i uroczystościach rodzinnych. Podobno są mściwi i procesować się lubią. Zamiłowanie do waśni mogłoby być dziedzictwem dawnych Słowian pomorskich, owych ludów, walczących pomiędzy sobą, a będących zgryzotą Chrobrego.

Pragnęłoby się bliżej zapoznać z Kaszubami i ich ziemią niezwykłą, piękną, którą zmywają wody Bałtyku, zdobią malownicze jeziora, zaciemniają bory i lasy.

Trochę tam inaczej niż na innych naszych ziemiach, nieco różnie wśród tych dalekich rolników i rybaków, a jednakże z ziemią tą i z tymi ludźmi łączy nas nie tylko wiekowa przeszłość historyczna, ale i dzień dzisiejszy, ciężki, niewolny, walką nabrzmiały. Kaszubi chcą żyć, „nigdy do zgube nie przyjdą Kaszube” i oto wśród nich zaczyna się ruch, pragnący uświadomienia, obudzenia ducha narodowego, pragnący wyzbycia się obczyzny, wydobycia z głębi własnej, istotnej treści. (-)

Wakacje za (bliską) zagranicą



Aleja Brivbas w Rydze zwieńczona jest Pomnikiem Wolności.
Fot. Jarosław Krawczyk

Krzysztof Szczepanik

Wakacje to dla Polaków często synonim wyjazdu nad ciepłe wody, może gdzieś nad Adriatyk czy jeszcze dalej. Tymczasem nie wiemy nawet jak atrakcyjne są kraje położone na północ od Polski. Mam na myśli Litwę, Łotwę, Estonię, a także należący do Rosji obwód kaliningradzki. Wyjazd do tych państw nie obciąża kieszeni tak bardzo jak dalekie wojaże.

Wypoczynek najlepiej zaplanować nad morzem. Można pojechać do Swietłogorska lub do Zielonogorska. Po drodze warto zwiedzić sam Kaliningrad – obejrzeć muzeum bursztynu, a także ekspozycję przedstawiającą bardzo plastycznie szturm miasta w 1945 roku. Atrakcją dla dziecka i starszego będzie pójście do ZOO. Nad samą zaś Pregolą, przy głównym moście, po prawej stronie jest katedra z grobem Kanta, po lewej kompleks krytych basenów. Miasto może nie jest zbyt interesujące, ale dla nas to całkiem przyjemna egzotyka.

Tym bardziej, że znają tutaj siłę naszych pieniędzy, a ceny są sporo niższe niż w Polsce. Gdyby ktoś chciał przenocować, polecam hotel „Kaliningrad” w centrum, w którym za dwuosobowy pokój z łazienką zapłacimy około 200 zł. Stolica obwodu, wbrew obiegowym opiniom, jest bezpieczna, a napady na przechodniów na pewno nie zdarzają się częściej niż w Gdańsku. Należy natomiast uważać na milicjantów. Ci zawsze znajdą powód do zatrzymania naszego samochodu. Oczywiście w tle jest próba wyłudzenia jakiegoś drobnego bakszyszu. Wyjściem z krępującej sytuacji jest albo płacenie, albo... próba wytłumaczenia, że jest się niewinnym. Tym większe mamy szanse, im lepiej mówimy po rosyjsku i im bardziej zdecydowanie (ale grzecznie) wyjaśnimy panu władzy, że zdajemy sobie sprawę z bezmiaru własnej winy, lecz przecież, jako reprezentantom naszego miasta, bardzo nam się spieszy na spotkanie z merostwem Kaliningradu.

W odległości około 30 km od miasta znajdują się obie wspomniane wyżej miejscowości nadmorskie. Zdecydowanie korzystniejsze wrażenie wywiera Swietłogorsk. Dysponuje on dobrą bazą hotelową, a samo miasteczko ma sympatyczny wygląd. Na plażę możemy zjechać kolejką linową. Ceny i tu są zdecydowanie niższe niż choćby w naszej Krynicy Morskiej. Jeszcze taniej jest w Zielonogradsku. Jednak to miasto, choć dysponuje wspaniałą plażą, nadal sprawia wrażenie jakby czas się w nim zatrzymał w latach 80. Tak wiele tam zaniedbanych domów i nieczynnych sklepów.

Na północ od Zielonogorska mamy Mierzeję Kurońską. Część rosyjska jest mało efektowna, a nieliczne kilkugwiazdkowe hotele oferują swoje usługi za cenę chyba zbyt odbiegającą zarówno od naszych możliwości finansowych, jak i od ich standardów. Warto więc przez mierzeję tylko przejechać, nie zapominając wcześniej zatankować benzynę na stacji w Zielonogradsku.

Urzekające pięknem tereny zaczynają się tuż za granicą z Litwą. Zachęcam, aby z głównej drogi zjechać do Nidy. To prawdziwa perełka z ładną architekturą i efektowną wydmą, największą tego rodzaju w Europie.

Dalej można powolutku przejechać całą litewską część mierzei. Zatrzymać się trzeba koniecznie w Juodkrante. Tu przyciąga uwagę nie tylko architektura. Koniecznie powinno się obejrzeć muzeum pod otwartym niebem ze wspaniałą ekspozycją drewnianych rzeźb, prezentujących wyobrażenia litewskich artystów o diabłach i innych im podobnych stworach.

Na końcu Mierzei Kurońskiej mamy kolejne, godne odwiedzenia miejsce – delfinarium. Warto poświęcić godzinę na poobcowanie z tymi mądrymi ssakami. Po-

tem promem (za bilet płacić nie trzeba, kasy znajdują się bowiem tylko od strony miasta) przepływamy do Kłajpedy. W niej uwadze każdego turysty polecam uroczą, choć niewielką starówkę. Zaś dwadzieścia kilometrów od Kłajpedy leży Połaga, po litewsku Palanga. To prawdziwa letnia stolica tego kraju. Godny obejrzenia jest przede wszystkim piękny pałac Tyszkiewiczów wraz z otaczającym go parkiem, zaś wieczorem koniecznie trzeba się wybrać na przechadzkę po ulicy Basanaviciusa. Jest to reprezentacyjne centrum rozrywki, gdzie można i zjeść, i wypić, i nieźle się zabawić za wcale niewygórowane pieniądze. U nasady alei znajduje się molo.

Z Połagi możemy przejechać w kierunku granicy z Łotwą. Około 60 km od niej jest portowe miasto łotewskie – Liepoja. Przejeżdżamy przez nie jadąc ewentualnie dalej do Rygi. Można pospacerować tutaj po deptaku w centrum miasta. Potem podążamy 220 km w kierunku Rygi. 40 km od stolicy Łotwy skręcamy na Jurmalę. Kiedyś tętniła ona życiem z racji przyjazdów licznych turystów z Rosji. Obecnie kurort jest nieco zapomniany. Warto jednak się zatrzymać w centralnie położonej dzielnicy Majori, choćby po to, by pospacerować po głównym deptaku i wyjść nad morze. Do Rygi z Jurmali jedziemy sześciopasmową autostradą, wybudowaną jeszcze w okresie sowieckim. W filmach fabularnych droga ta często udawała zachodnie autostrady. Między Rygą i Jurmalą wybudowano jedyny jak na razie w tych krajach aquapark.

W samej Rydze trudno nie docenić piękna starówki. Jeszcze dziesięć lat temu straszyla ona sowieckim bałaganem i brudem. Teraz widać duże pieniądze włożone w odrestaurowanie kamieniczek. Znajdują się tu siedziby wielu banków. Bo Łotwa to centrum bankowe... rosyjskiego biznesu. Jeden z banków posługuje się nawet sloganem reklamowym: „Jesteśmy bliżej niż Szwajcaria”. Poza starówką warto się także przespacerować po reprezentacyjnej alei Brīvības (Wolności) oraz zrobić sobie zdjęcie pod pomnikiem wolności stojącym na placu pomiędzy Starym Miastem a aleją Brīvības.

Aleją Wolności wyjedziemy z Rygi wprost na drogę do Tallina. Na początek będziemy podążać Via Baltiką, prawie brzegiem morza. Można nad nim się zatrzymać i pospacerować, a nawet (jeśli pogoda dopisze) wykąpać.

Do stolicy Estonii, Tallina, jest z Rygi około 300 km. Warto jednak zboczyć trochę z trasy i przejeżdżając przez estoński Sopot, czyli Parnu (po polsku Parnawa), pojechać w kierunku wysp Saremy i nieco mniejszej Hiiumy. Polecam odwiedzenie tej pierwszej, na którą ze stałego lądu kursują promy. Na wyspie godne odwiedzenia jest przede wszystkim miasto Kurresare z jego licznymi zabytkami pamiętającymi czasy zakonu kawalerów mieczowych. Wystarczy jeden dzień na objechanie całej wyspy. Udajemy się cały czas drogą wzdłuż wybrzeża morskiego. Wrażenia widokowe są niezapomniane.



Panorama Tallina

Fot. Jarosław Krawczyk

Wracając z Saremy należy przejechać przez historyczne Haapsalu – miasto (ok. 18 tys. mieszkańców) z wieloma średniowiecznymi budowlami. Ponadto jest tu najdłuższy w Europie drewniany peron kolejowy. Obecnie stacja ta jest nieczynna. Kiedyś właśnie na niej filmowano „kolejową” część „Anny Kareniny”.

Z Haapsalu jedziemy w kierunku Tallina. To nowoczesne 400-tysięczna stolica Estonii. Stare Miasto ma surowy, prawdziwie skandynawski charakter. Aleją nadmorską pojechać można w kierunku wieży telewizyjnej. Rozpościera się z niej piękny widok na cały Tallin. Tuż obok wieży, w lesie, znajduje się narodowy cmentarz Estonii.

Z Tallina jest już tylko 1,5 godziny drogi promem do Helsinek. Za około 20 euro kupimy bilet na przeprawę. Stolicę Finlandii warto zobaczyć, bo to już inny, „zachodni” świat. I choć nie ma tu klasycznego starego miasta, to dobrze się o tym samemu przekonać spacerując którąś z eleganckich centralnych alei. Najlepiej Esplanadi, która początek bierze od sympatycznego targu rybnego. Pamiętajmy jednak, byśmy płynąc do Helsinek raczej nie korzystali z linii Tallink. Jako jedyna ma ona bowiem swój terminal pasażerski daleko od centrum.

Na wypad do Helsinek wystarczy jeden dzień. Do swojego automobilu wsiadamy ponownie dopiero przed wyjazdem z Tallina. Teraz najlepiej pojechać drogą w kierunku Tartu – uniwersyteckiej stolicy Estonii. W mieście tym, jeszcze pod starą nazwą Dorpat, studiowało – w XIX wieku – wielu Polaków. Uniwersytet ten miał także skończyć, przynajmniej tak mówił, Nikodem Dyżma. Tartu, choć sporo mniejsze od Krakowa



Wilno zaskoczy turystę wieloma urokliwymi zaułkami.

Fot. Marek Adamkiewicz



Ostra Brama w Wilnie – miejsce, które łączy Polaków i Litwinów
Fot. Jarosław Krawczyk

(mieszka tu nie więcej jak 150 tys. mieszkańców) ma w sobie coś z atmosfery naszej jagiellonowej stolicy.

Droga stąd wiedzie znów na południe. Granicę z Łotwą przekraczamy w Valdze – mieście rozpościerającym się po obu stronach granicy. Bywa, że dzieli ona nawet ulice. Potem jedziemy ku Rydze. Na Łotwie bowiem większość dróg rozmieszczona jest koncentrycznie. Zanim dojedziemy jednak do stolicy państwa, zatrzymujemy się w pięknej Siguldzie. To miasto ze wspaniałym zamkiem nad urwiskiem i unikatowymi przełomami rzeki Gauia, opiewanymi przez łotewskich poetów. Przed samą Rygą skręcamy na Kowno. W miasteczku Bauska robimy ostatnie zakupy po łotewskiej stronie i zaraz wjeżdżamy na Litwę. W Poniewieżu (Panavezys) skręcamy na autostradę wiodącą aż do samego Wilna. Rychło (jakieś 100 km od Wilna) na częstotliwości 103.8 usłyszymy język polski. To znak, że znaleźliśmy się w strefie wpływów radia Znad Wilii.

Wilna przedstawiać chyba nie trzeba. Wszak to jedna z przedwojennych, kulturalnych stolic naszego kraju. Do tej pory można tu bez problemu porozmawiać po polsku. W mieście należy zobaczyć zabytkowe centrum z Ostrą Bramą, przejść się po reprezentacyjnej ulicy Gedymina (przed wojną Mickiewicza) i odwiedzić cmentarz na Rossie. To jedna z polskich narodowych nekropolii. Warto także spojrzeć na miasto z wysoka. Najlepiej to uczynić wjeżdżając na taras widokowy wieży telewizyjnej, bardzo podobnej do tej z Tallina.

Niecałe 20 km od Wilna znajdują się urokliwe Troki ze wspaniałym zamkiem na wyspie. Nieco ponad 100 km od stolicy Litwy położone są Druskienniki ze słynnymi sanatoriami. Potem już tylko przejście graniczne w Lazdijaj (po polsku Łódzkie) i mamy niecałe 400 km do Gdańska.

Trasa naszej wycieczki wyniosła w sumie około 3000 km. Warto ją odbyć w całości lub choćby we fragmentach. Pamiętajmy, że na północ od nas, po sąsiedzku, są kraje, których nie do końca znamy. A więc hajda w drogę! (-)



Tomasz Żuroch-Piechowski

Rób kabaret!

Gdy pod koniec października ubiegłego roku dyrekcja Biblioteki Powiatowej w Fucku ogłosiła Rok Neclowski dedykowany śp. Augustynowi, nikt chyba nie przypuszczał, że za kilka miesięcy przepoczwarzy się on w Rok Netzłowski, o którego nagłośnienie zadbają największe koncerty medialne w kraju. A wszystko to za sprawą „bliżej nieznanego adwokata z Gdyni” o ślicznym słowiańskim imieniu Jaromir, który powołany został na szefa PZU. Nieznany to on może być dla Moniki Olejnik, ale nawet morświny w Zatoce Fuckiej wiedzą, że ród jego z Wioldzi Wsë i że on z naszëch! „Bò mē jesma naszi, nas nikt nie wëstrasz” – słyszałem niedawno gromki śpiew Nadolan nad Jeziorem Żarnowieckim. Coś jest narzeczy, jednak mnie przychodzi na myśl inna przyspiewka: „Wszędzie mamy swoich ludzi, połowa smrodzi, połowa brudzi”...

Wzruszyłem się, gdy Netzel mówił w radiu, że nie pamięta, czy przyjął czek na 200 tys. zł, czy nie. Tyle tego było, że kto by tam pamiętał... Medialne hieny czepiają się kryształowej uczciwości człowieka o jakieś „drobne waciki”, zamiast skupić się na robocie. Aż się chce zawołać: Dziennikarze do piór! Studenci do nauki! Papier do...! Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach, tylko je wydają, nawet jeśli nie są własne – zdaje się uważać Jaromir Netzel. A jest co wydawać i w PZU, i w ZUS, i wszędzie tam, gdzie pieniądze są niczyje, czyli nasze.

Nowy prezes wyskoczył z Gdyni, niczym dziadek z Wehrmachtu. Ponoć za jego nominacją stoi czarny sen profesora Synaka, zwany też bulterierem. Jacek Kurski zdecydowanie wykluczył swój udział w sprawie, więc – zgodnie z maksymą: „Wierzę tylko w te informacje, które oficjalnie zdementowano” – prawdopodobnie maczał w niej palce. Sejmik Województwa Pomorskiego powinien swojego byłego radnego zgłosić czym prędzej na przegląd kabaretowy PaKA – Grand Prix murowane! O ile wcześniej Kurski nie oskarży jury, że jest częścią UKŁADU, bo wtedy już nikomu nie będzie do śmiechu. Żal patrzeć, jak marnuje się taki talent! Za czasów Lenina komisarzem do spraw terroru rewolucyjnego był niejaki Dymitrij Kurski. Wpraw-

dzie historia złośliwie milczy, czym był dziadkiem, ale nie mam wątpliwości, że rola komisarza byłaby bardziej odpowiednia, niż posada bulteriera, dla tak zdolnego (do wszystkiego!) człowieka, jakim jest poseł Jacek Kurski. Jak wiadomo, rewolucja wymaga ofiar...

Poprzedni felieton zatytułowałem proroczo „Recydywa narodowego socjalizmu”, jednak redakcja zmieniła go na bardziej „uczesany”. A niepotrzebnie! Rzeczywistość przekroczyła bowiem najczarniejsze wyobrażenia skromnego felietonisty. Wiceprezesem TVP został niejaki Piotr Farfał, „autor publikacji na łamach prasy narodo-katolickiej”, jak sam się określił. „Nie tolerujemy tchórzów, konfidentów i Żydów” – pisał przed laty pan prezes. Słowo „Żydz” proponuję zastąpić terminem „folksdojcze” lub „Kaszubi”, bo dla człowieka o tak wyrazistym światopoglądzie to zapewne to samo...

Rewolucja moralna PiS trwa! Nieoczekiwanie najuczciwszym człowiekiem okazał się Andrzej Lepper, który nie mami nam oczu gadką o wartościach, tylko twardo domaga się stolków, twierdząc że nie po to „Samobrona” szła po władzę, by nie korzystać z jej uroków. Nie zmienia to jednak faktu, że podobnie jak spora część obywateli, czuję się okupowany we własnym kraju. Jaki będzie kres tego karnawału?!

Po tematach ciężkich, czas na chwilę rozrywki. Gdyby nie żona, która uświadomiła mi, że w Niemczech trwa mundial, byłbym nawet tego nie zauważył. Na piłce nożnej znam się tak jak przeciętny Kaszuba na statystyce, wiem jedynie, że bramka jest okrągła, a piłki są dwie. Owa wiedza wystarcza do tego, by od lat trafnie typować wyniki meczów z udziałem „polskich orłów”. Zawsze kibicuję drużynie przeciwnej, dzięki czemu sen mam lekki, a nerwy spokojne. Zresztą czym się emocjonować, jeśli z góry było wiadomo, że w meczu Polska-Niemcy wygrają rodacy papieża?! Nikt mnie nie zmusi, bym zasiadł przed telewizorem wcześniej niż w roku 2030. Zadowolę się wtedy remisowym wynikiem w meczu reprezentacji Kaszub z Czarnogórą, po tym jak czarno-żółci ograżą Katalonię! (-)

Puck, 21 czerwca 2006 r.

<http://piech.stolem.net>

Historyczne znaleziska pod autostradą A-1



Zanim na plac budowy A-1 w pobliżu Ulków w powiecie gdańskim wjechały ciężkie maszyny, teren sprawdzili saperzy.

Fot. Andrzej Mróz

Andrzej Mróz

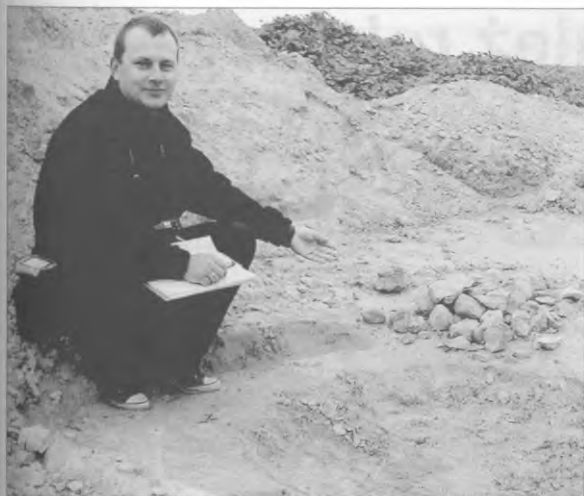
Zanim teren pierwszego, 90-kilometrowego odcinka autostrady A-1 z Rusocina do Nowych Marzów stał się placem największej w województwie pomorskim budowy, przetrząsnęli go saperzy i archeolodzy. Ziemia pod nim okazała się prawdziwą skarbnicą pamiątek zarówno prehistorycznych, jak i z okresu drugiej wojny światowej.

Narzędzia, naczynia, ozdoby i pozostałości osad, w sumie ponad 13 tys. znalezisk, odkopali historycy z Muzeum Archeologicznego w Gdańsku podczas badań prowadzonych od września 1998 roku na powstającym obecnie odcinku autostrady A-1. W wykopaliskach uczestniczyli również pracownicy Instytutu Archeologii i Etnologii PAN w Warszawie, Fundacji Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu oraz Przedsiębiorstwa Konserwacji Zabytków w Warszawie. Część odkryć pochodzi nawet sprzed 10 tys. lat, czyli z okresu paleolitu. Są wśród nich np. domostwa o konstrukcji słupowej w Barłóżnie w powiecie starogardzkim, fragmenty ceramiki sznurowej z Mieścina i narzędzi krzemiennych z Łukocina w powiecie tczewskim. Resztki kilku budyn-

ków z epoki brązu, liczących ok. 6 tys. lat, odnaleziono w Rębielcu w powiecie gdańskim. Z tego okresu pochodzi osada z cmentarzyskiem odkopana niedaleko Kamionki w powiecie starogardzkim. Na domy i grobowce z epoki żelaza natrafiono w miejscu planowanego węzła A-1 w Stanisławiu pod Tczewem.

– Dzięki tym odkryciom wiemy, że tereny Pomorza Gdańskiego były zaludnione zanim w I wieku n.e. trafili tu Rzymianie – mówi Adam Ostasz, kierownik stanowiska archeologicznego w Rębielcu. – Kwitło rolnictwo, rękodzielnictwo, metalurgia i handel. Na przykład w tu-tejszej osadzie mieszkało około 20 osób. Wykopaliśmy fragmenty glinianych naczyń i narzędzi rolniczych. „Rębielczanie” żyli z uprawy warzyw i zbóż, które wymieniali na sierpy czy siekiery.

Najwięcej znalezisk z ratunkowych wykopalisk archeologicznych datowanych jest na okres I-IV wieku n.e., gdy częstymi gośćmi na Pomorzu byli Rzymianie kupujący u ówczesnych mieszkańców tych ziem bursztyn. W zamian przekazywali im takie przedmioty jak zapinki z brązu czy srebra, znalezione w kilkuset grobach jamowych i szkieletowych, m.in. w Ulkowach w powiecie gdańskim oraz Swarżynie i Stanisławiu w powiecie tczewskim. „Najmłodsze” archeologicznie znalezisko – pozó-



Adam Ostasz z Muzeum Archeologicznego w Gdańsku przy domowym palenisku i pozostałościach kamiennych narzędzi odkopanych w Rębielczu.

Fot. Andrzej Mróz

stałości wczesnośredniowiecznej osady – odkryto w Maleninie w powiecie tczewskim, a grobowce z tego okresu w Nowym Dworze w powiecie starogardzkim. W sumie przed rozpoczęciem prac przy autostradzie specjaliści przekopali ponad 13 tys. arów na 57 stanowiskach na Pomorzu. Teren ten został wcześniej sprawdzony przez saperów.

– Biorąc pod uwagę wojenną historię Pomorza, podjęliśmy wszelkie środki bezpieczeństwa – mówi Małgorzata Dobosz, rzecznik prasowy Skanska/NDI, wykonawcy inwestycji. – Nie chcemy żadnego nieszczęścia. Saperzy szkolą pracowników, jak postępować w razie odkrycia niewybuchów.

Ostrożność okazała się słuszna, bo podczas specjalistycznej inspekcji sekcji pierwszej, drugiej i czwartej A-1, czyli odcinków, gdzie obecnie prowadzone są prace ziemne, znaleziono ponad 1,7 tys. pocisków artyleryjskich, granatów moździerzowych, bomb lotniczych, min przeciwpiechotnych i amunicji strzeleckiej – pozostałości po działaniach wojennych w 1945 roku. Gdyby uderzyła w nie łopata koparki, mogłoby dojść do tragedii. W okolicy Ulków i Żelisławek w powiecie gdańskim, gdzie stacjonowały oddziały niemieckiej 35 Dywizji Piechoty – dwa czołgi i szesnaście dział, tworzące przedpole obrony Gdańska, i gdzie prowadzone były intensywne walki frontowe, odkopano kilka pocisków moździerzowych. Saperom wskazał je Kazimierz Kowalkowski, badacz historii z Żelisławek.

– Naziści zaciekle bronili tych wzgórz – opowiada pan Kazimierz. – Według relacji świadków i zachowanych zapisków, gdy na tereny te wkroczyła Armia Czerwona, nad Rębielczem, Żelisławkami i Ulkowami rozpalono prawdziwe piekło. W parku obok pałacu w Żelisławkach stać miały zamaskowane czołgi, prawdopodobnie Tygrysy lub Pantery. Obok, na podwórzu obecnej szkoły podstawowej, stacjonowała bateria ośmiu armat,



Jeden z 5 tys. kawałków glinianych naczyń, odnalezionych podczas wykopalisk w Rębielczu.

Fot. Andrzej Mróz

a na miejscu dzisiejszych bloków, w centrum – kolejne siedem dział. Pobliskiej, nieczynnej już linii kolejowej strzegła armata przeciwlotnicza.

Piotr Suchanek, kierownik budowy autostrady A-1, mówi, że w jej pobliżu, w grzędawisku, zatonął prawdopodobnie jeden z niemieckich czołgów, które tworzyły bastion broniący Gdańska przed wojskami radzieckimi nacierającymi w marcu 1945 roku. Kiedy zostanie wydobyty? Nie wiadomo.

Na szczęście dotychczas nie natrafiono na szczątki żołnierzy – jedynie na nieśmiertelniki, hełmy i przyborniki. Znalezienie zwłok mogłoby spowodować wstrzymanie budowy autostrady. (-)



Podczas badań archeologicznych w Rębielczu natrafiono na pozostałości domu palisadowego sprzed 4 tys. lat.

Fot. Andrzej Mróz

Gdańsk również rolniczy

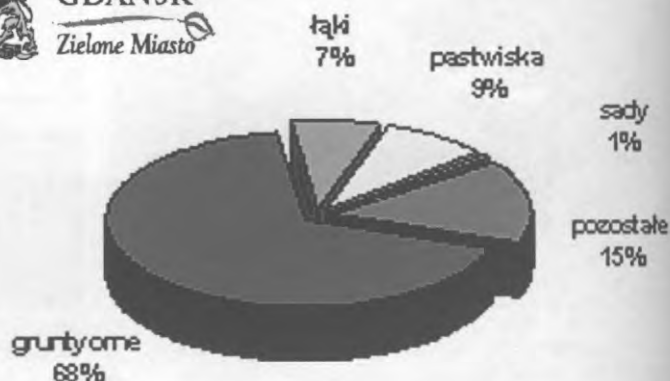
Przemysław Borowski

Powierzchnia Gdańska w granicach administracyjnych wynosi obecnie 262 203 ha. Z tego ponad 37 proc. – 9788 ha – to użytki rolne: pola, sady, pastwiska, grunty rolne zabudowane i pozostałe. W większości tereny te stanowią rezerwy gruntów pod funkcje urbanistyczne miasta. Ze względu na korzystne uwarunkowania glebowe, część z nich została jednak zakwalifikowana jako chroniona rolnicza przestrzeń produkcyjna. Zajmuje ona południową część Wyspy Sobieszewskiej, tereny Oruni Dolinaki, Niegowa oraz część Olszynki. Funkcje rolnicze terenów na obszarze Kokoszek, Klukowa-Rębiechowa, Barniewic-Osowej, Płoni (w sąsiedztwie rafinerii i oczyszczalni „Wschód”) są traktowane jako tymczasowe, jednak nowe inwestycje powinny tam być realizowane stopniowo i kompleksowo.

Na terenie Gdańska jest 1787 gospodarstw rolnych o powierzchni ponad 1 ha (według ustawy o podatku rolnym). Wielkość ta jest niemal identyczna z liczbą producentów rolnych (1785), zarejestrowanych w Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa, którzy mogą się ubiegać o dopłaty do produkcji oraz pozostałe dostępne fundusze strukturalne. Łącznie indywidualne gospodarstwa rolne zajmują powierzchnię 5133 ha. Ponadto działa w Gdańsku 49 podmiotów prawnych prowadzących gospodarstwa rolne o łącznej powierzchni 1535 ha.



GDAŃSK
Zielone Miasto



Struktura użytków rolnych w Gdańsku według danych Wydziału Geodezji Urzędu Miasta z 23.02.2006 r.

Łatwo można zauważyć, że suma powierzchni zajmowanej przez gospodarstwa indywidualne oraz podmioty prawne jest mniejsza od powierzchni użytków rolnych według Ewidencji Gruntów. Różnica ta wynika z faktu, iż część terenów zabudowanych i obecnie niezwiązanych z rolnictwem nie została wyłączona z użytkowania rolniczego, a zmiany te nie zostały dotychczas naniesione.

Prowadzona działalność rolnicza jest bardzo zróżnicowana, lecz przeważa produkcja roślinna. Na terenie Gdańska można znaleźć duże gospodarstwa specjalizujące się w uprawie pszenicy i rzepaku (w dzielnicach Jasień, Płonia lub na Wyspie Sobieszewskiej).

Bardzo dużo gospodarstw zajmuje się pracochłonnym warzywnictwem. Te zlokalizowane są na terenie Olszynki, Oruni, Niegowa, Lipiec oraz również na Wyspie Sobieszewskiej. Na niej też znajduje się jedno z większych gdańskich gospodarstw zajmujących się m.in. produkcją bydła – Gospodarstwo Hodowli i Nasiennictwa „Polan”.

Od momentu obowiązywania Sektorowego Planu Operacyjnego „Restrukturyzacja i modernizacja sektora żywnościowego oraz rozwój obszarów wiejskich” ARIMR zawarła dziesięć umów na łączną kwotę 1 320 827 zł. Dotyczyły one następujących działań: 1.1 Inwestycje w gospodarstwach rolnych; 1.2 Ułatwienie startu młodym



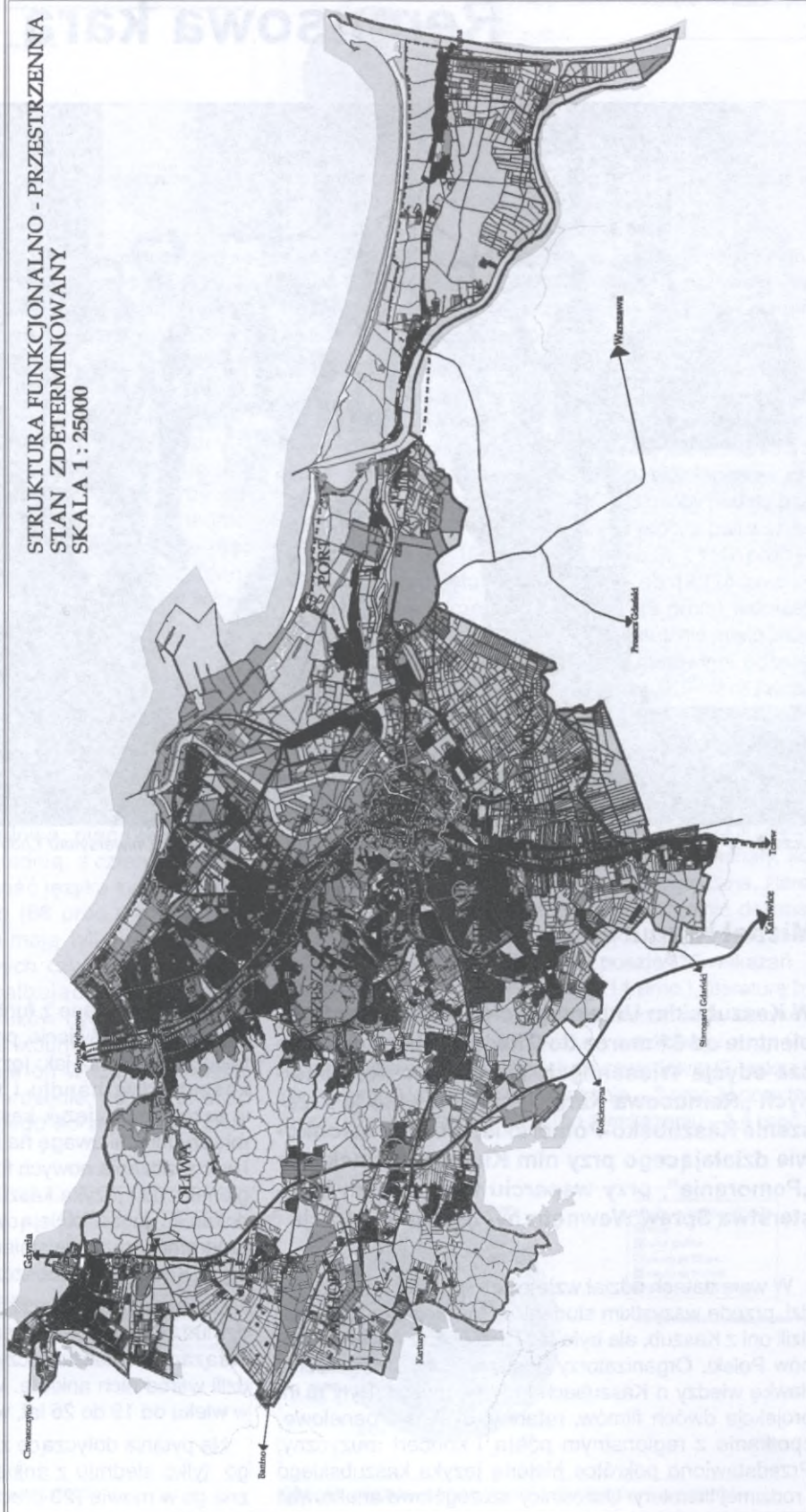
Na terenie Gdańska znajdują się duże gospodarstwa specjalizujące się w uprawie pszenicy i rzepaku.
Fot. ze zbiorów UM

rolnikom; 2.4 Różnicowanie działalności rolniczej oraz 2.6 Rozwój i ulepszanie infrastruktury rolniczej. W ramach Planu Rozwoju Obszarów Wiejskich 2004-2006 do działania „Renty strukturalne” złożono 35 wniosków; do działania „Wspieranie gospodarstw niskotowarowych” – 45; do działania „Wspieranie przedsięwzięć rolnośrodowiskowych i poprawy dobrostanu zwierząt” – 26, a do działania „Dostosowanie gospodarstw rolnych do standardów UE” – 4. Wspomnianych 1785 producentów rolnych, zarejestrowanych w ARiMR, to 3,63 proc. ogólnej liczby zarejestrowanych producentów rolnych w województwie pomorskim. Gdańsk pod tym względem wyprzedza takie powiaty, jak nowodworski, sztumski, pucki, malborski czy lęborski.

Z roku na rok zmniejsza się powierzchnia użytków rolnych w Gdańsku. Po części jest to spowodowane realizowaniem inwestycji na terenie miasta, po części zaś aktualizowaniem danych ewidencji gruntów. Niektórzy rolnicy inwestują w swoje gospodarstwa, kupując lub dzierżawiąc grunty rolne w sąsiednich gminach Cedry Wielkie, Pruszcz Gdański, Kolbudy czy Żukowo. W porównaniu do roku 2004 liczba gospodarstw rolnych wzrosła o ponad 500. Jest to związane m.in. ze zmianami własnościowymi, jednak analizując lata ubiegłe można zauważyć tendencję malejącą. (-)

W artykule wykorzystano dane Wydziału Geodezji, Wydziału Finansowego Urzędu Miasta Gdańska oraz Agencji Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa.

STRUKTURA FUNKCJONALNO - PRZESTRZENNIA
STAN ZDETERMINOWANY
SKALA 1 : 25000



Remusowa kara



Uczestnicy warsztatów na schodach pałacu w Starbieninie, filii Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Wieżycy

Fot. Wojciech Konkel

Michał Kargul

W Kaszubskim Uniwersytecie Ludowym w Starbieninie od 31 marca do 2 kwietnia trwała pierwsza edycja Wiosennych Warsztatów Regionalnych „Remusowa Kara”. Przygotowało je Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, głównie członkowie działającego przy nim Klubu Studenckiego „Pomorania”, przy wsparciu finansowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji.

W warsztatach udział wzięło czterdziestu młodych ludzi, przede wszystkim studentów. W większości pochodzili oni z Kaszub, ale było też kilka osób z innych regionów Polski. Organizatorzy dostarczyli im urozmaiconą dawkę wiedzy o Kaszubach i rodnej mowie. Były m.in. projekcja dwóch filmów, referaty, dyskusje panelowe, spotkanie z regionalnym poetą i koncert muzyczny. Przedstawiono pokrótce historię języka kaszubskiego i rodzimej literatury. Uczestnicy szczegółowo analizowali

problemy związane z funkcjonowaniem tego języka we współczesnym świecie, podejmując w czterech grupach takie zagadnienia jak: język kaszubski a polityka; język kaszubski w handlu i turystyce; język kaszubski w szkolnictwie; język kaszubski w mediach. Zwrócono między innymi uwagę na konieczność zdynamizowania i wprowadzenia nowych form kształcenia w zakresie regionalistyki i języka kaszubskiego, wyrażono obawy co do atrakcyjności istniejących w mediach elektronicznych programów oraz nieistnienia sensownej polityki promocyjnej Kaszub i kaszubszczyzny.

Chcąc uchwycić szczegółowe oceny, jakie mają młodzi ludzie względem szerokiego spektrum problemów związanych z kaszubszczyzną, organizatorzy przeprowadzili wśród nich ankietę. Wypełniło ją trzydzieści osób, w wieku od 19 do 25 lat, w tym cztery spoza Kaszub.

Na pytania dotyczące znajomości języka kaszubskiego, tylko siedmiu z ankietowanych stwierdziło, iż nie zna go w mowie (23 proc.), dziesięciu (33 proc.) przy-



Stosunek ankietowanych do wprowadzania dwujęzycznych nazw miejscowości



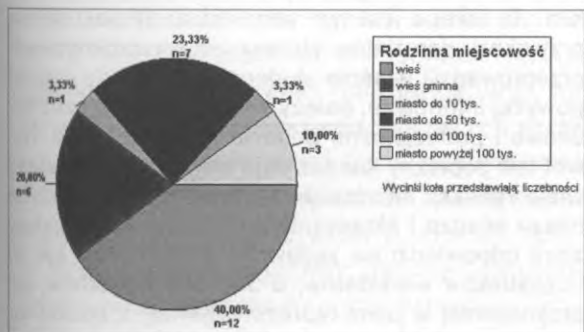
Stosunek ankietowanych do wprowadzenia języka kaszubskiego jako języka pomocniczego do urzędów

znało się, że nie zna tego języka w piśmie. W grupie tej były osoby nie mieszkające na Kaszubach. Dwoje młodych (7 proc.) uważa swoje umiejętności mówienia po kaszubsku za bardzo dobre, lecz nikt nie potrafił tak swojej umiejętności pisania. Tylko trzech badanych (10 proc.) uznało, że piszą po kaszubsku „dobrze”; dla porównania tak samo swoje umiejętności mówienia oceniło aż dziesięciu ankietowanych (33 proc.). Jako średnią swoją umiejętność pisania po kaszubsku określili cztery osoby (13 proc.), zaś mówienia – sześć (20 proc.). Jako słabą odpowiednio: w piśmie – trzynastu (43 proc.), a w mowie – pięć (17 proc.). Wyniki te potwierdza powszechnie znany fakt nikłej znajomości pisowni kaszubskiej nawet wśród osób dość dobrze władających tym językiem. Warto podkreślić, że wszystkie osoby z Kaszub, stwierdziły znajomość w jakimś stopniu języka kaszubskiego. To dość ciekawa informacja, zwłaszcza w kontekście tego, że dziewiętnastu uczestników warsztatów (aż 63 proc.) podało, iż w ich środowisku mówi się po kaszubsku. Oceniając stopień obecności tego języka w tym środowisku, tylko dwie osoby (11 proc. z owych 19) uznały ją za śladową, pięć (26 proc.) za słabą, siedem (37 proc.) za średnią, a cztery (21 proc.) za dużą. Większość znajomości języka kaszubskiego wyniosła z domu – 13 osób (68 proc.), pojedyncze osoby kontakt z kaszubskim mają tylko u dalszej rodziny, w miejscach publicznych czy wśród rówieśników, a dwie u dziadków. Analizując te dane, należy podkreślić, iż wśród uczestników były cztery osoby, które stwierdziły, iż w jakimś stopniu znają język kaszubski, choć nie funkcjonuje on w ich środowisku. Można tu pokusić się o stwierdzenie, że jest to efekt wkroczenia języka kaszubskiego do sfery publicznej.

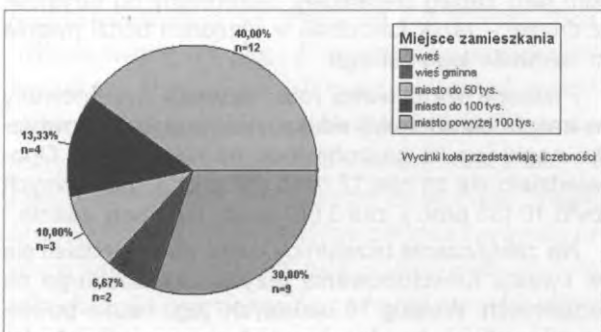
Kaszubskojęzyczne publikacje, tablice informacyjne czy administracyjne sprawiają, że kaszubski jest częściowo przyswajany przez osoby nie mające z nim wcześniej bezpośredniego kontaktu.

To zagadnienie pogłębia następny badany w ankiecie problem. Uczestników warsztatów poproszono, by wymienili trzy z podanych źródeł swojej wiedzy o Kaszubach i języku kaszubskim: portale internetowe, publikacje książkowe, prasa, doświadczenie życiowe, szkoła, opowieści znajomych i kontakty z Kaszubami. 23 osoby podały bezpośrednie kontakty z Kaszubami (28 proc. z puli wszystkich 82 wskazań), 15 – internet (18 proc.), 13 (16 proc.) – wiedzę zaczerpniętą od znajomych, po 12 (15 proc.) – książki i doświadczenia życiowe, 4 (5 proc.) wskazały prasę, zaś 3 (4 proc.) szkołę. Tylko 8 osób nie miało jakiegokolwiek kontaktu ze stronami internetowymi poświęconymi Kaszubom, a aż 18 znało portal ZKP: www.kaszubi.pl.

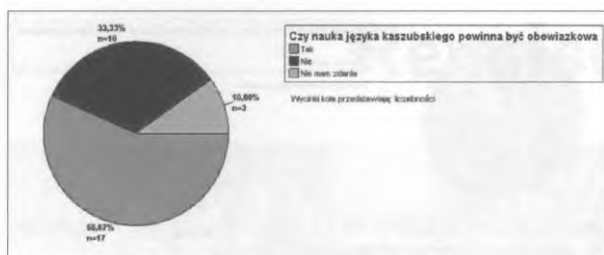
Kolejną kwestią było zapytanie, jakie formy literackie w języku kaszubskim byłyby dla nich najatrakcyjniejsze. Badani mogli wybrać do trzech propozycji spośród następującej listy: literatura piękna, tłumaczenia ogólnowiatowych klasyków, poezja, literatura akcji, kryminały, komiksy, literatura zawodowa, literatura historyczna, literatura fantastyczna i literatura naukowa. Ogólnie dokonali 73 wskazań, wybierając następujące pozycje: literaturę piękną (19 wskazań – 26 proc.), poezję (15 wskazań – 21 proc.), komiksy (10 wskazań – 14 proc.), literaturę historyczną (8 wskazań – 11 proc.), tłumaczenia klasyków (6 wskazań – 8 proc.), literaturę naukową i akcji (po 4 wskazania – 5 proc.), literaturę zawodową (3 wskazania – 4 proc.) kryminały (2 wskazania – 3 proc.) i poradniki oraz literaturę fantastyczną (po 1 wskazaniu – 1,4 proc.).



Miejsce pochodzenia uczestników warsztatów



Obecne miejsce zamieszkania uczestników warsztatów



Stosunek do wprowadzenia obowiązku nauki języka kaszubskiego

Podobne możliwości wyboru dawało pytanie dotyczące innych form przekazu kulturalnego w języku kaszubskim, którym byłoby zainteresowani młodzi ludzie. Także mając możliwość trzech wskazań, uczestnicy kursu mogli zdecydować się na: film, sztuki teatralne, muzykę, gazety codzienne, czasopisma polityczno-kulturalne, czasopisma techniczne, czasopisma erotyczne i specjalistyczne portale internetowe. I tak przy 78 wskazaniach jakie padły, najbardziej oczekiwana okazała się kaszubskojęzyczna muzyka, która uzyskała 22 głosy (28 proc.), kolejny był film z 22 wskazaniami (20 proc.), specjalistyczne portale internetowe z 12 wskazaniami (15 proc.), sztuki teatralne z 11 wskazaniami (14 proc.), gazety codzienne i czasopisma polityczno-kulturalne mające po 4 wskazania (po 5 proc.), czasopisma erotyczne z 3 wskazaniami oraz techniczne z 2.

Interesujące są wypowiedzi uczestników dotyczące stojących aktualnie przed społecznością kaszubską problemów. Tylko jedna osoba z badanych nie wiedziała, że kaszubski ma status języka regionalnego (taką liczbę za sukces mogą sobie poczytywać organizatorzy warsztatów, którzy zagadnieniu temu poświęcili sporo czasu). Aż 28 osób (93 proc.) uznało za potrzebne działania mające na celu wprowadzenie dwujęzycznych nazw miejscowości. Pozostałe dwie nie miały w tej materii zdania. Co ciekawe, za wprowadzeniem języka kaszubskiego jako języka pomocniczego do urzędów opowiedziało się tylko 19 ankietowanych (63 proc.), 5 było przeciwnych, a 6 nie miało zdania. Tak widoczna różnica w tych dwóch, zdawałoby się bardzo podobnych, zagadnieniach, jest chyba dowodem na to, że z jednej strony dwujęzyczne nazwy postrzegane są przede wszystkim jako zabieg reklamowy, skierowany do turystów, z drugiej – język kaszubski w urzędach budzi pytania o celowość tego zabiegu.

Podobne wątpliwości rodzi szeroko dyskutowany w trakcie obrad sekcji edukacyjnej problem obowiązku nauki języka kaszubskiego na Kaszubach. Opowiedziało się za nim 17 osób (57 proc.), przeciwnych było 10 (33 proc.), zaś 3 (10 proc.) nie miały zdania.

Na zakończenie uczestnicy kursu wypowiedzieli się w kwestii funkcjonowania języka kaszubskiego na uczelniach. Według 10 badanych, jego nauka powinna się odbywać w formie odrębnego przedmiotu fa-

kultury (37 proc.), po 6 (22 proc.) wolałoby, by nauczano go w ramach lektoratu jak języki obce lub podczas osobnych międzykierunkowych kursów językowych, zaś 5 (19 proc.) uważało, że język kaszubski powinien być przedmiotem obowiązkowym na niektórych kierunkach. Dodać należy, że jeżeli byłaby taka możliwość, to aż 27 osób (90 proc. z wszystkich badanych) wzięłoby udział w nauce języka kaszubskiego na swojej uczelni lub w swojej szkole. Za najbardziej atrakcyjną formułę zajmowania się kulturą i językiem kaszubskim na uczelniach wyższych uznano specjalistyczne, poświęcone tylko tej dziedzinie, koła naukowe (11 osób – 41 proc.), natomiast 10 uczestników (37 proc.) za najlepszą formę uznało pogłębianie wiedzy w ramach pozastudenckich organizacji i stowarzyszeń zajmujących się Kaszubami. Najmniej zwolenników, bo tylko 6 (22 proc.) zdobyła opcja, by wątki kaszubskie poruszać w działalności istniejących już na uczelniach kierunkowych kół naukowych (historycznych, filologicznych, socjologicznych itp.).

Na koniec warto podać, jakie są, zdaniem biorących udział w warsztatach, główne przeszkody w rozwoju i dynamicznym funkcjonowaniu kaszubszczyzny na wyższych uczelniach. Ankietowani mogli wskazać dowolną ilość powodów z następującej listy: brak zainteresowania ze strony studentów, wsparcia organizacyjnego ze strony środowiska kaszubskiego lub ciekawego pomysłu na dotarcie do studentów, małą atrakcyjność kultury kaszubskiej, niechęć uczelni, wrogie stereotypy wobec Kaszubów. Ogółem padły 63 wskazania, które rozłożyły się następująco: 19 (30 proc.) – brak pomysłu na dotarcie do studentów, 16 (25 proc.) – brak zainteresowania ze strony studentów, 10 (16 proc.) – niechęć uczelni, 8 (13 proc.) – brak wsparcia ze strony środowiska kaszubskiego, 7 (11 proc.) – wrogie stereotypy wobec Kaszubów, zaś tylko 3 (5 proc.) za przeszkodę podawały małą atrakcyjność kultury kaszubskiej.

Analizując te wypowiedzi, należy stwierdzić, że o sukcesie lub porażce w funkcjonowaniu kaszubszczyzny na uczelniach decydować będą przede wszystkim studenci – Kaszubi. To oni muszą inicjować przedsięwzięcia, które zainteresują innych. W ich rękach tkwi klucz do dynamicznego rozwoju różnych form działalności kaszubologicznej w środowisku akademickim. Ta uwaga jest tym cenniejsza, że nasuwa się przy okazji warsztatów, które w całości zorganizowali i przeprowadzili właśnie studenci. Patrząc na podane powyżej informacje, należy zaapelować o w pełni naukowe i profesjonalne badania w tym zakresie. Nawet taki pobieżny sondaż daje ciekawe i nasuwające wiele refleksji informacje. O ileż pełniejsza by była nasza wiedza i skuteczniejsze działania, gdybyśmy znali odpowiedzi na zadawane tutaj pytania nie 30 uczestników warsztatów, a 300 000 Kaszubów, lub przynajmniej w pełni reprezentatywnej, z punktu widzenia socjologii, ich grupy. (-)



Kazimierz Ostrowski

Najpierw rzeczy pomorskie

W trzeciej klasie szkoły powszechnej zaproszony na lekcję prehistorii starszy pan (późniejszy założyciel chojnickiego muzeum) przyniósł kilka krzemiennych narzędzi i objaśniał do czego służyły. Pobudził dziecięcą wyobraźnię: jakże byliśmy dumni ze szczątków wiedzy o najdawniejszych mieszkańcach naszej okolicy. W klasie czwartej poszliśmy z nauczycielką do podmiejskiego lasu, gdzie znajdowały się jeszcze liczne okopy – stanowiska strzeleckie żołnierzy polskich, bohaterów z 1 września 1939 roku. Ze szkolnej turystyki w pamięci zostały pieśze wędrówki po Zaborach, od wioski do wioski, nb. razem ze wspomnianym kustoszem – panem Julianem. Takie lekcje pamięta się długo, nawet przez całe życie.

Niektórzy mają za złe ministrowi edukacji, że pragnie zadekretować nauczanie patriotyzmu w polskiej szkole. Niestuszenie! Patriotyzmu bowiem nigdy za wiele, choć niekoniecznie trzeba go kształtować według wyobrażeń ministra, wedle narzuconych schematów. Nie da się go przecież wyeksplorować z programu nauczania i procesu wychowawczego, stworzyć z niego osobny przedmiot, a przeciwnie – wyzwaniem dla szkoły (i dla każdego z nauczycieli) jest przepełnienie całokształtu oddziaływania pedagogicznego treściami, które zawoocują – może nie od razu – miłością do ojczyzny. Ale zacząć należy, bez wątpienia, od tego, co bliższe, jak my mówimy – od swóji tatchżnë.

Nauczycielom, którzy w ramach nauki ojczystej historii zapragną budować emocjonalne relacje względem rodzinnej wioski (miasta, okolicy), nie zabraknie okazji do omawiania znaczących wydarzeń i kaszubsko-pomorskich losów na przestrzeni wieków. A mogą to uczynić tak, że zadrżą młode serca. Kreśląc na przykład pomorski szlak św. Wojciecha warto wyjaśnić, dlaczego ów czeski biskup jest ważną postacią naszych dziejów. Chronologię zmagania polsko-krzyżackich zacząć od

Świętopelka II, który pierwszy przeciwstawił się ekspansji Zakonu. Rolę Pomorza w historii Polski ukazać na przykładzie układu w Kępnie i unii Pomorza z Wielkopolską, która zapoczątkowała zjednoczenie kraju po rozbiu dzielnicowym. I tak dalej, aż do czasów najnowszych.

Nie wiem wszakże co więcej warte, cała ta szkolna wiedza (którą przekazywać koniecznie trzeba), czy niekonwencjonalne i przecież nieobowiązkowe poszukiwanie wokół śladów przeszłości. Nieocenione są stare cmentarze – skarbnice wiadomości o ludziach, którzy byli aktorami lokalnej historii, czasem działaczami w skali regionu i kraju. Na nagrobkach spotkać jeszcze można krótkie informacje o zmarłych, o tym, co czynili w życiu. Nieco rzadziej trafiają się rozbudowane i piękne epitafia. Oplaci się też sownie opieka nad miejscami dawno już opuszczonymi, ukrytymi w dzikich zaroślach cmentarzykami ewangelickimi bądź żydowskimi. Będzie ona źródłem moralnej satysfakcji i arką przymierza z dawnymi laty. Trzeba poznać dzieje zapisane w budowach, ruinach... Zobaczyć okrucieństwa rodzimej historii w przydrożnych kapliczkach i krzyżach. Odwiedzić miejsca zwycięskich bitew, które są świadectwem chwały i te, które są naznaczone męczeństwem poprzednich pokoleń – Piaśnicę, Szpegawsk, chojnicką Dolinę Śmierci.

Patriotyzm zaczyna się od poznania i umiłowania rodzinnej ziemi, potem dopiero można iść dalej. Ponad osiemdziesiąt lat temu Jan Karnowski pisał: „Wychowanie młodego Pomorzanina powinno zataczać trzy kręgi: poznanie rzeczy własnych pomorskich, ogólnopolskich, ogólnoludzkich. Z tego wynika, że szkoła powszechna winna w nauce historii i geografii uwzględniać rzeczy pomorskie. Nauka historii Pomorza powinna być zgodna z prawdą historyczną”. Słuszności tych wskazówek zapewne nikt dziś nie zaprzeczy, lecz chodzi o to, by słowa zamienić w czyny. (-)

Baszka – wspomink knôpiczëch lat

Dark Majkòwsci

Zolo, kontra, pas... To bëłë pierszé słowa, jaczi miôł jem czëtë wchôdającë na ôstatny turniér pòmòrskò-kaszëbsczi lidzi baszczi w Żukòwie. Dôwno ni môł grónë w tã grã, ale zarô przëszoł mi na mësłã mòje dodóm, dze ôb wiele wieczorów prawie te słowa dało sã czëc we wszëtczich jizbach. Dlô naju, wnenczas môlich knôpów, nôwiãkszym wëapartnienim bëło, czej mëmka, a ju ôsoblëwie tat, delë nama sadnãc kòl se i pòmagac w rechòwanim dëtków. W tich sztërkach jesmë sã czëlë dozdrzeniałima.

Bël jem czekawì, czë tim, co sedzelë terô kòl stolów i z trzòskã cëskelë kòrtë baszka téż parłãczëła sã z dzecnyma latama. Ju pò pierszych kòrbiònkach bël jem tegò gwës, bô wszëtccë pòdczorchiwelë, że miłotã do baszczi mają wëniosłë z dodóm. Ôsoblëwie czekawë bëłë wspominczi Józefa Kitowsczégò, nôstarszégò ùczãstnika lidzi, jaczi w baszkã graje ju 70 lat i je w ti grze zakòchòny. Pamiãtò òn, jak wespòł z jinyma knôpama ze szkòłë tacëlë sã z kòrtama pò sklepach, żebë starszi jich nie widzelë. Czedës, jak gòdò, kòzdi rozmiòł grac, bô nie bëło jiny rozriwczi. Telewizjò abò radio nawetka sã temù pòkòleniémù nie sniło.

– Cëż tej bëło robic? – pitò z ùsmiëchã wasta Józef. – Le brac kòrtë i grac.

Pòmòrskò-Kaszëbskò Liga Baszczi to dlô niegò nòlepszì darënk na stòrë lata. Nié leno dlòte, że mòżna grac z rozmajitima lëdzama (chòc je wiedzec, że to baro wòżné), ale i dlòte, że mò dzãka ni òbjachóné całë Kaszëbë. A jak sã nòuczcëc baszczi? Wcòle nie je nót sã ùczëc.

– Sygnie dwa razë òbezdrzec grã i wszëtckò sã wié.

Jinszò „seniorka”, wãstnò Gòsza Pelowskò, zdòwò sã bëc zdëwionò pëtanim, dlòcze graje w baszkã.

– A co jò bëm mia jinégò robic? – gòdò.

Jistno mësli wiele baszkòrzów. Dlô nich je dzywnë, jak mòżna nie grac.

Liga

Ùdbã stwòrzeniégò lidzi przësza jakòs sama, z żalu za tima czasama, czedë to familiowé zérndzenië bez baszczi nie bëło nawetka do pòmësleniégò. Jeden z wespòłorganizatorów lidzi Tadeùsz Makòwsci pamiãtò, że czedës na kòzdim wieselim, gebùrstachù, a nawetka stipie bël przëszekòwòny apartny plac dlô baszkòrzów. Pòzni, czej wszëtccë imprezë ôstałë przëniosłë do restauracjów, nen zwëk zdinãł. Tëż doma nie graje sã ju tëlì, co dówni, bô „białczy nie chcã wpùscëc chłopów, żebë grełë w baszkã”. Stãdka prawie zrodzëła sã ùdba, żebë dzes nalezc place, dze



Wszëtccë „baszkòrze”, chtëny grają w Pòmòrskò-Kaszëbsczi Lidze sã zgòdny co do jednégo: dzãka baszce i wszëtczim turniéróm w rozmajitëch placach Kaszëb nalezlë bëlnëch drëchów (i drëszczi).

Fot. ze zbiorów organizatorów turniejów baški

baszkòrze mòglëbë sã pòtkac. Zaczãło sã òd kòrczmë i pòkòzało sã, że je to baro bëlnò mësłò. I tak òd 2004 rokù w rozmajitëch lokalach na całëch Kaszëbach pòtkelë sã lëdze, dlô chtënnëch baszka bëła czims wòżnym.

W kùncu, łoni, rëszeła Pòmòrskò-Kaszëbskò Liga. Miała òna òbjic baszkòrzów z całégò pòmòrzczégò wjèwòdztwa, ale nìcht nie mësłòł, że przëcygnie jãz tëlì lëdzy. W 30 turniérówich miònkach wãzãło ùdzël 170 chłopów, 18 białków i 32 karna. Òrganizatorowie sã òsoblëwie búsny prawie z tegò, że liga nie je „szowinistną chłopską sprawã” i mają nòdzejã, że „baszkòrków” mdze przëbiwało. Nòwiãcy lëdzy zjachało na Mësterstwa Wejrowsczégò Pòwiatu do Szemòłda. Kòrtë cëskało tam jãz 204 baszkòrzów.

Cëż mò w se ta liga, że ju w pierszim rokù dzejaniégò stała sã takã atrakcjã? Pòdlug Mirosława Ùgòwsczégò, przëdnika partu Kaszëbskò-Pòmòrsczégò Zrzeszeniégò w Nowi Karczmie i jednégo z załòzczów lidzi, lëdzy przëcygò coròzka wiãkszò ranga ti rozëgracjì i chãc do miònków z jinyma, chtënnò sedzy w kòzdim człowiekù. Do te dobri plac na turniérach dówò òrãdz do bùchë i redotë. Tim barzi, że ò wënikach jinfòrmujã mòlowé pismiona, Radio Kaszëbë i jinternetowò starna www.bas-ska.costerina.pl. Ni mòżemë téż zabòczëc ò leżnosć òbezdrzeniégò piãknëch mòłów wnetka na całëch Kaszëbach.

A nòwiãszò zwënëga lidzi? Mirosłòw Ùgòwsci je ùdbë, że felënk wiãkszych òrganizacjówëch pòtkniãcòw, baro dobrò wespòłrobòta z samòrãdzënama i parta-

ma Kaszëbskò-Pòmòrszczégò Zrzeszeniégò, a téż wielëna chãtnëch, co chcelë sã sprawdzëc w spòrtowi biôtce.

Baszka parlãczy lëdzy

Wszëtcë „baszkòrze”, chtërný grają w Pòmòrskò-Kaszëbsczì Lidze sã zgòdny co do jednégò: dzãka baszce i wszëtczim turniéróm w rozmajitëch placach Kaszëb nalezlë bëlnëch drëchów (i drëszczì), jaczych nigdë bë nie pòznëlë.

Baszka parlãczy – i ni ma w tim nick dzywnégò. Jeżlë sedzy sã kòl se przë jednym stole z lëdzama, jaczi mają jistnë „hobby”, z chtërnyma – czëjbë ju nie bëło jinëch témów – mòżna chòc le pògadac ò granim, ò tim, z jaczi kòrtë lepi je wińc, czedë jã przebic, a czedë nié, tej drãgò je czëc sã z nima lëchò. Mëslã, że to sã czëje, wchòdajãc na zalã, dze sã zeszlì „baszkòrze”. Kòmùs z bùtna zdòwò sã, że wszëtcë miònkòrze sã rodzëznã abò bënomni pòchòdajã z jedny wsë i znają sã ju wiele lat. Kòl kòżdégò stołu je trzòsk i gòdka, jak na familiowëch zëndzeniach. A doch sã tuwò lëdze z rozmajitëch kaszëbszczich placów. Norda, Pòłnié, Westrzëdné Kaszëbë, Gòchë... Pùck, Żukòwò, Bëtowò, Nowò Karczma... Baszka je pò pròwdze ògłowòkaszëbską grã i na turniérach lidzi je to widzec i czëc – barzi czëc, bò tëlì òtmianów kaszëbiznë jak tuwò mòżna pòtkac chëba leno na zjòzdach Kaszëbów.

Baszka parlãczy òsoblëwie tich, co òbczas graniégò mùszą ze sobã wespółrobic – miëwcã damë krziż z tim, co mò damã pik – w grze sã òni pòzwòny stòrima – a z drëdzi stronë jich procëmników – młòdich. Abò trzech baszkòrzów, jaczi mùszą grac wespół procëm temù, co graje „zolo”. Ale je wiedzec, że na tim nie kùńczy sã parlãczenie lëdzy przez baszkã. Ta gra ju òd wiele lat zrzesziwała ze sobã sąsòdów, familie, drëchów. I chto wié, czë to prawie nie je nòwiãkszą zwënëgã Pòmòrskò-Kaszëbsczì Lidzi – danié nazòd ùznaniégò grze, jakò mò móc twòrzëc pòspòlnotë. Dlò lëdzy zamklich całima dniami przed zdrzëlnikama mòże to bëc pròwdzëwë wëbawienié i leżnosc do òdkrëcò, że fejn je miec drëchów.

Liga niese ze sobã jesz tã wiòlga dobroc, że jakno wójewòdzkò impreza parlãczy ze sobã lëdzy ze wszëtczich kaszëbszczich stron. Zdrzãcë na tòfle àutòłów, jaczi stojã pòd zalã, dze òdbëwòł sã turniér, pòmëslòł jem, że nie znają wiele pòdjimiznów, chtërnë sã tak baro krótkò serca kòżdégò mieszkëńca naji tãtczëznë, równo z jaczegò pòwiatu bë nie bëł.

I jesz jedno. Baszka rozmiejë zrzeszëc ze sobã wszëtczë pòkòlenia. Nòstarszi ùczãstnik lidzi, Józef Kitòwsczi, i lëdze pòrãdzesãt lat òd niegò młòdszi òbczas grë mają te samë jiwrë i redotë. Jistno ceszã sã z kòżdégò dobëtégò pùnkту, z kòzdi „bitczy” i jiscã sã, że nie jidze jima kòrta. I mòże nawetka nie widzã, że przë ti leżnoscë nawzòjno sã òd se ùczã. Ti stòri tegò, że nié wszëtcë młòdi mają lëchò w głowach, a młòdi, że nieròz wòrt je pòslëchac doswiòdczonégò żëcym człowëka. (-)

Lësta nòlepszych baszkòrzów I. Edicëji Pòmòrskò-Kaszëbsczì Lidzi

Karna	
Garecznica Borzestowo	1340 pkt
Dąbie Bytów	1220 pkt
Pianka Gdynia	1210 pkt
GKS Sierakowice	1020 pkt
Orły Kartuzy	1010 pkt
Gdynia Chylonia	910 pkt
Wiarus Bytów	860 pkt
Emeryci Mrzezino	810 pkt
Rzeźnik Żukowo	810 pkt
Belfast Żukowo	740 pkt

Białczy

Maria Toporek – Przywidz Kiełpino	1330 pkt
Helena Marciniak – Emeryci Mrzezino	1215 pkt
Hanna Wróbel – Jedyńka Kościerzyna	1090 pkt
Teresa Grudzień Tryk – Emeryci Mrzezino	1055 pkt
Teresa Wróbel – Super Team	
Nowa Karczma	960 pkt
Bożena Ugowska – Mestwin ZKP	
Nowa Karczma	840 pkt
Anna Markowska – Rodzina Żukowo	710 pkt
Małgorzata Pelowska – Przywidz Kiełpino	685 pkt
Aleksandra Olszewska – Jedyńka	
Kościerzyna	630 pkt
Barbara Socha – Przywidz Kiełpino	620 pkt

Chłopi

Jan Kwidziński – Orły Kartuzy	895 pkt
Bogdan Somkowski – Pianka Gdynia	703 pkt
Zbigniew Marciniak – Emeryci Mrzezino	674 pkt
Mirosław Ugowski – Mestwin ZKP	
Nowa Karczma	627 pkt
Jan Lejk – Garecznica Borzestowo	613 pkt
Benedykt Migowski – GKS Sierakowice	562 pkt
Jerzy Dawidowski – Wiarus Bytów	548 pkt
Tadeusz Jażdżewski – Wiarus Bytów	534 pkt
Zbigniew Piastowski – Bonanza Leżno	520 pkt
Jan Grzonka – Dąbie Bytów	516 pkt

Lew, stolem, budziciel



Wojciechowi Kiedrowskiemu nagrodę wręczył Artur Jabłoński, prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego

Fot. Leonard Szmaglik

Edmund Szczesiak

Laureat Nagrody im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów” Wojciech Kiedrowski ma już wiele tytułów, które dość dobrze charakteryzują jego dorobek, a po części także osobowość.

Pierwszy to ten odziedziczony po przodkach, którego Wojciech, zdeklarowany demokrat, w zasadzie nie używa, ale który stanowi ważny znak rodowy, znamionujący przynależność do starej kaszubskiej szlachty: Kiedrowskich, herbu Lew.

Każdy, kto bliżej zna Wojciecha przyzna, że ma on w sobie coś z tego drapieżnika. Okazywał to w działalności zrzeszeniowej, zwłaszcza w okresie stanu wojennego, gdy trzeba było wykazać niepokorę, a nawet hardość. Cechę tę zauważył Tadeusz Bolduan w „Nowym bedekerze kaszubskim”: „niespokojny i niepokorny duch, pełen pomysłów”.

Lew to jednak przede wszystkim król. A Wojciech niewątpliwie zasługuje – mimo rosnącej w ostatnich latach konkurencji – na tytuł króla kaszubskich wydawców, i to nie tylko w wymiarze współczesnym. Nikt nie miał i nie ma na tym polu tylu co on dokonań, służących wzmacnianiu tożsamości regionalnej Kaszubów i Pomorza.

Kolejny ważny tytuł to stolem – kaszubski olbrzym. Medalem Stolema Wojciech został wyróżniony już w 1972 roku. Warto przy okazji przypomnieć, że pięć lat wcześniej był inicjatorem jego ustanowienia. Legendami mocarze, którzy ongiś zaludniali Kaszuby, pozostawili po sobie w wielu miejscach ogromne kamienie. Współcześni stolemowie, wśród nich Wojciech Kiedrowski, stawiają kamienie milowe na drodze prowadzącej do silniejszego związku z naszą małą ojczyzną.

Do licznych tytułów i zaszczytów, odziedziczonych i nadanych, a należałoby jeszcze wspomnieć wśród nich Pieczęć Świętopełka Wielkiego klasy złotej i Tabakierę Abrahama, dochodzi kolejny, zaszczytny: Budziciel Kaszubów. Jakże przystający do dokonań Wojciecha, jakże celny, a więc i zasłużony. Jego patronem jest wszak Florian Ceynowa – twórca kaszubskiego regionalizmu i piśmiennictwa, redaktor i wydawca pierwszej gazety w tym języku „Skôrb kaszëbskosłòvjnkjé mòvé”. Wojciech Kiedrowski kontynuuje wiele z tych działań, i to z nie mniejszą pasją niż patron nagrody.

Na niwie kaszubskiej zaczął się udzielać będąc studentem. Do Zrzeszenia Kaszubskiego (od 1964 roku Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego) wstąpił w dwa lata

po jego powstaniu – w 1958 roku, od początku wyróżniając się wyjątkową aktywnością. Chciałoby się w tym miejscu powiedzieć, że miał to w genach. Jego ojciec Władysław Kiedrowski podczas studiów prawniczych w Poznaniu należał do korporacji Pomerania i Baltica. W 1936 roku będąc sędzią Sądu Okręgowego w Gdyni współzakładał Zrzeszenie Miłośników Kaszubszczyzny Stanica, był też jego sekretarzem. W gdyńskiej willi Haliny i Władysława Kiedrowskich spotykali się działacze kaszubscy z Aleksandrem Majkowskim na czele.

Wojciech miał niespełna dwa lata, gdy w listopadzie 1939 roku Niemcy rozstrzelali jego ojca w Piaśnicy. Nie pamięta go zatem, ale najwyraźniej przejął po nim zainteresowania rodzinnym regionem.

Pierwszym wymiernym dziełem Wojciecha-działacza było założenie Klubu Studentów Kaszubów Ormuzd i przewodniczenie mu. Należał także do grona inicjatorów powstania Klubu Pomorania. Prezesował mu w drugiej kadencji, przejmując pałeczkę po Lechu Bądkowskim, który był jego nauczycielem i przyjacielem. Pisałem niedawno w „Pomeranii”, odpowiadając na ankietę Jana Kulasa, o moich spotkaniach z Lechem Bądkowskim. Pierwsze nastąpiło na weselu Renaty i Wojciecha, w 1961 roku. Już wtedy relacje pana młodego i Lecha Bądkowskiego były, jak mogłem się przekonać, bardzo zażyłe.

Gdy mówimy o Wojciechu-działaczu to trzeba odnotować, że przez długie lata był członkiem Zarządu Głównego ZKP (odpowiednika dzisiejszej Rady Naczelnej), bardzo aktywnym, często niepokornym, wiadomo: lew, co przysparzało mu także antagonistów.

W latach 1980-1985 był wiceprezesem Zarządu Głównego. Przypadło to na czasy najpierw burzliwe – po Sierpniu '80, a potem trudne – po wprowadzeniu stanu wojennego.

Poprzedzenie na prezentacji zasług Wojciecha Kiedrowskiego dla ruchu kaszubsko-pomorskiego tylko jako działacza byłoby dalece niepełne. Jego największe dokonania to przecież te wydawnicze.

Po pierwsze – „Pomerania”, miesięcznik, który najpełniej i najkonsekwentniej kontynuuje tradycje czasopiśmiennictwa kaszubsko-pomorskiego. To, że można o niej mówić jako o najdłużej ukazującym się periodyku kaszubsko-pomorskim, jest niewątpliwą zasługą Wojciecha.

Zaczął – przypomnę – w 1965 roku od „Biuletynu Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego”, który zainicjowany przez Izabelę Trojanowską w 1963 roku przestał się ukazywać po trzech numerach. Od czasu gdy redakcję przejął Wojciech Kiedrowski, „Biuletyn” ukazywał się regularnie – sześć razy w roku. W 1969 roku prowadzenie pisma objął Stanisław Pestka (to on nadał biuletynowi nazwę „Pomerania”), ale po czterech latach jego redaktorem naczelnym ponownie został Wojciech i był nim do końca 1989 roku. Kierował nim w sumie 22 lata. Dodać należy: kierował absolutnie społecznie, zawodowo pra-

cując jako inżynier (ukończył Wydział Budownictwa Wodnego Politechniki Gdańskiej) w Gdańskim Przedsiębiorstwie Instalacji Sanitarnych, w którym był kierownikiem odcinka na budowach, a po 1989 roku dyrektorem tego przedsiębiorstwa. Za jego to czasów – w 1975 roku – powielany dwumiesięcznik zaczął ukazywać się drukiem (w dużej mierze dzięki staraniom brata – Jerzego Kiedrowskiego, ówczesnego prezesa Zrzeszenia), a w 1979 roku przekształcił się w miesięcznik, stając się jednym z najważniejszych pism regionalnych w Polsce. Tadeusz Bolduan w przywoływanym już bedekerze podkreśla:

„Specyficzny profil czasopismu nadał Wojciech Kiedrowski, godząc w nim teoretyczne refleksje na temat ruchu kaszubskiego z tematami branżowymi prosto z życia. Rozbudowany był dział historyczny i literacki, publikowano wspomnienia i pamiętniki, wywiady, reportaże, eseje, recenzje i informacje o tym, co się działo na Kaszubach i w samym Zrzeszeniu. »Pomerania« miała grono stałych współpracowników, umożliwiały debiuty literackie, inicjowała tematyczne spotkania dyskusyjne, ustanawiała nagrody i wyróżnienie specjalne Skrę Ormuzdową”.

To na jej łamach – podkreślmy – rozwinął się niezwykły talent pisarski Anny Łajming. Być może pozostałaby ona autorką szkicu i obrazka scenicznego, gdyby nie wizyta w Słupsku Wojciecha Kiedrowskiego i Edmunda Puzdrowskiego, i przekonanie niemłodej już pani Anny, by kontynuowała rozpoczęte utworami wysłanymi na konkursy pisanie. A potem troskliwe patronowanie piarsce, publikowanie jej opowiadań i wspomnień na łamach „Pomeranii” na zasadzie pierwszeństwa.

Po Sierpniu '80 władze zgodziły się na podniesienie nakładu pisma do 10 tysięcy egzemplarzy, co odpowiadało ówczesnemu zainteresowaniu czytelników. W tamtych latach to jednak nie redakcja, nie rynek czytelniczy decydowali o tym, ile ukaże się jednorazowo egzemplarzy, lecz Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, czyli cenzura. Konsekwencją pozwolenia był odpowiedni do nakładu przydział reglamentowanego papieru, ale nie dla „Pomeranii”, której nigdy żadnego papieru nie przyznano. W stanie wojennym wydawanie „Pomeranii” zawieszono dwukrotnie, z jego nastaniem i w 1982 roku, gdyż Zrzeszenie odmówiło współpracy z władzami komunistycznymi, jako jedyne z nierozwiązanych stowarzyszeń na Pomorzu nie przystąpiło do PRON – Patriotycznego Ruchu Odrodzenia Narodowego.

Za nieprawomyślność trzeba było płacić. Płaciła także „Pomerania”. Ale dzięki temu wyborowi zarówno Zrzeszenie, jak i miesięcznik stały się enklawami niezależności, przyciągającymi wielu wartościowych ludzi, oazami pozwalającymi realizować się im na powierzchni, a nie tylko w katakumbach.

Pismo, zawieszone jak wszystkie tytuły prasowe po 13 grudnia 1981 roku, zostało „odwieszane” 7 czerwca 1982 roku. Jednak po przedstawieniu przez redaktora naczelnego przygotowanego numeru cenzurze, zezwolenie anulowano. Powód: „Nieprzestrzeganie przez wy-



Oficyna Czec to dzieło nie tylko Wojciecha, ale i jego żony – Renaty

Fot. Leonard Szmaglik

dawcę warunków wydawania czasopisma w czasie stanu wojennego zagraża interesom bezpieczeństwa Państwa”.

Dopiero od lutego 1983 roku „Pomerania” mogła się znowu ukazywać, z tym że Główny Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk udzielając ponownego zezwolenia na wydawanie miesięcznika zmniejszył nakład do 4 tysięcy.

Pierwszy, po ponad rocznej przerwie w ukazywaniu się, numer został przygotowany przez zespół sprzed stanu wojennego. Z redakcji nikt nie został zwolniony, mimo wielu sugestii. Ta wygrana runda była wynikiem zdecydowanej postawy redaktora naczelnego, mającego pełne poparcie Prezydium ZKP i prezesa Izabelli Trojanowskiej.

Wojciech przyjął do redakcji pozbawionych prawa wykonywania zawodu dziennikarzy (wśród nich mówiącego te słowa i Zbigniewa Gacha). Sekretariat powierzył byłej pracownicy Zarządu Regionu „Solidarności”, aktywnie działającej następnie w kościelnym Komitecie charytatywnym i za związki z podziemiem więzionej. „Pomerania” – obok „Gwiazdy Morza” – była jedynym w Gdańsku pismem zaznaczającym ingerencje cenzury. Było to wprawdzie zagwarantowane ustawowo, ale po uprawnienie to sięgały tylko pisma związane z Kościołem. Przyciągała ludzi niezależnych: naukowców i artystów, którzy bojkotowali oficjalne media. Na łamach miesięcznika często gościły nazwiska takich gdańskich pisarzy, jak: Jerzy Afanasjew, Bolesław Fac, Zbigniew Jankowski, Aleksander Jurewicz, Piotr Kotow, Krystyna Lars, Kazimierz Nowosielski, Bożena Ptak, Kazimierz Sopuch, Władysław Zawistowski, Paweł Zbiński, Zbigniew Zakiewicz. A także – Erwin Kruk, skazany na pu-

bliczny niebyt w Olsztynie czy Stefan Pastuszewski – w Bydgoszczy.

Ceną za niezależność było ograniczenie, a od półrocza 1983 roku całkowite wstrzymanie dotacji dla Zrzeszenia – przeznaczonych przede wszystkim na wydawanie „Pomeranii”, a jednocześnie uniemożliwianie działalności gospodarczej, nie udzielając np. pozwoleń na stworzenie zespołu, który specjalizowałby się w architekturze regionalnej. Zwlekano też z zatwierdzaniem planu wydawniczego.

To swoisty paradoks, że okres, który zapisał się w historii Polski jako jeden z ciemniejszych, stał się czasem szczególnego rozkwitu i Zrzeszenia, i jego miesięcznika. Mimo olbrzymich trudności, których zaledwie kilka, dla przykładu, wymienię. Stało się to dzięki niezłomności takich ludzi jak Wojciech Kiedrowski.

Równolegle z redagowaniem „Pomeranii” zajął się on w Zrzeszeniu wydawaniem książek. W 1970 roku ukazały się tomiki poezji Jana Trepczyka, Jana Rompskiego i Alojzego Nagła, a wkrótce potem książeczki Leona Roppla o kompozytorze Lubomirze Szopińskim i Tadeusza Boldana o Antonim Abrahamie.

„Oficjalnie nie było żadnego wydawnictwa kaszubskiego – napisał Tadeusz Woźniak w reportażu „Ojciec książek bardzo kochanych”, zamieszczonym w „Dzienniku Bałtyckim” w cyklu „Znani-nieznani”. – Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskiemu nigdy nie przyznano praw wydawniczych, a Wojciech Kiedrowski nie wydał w 1970 r. żadnej książki. A jednak ukazały się, są wydawniczym faktem. Dzisiaj trudno opisać, jakich to przedsięwzięcie wymagało zabiegów, starań, sprytu i odwagi. Za taką działalność wydawniczą można było mieć poważne kłopoty”.

W 1971 roku tych książek było już 9, w następnym – 11. Tak zrodziło się zrzeszeniowe wydawnictwo znaczone sy-

gnieciem Świętopelka z odwróconą kotwicą, które następnie przekazał Izabelli Trojanowskiej.

Na większą skalę Kiedrowski rozwinął działalność edytorską w latach 90. Początkowo pod skrzydłami oddziałów ZKP w Gdańsku (Kara Remusa) i ZKP w Gdyni (Arkun). Pod koniec 1994 roku stworzył własne wydawnictwo – Oficynę Czac.

Z okazji jej dziesięciolecia w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie zaprezentowano dorobek wydawniczy Wojciecha. Ekspozycja uzmysłowiła jaki jest on imponujący, zważywszy że cała oficyna to Wojciech i wspomagająca go żona Renata. Jaki bogaty i różnorodny! Na swoim koncie Wojciech Kiedrowski ma około 200 książek, w samej Oficynie Czac ponad 90. Większość z nich zapewne w ogóle nie ukazałaby się w czasach, w których także w tej dziedzinie dominuje myślenie komercyjne. Mamy więc tu zbiory poezji Alojzego Nagla, Stanisława Jankego (również powieść tego autora „Leliek”), Jaromiry Labuddy, Idy Czai, Benedykta Karczewskiego, Stanisława Okonia; klasykę literacką: utwory Hieronima Derdowskiego, ks. Leona Heykego, Augustyna Necla, Lecha Bądkowskiego, Anny Łajming, Jana Drzeżdżona; rozprawy o Kaszubach i ich dziejach profesora Gerarda Labudy; biografie Floriana Ceynowy (pióra Jana Karnowskiego) i Hieronima Derdowskiego (napisana przez Stanisława Jankego); słowniki Stefana Ramuła i Eugeniusza Gołąbka (w tłumaczeniu tego autora także „Knéga psalmów”); poradnik encyklopedyczny o języku kaszubskim, leksykon geograficzny i muzyczny; sztuki sceniczne Natalii Gołębskiej, Idy Czai, Anny Łajming; podręczniki Danuty Pioch, Marka Cybulskiego i Róży Wosiak Śliwy, a także Wandy Kiedrowskiej, Danuty Pioch i Jerzego Tredera (autora ponadto cennej pozycji „Kaszubi. Wierzenia i twórczość”); felietony ks. Romana Skwiercza; wywiady i reportaże Edmunda Szczesiaka.

Długa jest lista autorów. Oprócz już wymienionych byli to m.in. Tadeusz Bolduan, Małgorzata Borkowska, Bolesław Fac, Edmund Kamiński, Alfons Kiedrowski, Wojciech Kiedrowski, Edward Konkel, Tadeusz Linkner, Witold Mańczak, Jan Netzel, Regina Osowicka, Anna Ossowska Pałasz, Justyna Pomierska, Edmund Puzdrowski, Benedykt Reszka, Jerzy Samp, ks. Zygmunt Jutrzenka-Trzebiatowski, Maciej Żakiewicz.

Na szczególne uznanie zasługują wielokrotnie i różnorodne wydania arcydzieła Aleksandra Majkowskiego „Žécé i przigòdë Remusa”. Ukazało się ono w wersji oryginalnej i tłumaczeniu Lecha Bądkowskiego na język polski, w kaszubskiej pisowni autora i pisowni uwspółcześnionej, odrębnie po kaszubsku i po polsku, ale i łącznie w obu językach.

Bohater powieści Majkowskiego z karą pełną książek przemierzał Kaszuby niosąc swoim pobratymcom wid (światło) i budząc śpiących do działania. Jeśli z powierzonych mu misji nie wywiązał się w pełni, to dlatego, że zabrakło mu dostatecznej wiary w to co robi, a z przeciwności, które sławiły mu na drodze – Trudu, Strachu i Niewarto – poko-

nało go to najgroźniejsze i najbardziej paraliżujące: Nieworto!

Drogi laureacie, nie trać zatem wiary w to, że warto!
I budź nas nadal! (-)

Laudacja wygłoszona 19 czerwca 2006 roku podczas uroczystości wręczenia Wojciechowi Kiedrowskiemu Nagrody im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów”.

REGULAMIN NAGRODY IM. FLORIANA CEYNOWY „Budziciel Kaszubów”

1. Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego ustanawia Nagrodę im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów” jako wysokie wyróżnienie roczne dla osób, zespołów osób lub instytucji działających na rzecz Pomorza i działalnością swą wnoszących wkład w kulturę lub gospodarkę regionu kaszubskiego.

2. Nagroda ma wygląd okładki o wymiarach 25x33 cm, oprawionej w brązową skórę, z gryfem w złotej otoczce na pierwszej stronie z tego samego koloru napisem: „Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie”. Wewnątrz nagrody po lewej stronie znajduje się miejsce na dyplom formatu A4, zaś po prawej umieszczony jest miedzioryt wizerunku Floriana Ceynowy według drzeworytu Stanisława Brzeczkwoskiego.

3. Kapitułę nagrody tworzą członkowie Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego z prezesem Zrzeszenia jako przewodniczącym.

4. Przyznanie Nagrody im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów” następuje po rozważeniu zgłoszeń od stowarzyszeń, instytucji i osób fizycznych, a także na podstawie indywidualnego rozeznania członków Kapituły zwykłą większością głosów i przy uzasadnieniu potwierdzonym przez całe gremium Kapituły.

5. Nagroda im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów” przyznawana będzie jednej osobie lub instytucji w roku. W przypadkach szczególnych może zostać jednak przyznana kilku osobom lub instytucjom.

6. Wręczenie Nagrody im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów” odbywać się będzie w uroczystej formie.

7. W przypadku zdecydowanego braku kandydata do Nagrody im. Floriana Ceynowy „Budziciel Kaszubów” Kapituła może wyjątkowo odstąpić od przyznania jej w danym roku.

8. Regulamin ten zatwierdził Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego na zebraniu w dniu 14 maja 2005 roku.



FLORIAN CEYNOWA
1817 - 1881
BUDZICIEL KASZUBÓW

Lech Bądkowski jakiego znałem (6)

Człowiek z charakterem

„Panu Tadeuszowi Fiszbachowi proponuję przeczytanie i przemyślenie tej książki [„Życie i przygody Remusa” Aleksandra Majkowskiego – przyp. LJ], dającej dużo do myślenia. Lech Bądkowski. Gdańsk, lipiec 1971 r.”

„Panie I sekretarzu. Niedawno wróciłem z podróży do Japonii. Byłbym rad, gdybym w bliskim czasie mógł się z Panem spotkać i prosię bardzo o wiadomość. Pozwalam sobie przesłać Panu ostatnią moją książkę. Z wyrazami szacunku Lech Bądkowski. 10 czerwca 1977 r.”

„Panu Tadeuszowi Fiszbachowi w podziękowaniu za życzliwość i z prośbą o przyjęcie niniejszego tomu [„Odwróconej kotwicy” – przyp. LJ]. Lech Bądkowski. Gdańsk, marzec 1977 r.”

„Panu Tadeuszowi Fiszbachowi w podziękowaniu za życzliwość. Lech Bądkowski. Gdańsk, grudzień 1977 r.”

(Dedykacje)



Lech Bądkowski imponował Tadeuszowi Fiszbachowi jako człowiek i jako działacz społeczno-kulturalny.

Fot. Marek Adamkiewicz

Poznali się w 1971 roku. Lech Bądkowski – współzałożyciel Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, członek oddziału gdańskiego Związku Literatów Polskich (w l. 1956-1966 jego prezes), a w okresie strajków sierpniowych rzecznik „Solidarności” oraz Tadeusz Fiszbach, ówczesny sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku, zajmujący się m.in. sprawami kultury. Wcześniej sekretarz w Elblągu i Tczewie, zaś w roku 1980 negocjator z ramienia władz państwowych podczas rozmów ze stoczniovcami. W imieniu rządu podpisywał Porozumienia Sierpniowe. Chcąc uniknąć ofiar, przeciwstawił się, jak twierdzi, swoim zwierzchnikom w Warszawie i odmówił wzięcia udziału w konfrontacji z robotnikami. Oświadczył nawet Edwardowi Gierkowi i partyjnym kolegom, że w przypadku użycia siły przechodzi do stoczni.

Bądkowski spotykał się z Fiszbachem jako przedstawiciel ZKP albo ZLP. Nigdy prywatnie. Formalnie w sprawie przedsięwzięć kulturalnych i literackich, ale przy okazji dyskutowali na inne tematy, np. o utworzeniu w „Dzienniku Bałtyckim” dodatku „Samorządność”...

– Rozmowy te przebiegały naturalnie – przyznaje Tadeusz Fiszbach. – Nie czułem się przy nim sekretarzem.

Być może Lech dostrzegał pokrewną duszę. W nawiązaniu kontaktu z ustawionym na najwyższym szcze-

blu w województwie człowiekiem (od 1975 roku Fiszbach był I sekretarzem KW PZPR) pomogła mu zapewne świadomość sympatii, jaką ten darzył Kaszuby. Stąd zapewne tyle w jego zbiorach książek z dedykacją Bądkowskiego. Bo choć urodził się w Drobaczynie, na Kresach, po wojnie zamieszkał z rodziną w Kartuzach, w domu nieżyjącego już... Aleksandra Majkowskiego. Poznał córki tego pisarza i regionalisty. Matka Tadeusza była nauczycielką w pobliskim Kiełpinie.

Bądkowski miał zwyczaj omawiać z nim planowane przedsięwzięcia z dużym wyprzedzeniem. Tak było chociażby w przypadku organizowania obchodów 700. rocznicy wydania testamentu Mściwoja. Po raz pierwszy w sprawie tego projektu przyszedł na rok przed terminem uroczystości.

– Miał człowiek charakter – stwierdza Fiszbach. – Był silny, a przy tym ujmujący. Swoim zachowaniem, mową wywoływał u partnera konieczność skupienia na nim uwagi.

Był przy tym uparty. Często, gdy na czymś naprawdę mu zależało, mawiał do sekretarza: „Jeszcze do pana przyjdę. Wiem, że nie może pan od razu i sam zdecydować, że musi zgłosić, gdzie trzeba. Ale przekona się pan, że mam rację”.

– W jednej ze swoich książek, chyba w „Sądzie nieostatecznym”, Bądkowski napisał: „Kto odniesie zwycię-

stwo nad sobą, ten przekreśla klęski zadane przez wroga" – przywołuje Tadeusz Fiszbach. – Jest to bardzo trafne określenie jego drogi życiowej. Był przecież żołnierzem i znad Bzury, i spod Narviku. Kiedy w latach 1993-1998 byłem radcą handlowym w Norwegii, dotarłem do archiwaliów zaświadczających o uczestnictwie i bohaterstwie Lecha w bitwie o Narvik. Godne podziwu były u niego pielęgnowanie tradycji narodowych, pewnie wyniesione z domu, i głoszenie prawdy. Wówczas, w latach siedemdziesiątych, na odwagę stać było niewielu. A on miał odwagę i powiedzieć, i dążyć do celu. Oczywiście, w zależności od sytuacji. I nieustannie walczył o wolność. Mawiał: „Walka ciągle trwa, tylko że w innej formie”.

Był za wolnością słowa dla pisarzy i dziennikarzy, a także żądał odpowiedzialności za nie. Wolność – dowodził przy sekretarzu – nie może być oderwana od odpowiedzialności, bo jaki będzie efekt takiego działania?

– Lech domagał się anulowania dekretu o cenzurze – mówili byli prominent partyjny. – Ale my, w województwie gdańskim, i tak mieliśmy ją stosunkowo łagodną.

Literaci, intelektualiści, do których należał Bądkowski, odegrali – jak wspomina T. Fiszbach – dużą rolę w wydarzeniach sierpniowych. Łagodzili sytuację. Ich wystąpienia w 1980 roku miały wpływ na podejmowane na szczeblu wojewódzkim decyzje, na relacje partii ze stoczniovcami. W swoim oświadczeniu apelowali o spokój, ład i dialog. Przekonywali, że strajkujący nie będą wysuwać żądań zagrażających bezpieczeństwu Polski i wprowadzania radykalnych zmian w systemie politycznym. Władze, zdaniem byłego sekretarza, potrzebowały intelektualnej pomocy, by uniknąć powtórki z Grudnia'70.

– Wsparcie literatów w negocjacjach było dla nas bardzo ważne – kontynuuje Fiszbach. – I sprostali oni wyzwaniom. A Bądkowski był taką dobrą transmisją...

Imponował T. Fiszbachowi jako człowiek i jako działacz społeczno-kulturalny. Podobano mu się, że nie zmieniał swojego stylu bycia w zależności od okoliczności. Przy stole negocyjnym zachowywał się tak, jak w innych sytuacjach. Podziwiał jego znajomość historii i czasów najnowszych. Z zainteresowaniem czytał jego „Pomorską myśl polityczną”.

„Panie sekretarzu – zagadnął Bądkowski Fiszbacha po Sierpniu 1980 roku. – Te manifestacje pod pomnikiem Sobieskiego... Trzeba coś z tym zrobić. Tylko pan może... Bo po co komu one?”.

– No i zasugerował Lech, by organizować spotkania polityczne i społeczne... – opowiada Fiszbach. – Takie, na które przyszlby przedstawiciele władzy i opozycji. Ale ja tę propozycję wówczas zlekceważyłem, nie zgodziłem się na nią. Człowiek mądry po fakcie... Widzi pani... Kontakty te, nie ukrywam, wpływały na moje pojmowanie faktów politycznych i społecznych. Bądkowski ważył bowiem problemy. Nie podchodził do spraw emocjonalnie. Było wprawdzie uczucie, ale sprzężone z rozsądkiem. Nikt na początku lat osiemdziesiątych nie zakładał, że wszystko padnie. A on to wiedział.



Książki z dedykacjami, które otrzymał T. Fiszbach od L. Bądkowskiego. Fot. Marek Adamkiewicz

Opowiadał się za zmianami, ale przeprowadzonymi w demokratyczny sposób.

– Był zdania, że trzeba ludzi wybierać, a nie typować na stanowiska – kontynuuje Fiszbach. – Mianować rzetelnych, uczciwych – przede wszystkim fachowców. To również miało wpływ na moje rozumienie sprawy. Należy zaznaczyć, że województwo gdańskie było jedynym w Polsce, w którym nie było weryfikacji kadr na kierowniczych stanowiskach po Sierpniu.

Już 20 marca 1981 roku literaci wystosowali do władz wojewódzkich list otwarty. Sygnalizowali w nim ogólny niepokój, skostnienie struktur, ostrzegali, że zbliża się sytuacja kryzysowa.

– Bądkowski potrafił przewidzieć następstwa wydarzeń – wyjaśnia pan Tadeusz. – Zaledwie dziesięć lat później jego wizja zrealizowała się. System runął i powstało – niestety, już po jego śmierci – samorządne Pomorze.

Obaj, jak mówi Fiszbach, na pewno zgadzali się co do jednego: opowiadali się za normalnością w życiu i pracy.

– Warto – zachęca – omawiać twórczość Lecha w pomorskich szkołach, czego się, a szkoda, nie robi. I iść za jego radą: żyć godnie, nie klócić się, rzetelnie wykonywać robotę. (-)

Iwona Joć

Dziękuję Janowi Kulasowi za pomoc w zorganizowaniu i uczestnictwo w spotkaniu.

Transcassubią do korzeni

Gdynia pamięta o swoich kaszubskich korzeniach. Kto wątpił, mógł się o tym przekonać 1 lipca podczas VIII Zjazdu Kaszubów. Według harmonogramu, jego początek nastąpił około godz. 10 przed dworcem kolejowym. Tak naprawdę jednak rozpoczął się on wczesnym rankiem od wyjazdu pociągów Transcassubia z Chojnic i Słupska.

Na stacjach, na których się zatrzymywały nie było tłumów, lecz mimo to wagony bardzo szybko wypełniły się niemal po brzegi. Im bliżej celu podróży, tym w przedziałach robiło się weselej.

– Szkolni i profesorowie opowiadają o Kaszubach, jakbyśmy byli jakimś skansenem – leciwa dama z żółtą szarfą, znakiem rozpoznawczym tego-rocznego zjazdu, mówiła wyraźnie podekscytowana.

– A przecież my żyjemy i chcemy wspólnie świętować! Przynajmniej raz do roku! – zawtórowała jej sąsiadka.

Jak wielka może być radość z bycia razem, okazało się na gdyńskim peronie, gdzie gości witał prezydent miasta Wojciech Szczurek. Morze czarno-żółtych flag zalało wkrótce ulicę 10 lutego, którą poprowadzony został pochód do kościoła NMP. Metropolita gdański abp Tadeusz Gocłowski odprawił w nim mszę św. Po niej uczestnicy zjazdu przemaszzerowali pokłonić się Tónie Abramowi. U stóp pomnika złożono nie tylko kwiaty, lecz także odsłonięto przygo-



Zjazdową mszę św. odprawił abp Tadeusz Gocłowski.



W uroczystym pochodzie udano się po mszy na Skwer Kościuszki.

towaną z okazji zjazdu niespodziankę – tablicę z kaszubską nazwą placu.

– Żeby zbudować dom, trzeba najpierw postawić mocne fundamenty, a dobrym fundamentem dla Gdyni była tożsamość i kultura kaszubska – mówił prezydent Szczurek. – Dzisiaj jesteśmy dumni, że w jubileuszowym dla naszego miasta roku Kaszubi spotykają się i bawią właśnie w Gdyni.

Dobrej zabawy nie zabrakło na Skwerze Kościuszki. Na jego nadmorskim krańcu ustawiona została scena, na której prezentowali się zaproszeni artyści. Pieśni kaszubskie wykonały połączone chóry pod dykcją Przemysław Stanisławskiego. Były też występy zespołów folklorystycznych oraz preferujących muzykę rockową i pop. Gwiazdą tej części programu okazała się Kòmpanijô Wãdzëbòków z wokalistką Damroką Kwidińską, której, niestety, nie dano szans na bisowanie, choć występ grupy – sądząc po reakcji publiczności – mógłby się przeciągnąć do późnego wieczora.

Kaszubszczyznę smakowano też na inne sposoby. W Ogrodzie Kaszubskiej Kultury barwne stoiska rozstawili twórcy ludowi, wydawnictwa regionalne oraz panie serwujące przysmaki lokalnych kuchni. Pomyślano również o zawiadzionych w miłości. Na zacumowa-

nym w pobliżu skweru ORP Kaszub mogli oni spróbować szczęścia w kartach. I to bez ryzyka. Na pokładzie jednostki rozgrywano bowiem kolejne zawody w baśkę.

Gdynia przyjęła zjazdowców godnie, z wielkomięjskim rozmachem. A jak będzie za rok w Brusach? Zobaczymy... (-)

(MA)

Zdjęcia Marek Adamkiewicz



Na gdyńskim peronie gości witał prezydent miasta Wojciech Szczurek.

Uroczystości jubileuszowe w Wejherowie



Referaty, dyskusja i festyn – tak przebiegała konferencja popularyzacyjna o społecznym ruchu regionalnym po Kongresie Kaszubskim w Wejherowie w 1946 r.

Fot. Edmund Kamiński

W siedzibie Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie 3 czerwca odbyła się konferencja popularyzacyjna pt. „Społeczny ruch regionalny po Kaszubskim Kongresie w Wejherowie”. Zorganizowana została ona z okazji przypadającej w tym roku 60. rocznicy I Kongresu Kaszubskiego oraz 50-lecia powstania Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Spotkaniu towarzyszyły wystawy „Ruch kaszubsko-pomorski w XIX-XXI w. W pięćdziesięciolecie upowszechniania kultury Kaszub i Pomorza przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie” oraz Festyn Kaszubski.

Artur Jabłoński, prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, witając zebranych, wśród których znaleźli się senator Edmund Wittbrodt, poseł Jerzy Budnik, prof. Marcin Pliński, przedstawiciele władz miejskich Wejherowa z prezydentem Krzysztofem Hildebrandtem oraz powiatowych ze starostą Józefem Reszke, poinformował, że życzenia dla uczestników uroczystości nadesłali marszałek województwa pomorskiego Jan Kozłowski oraz Urszula Sawicka, dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej w Gdańsku.

Konferencję otworzył referat Dariusza Szymikowskiego „I Kongres Kaszubski w Wejherowie”, w którym omówiona została geneza, przebieg i skutki kongresu z 12 i 13 stycznia 1946 r. Następny referat, „Funkcjonowanie demokracji w społeczności lokalnej Wejherowa”, wygłosił prof. Marek Latoszek. W oparciu o badania socjologiczne scharakteryzował on odczucia i postawy mieszkańców Wejherowa w sferze funkcjonowania demokracji lokalnej oraz świadomości etnicznej. Artur Jabłoński w swoim wystąpieniu („Samorząd a społeczeństwo oby-

watelskie. Priorytety Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego”) wiele uwagi poświęcił uchwałom II Kongresu Kaszubskiego z 1992 r. w kontekście współpracy Zrzeszenia z samorządami oraz decyzjom walnych zjazdów delegatów ZKP. Wspomniął, że Zrzeszenie powinno wspierać proces decentralizacji jako sposób rządzenia krajem, a poszanowanie dla języka kaszubskiego i dziedzictwa kulturowego uznać za jedną z fundamentalnych wartości społeczeństwa obywatelskiego i priorytet w działaniach Zrzeszenia na najbliższe lata.

Po wygłoszeniu referatów odbyła się dyskusja, po niej zaś otwarcie wystawy ukazującej dzieje ruchu kaszubsko-pomorskiego. Opracował ją prof. Cezary Obracht-Prondzyński, sekretarz Instytutu Kaszubskiego, a jej komisarzem była Janina Kurowska z Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej. O oprawę plastyczną zadbała Joanna Cichocka.

Ostatnim punktem spotkania był Festyn Kaszubski. W jego programie znalazły się występy kabaretu Labud z Tłuczewa, chóru Lutnia i zespołu C.Z.A.D. z Luzina, kapeli Plesta Józefa Roszmana z Gnieźdźewa oraz uczniów wejherowskich szkół.

Konferencję przygotował – dzięki wsparciu finansowemu Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego – Zarząd Główny i oddział wejherowski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, przy udziale Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, wejherowskich władz miejskich i powiatowych oraz Nadbałtyckiego Centrum Kultury. Przedsięwzięciu towarzyszyła opracowana przez Grażynę Wirkus okolicznościowa publikacja. (-)

D.Sz.

I Kongres Kaszubski

Dariusz Szymikowski

Kongres Kaszubski, jaki odbył się w 1946 roku w Wejherowie (dzisiaj możemy powiedzieć: I Kongres Kaszubski, gdyż w 1992 roku zorganizowano następny) był dziełem ludzi skupionych wokół czasopisma „Zrzesz Kaszëbskô”, czyli tzw. zrzeszyńców (zrzeszowców). Do grona tego należeli między innymi przedwojenni twórcy i redaktorzy pisma: Aleksander Labuda, Jan Trepczyk, Jan Rompski, Ignacy Szutenberg, Stefan Bieszk, Feliks Marszałkowski, ks. Franciszek Grucza (nie wszyscy jednak uczestniczyli w jego organizacji, gdyż nie powrócili jeszcze z wojny) oraz redaktor powojennej „Zrzeszy” Brunon Richert.

Kongres odbywał się w czasie, gdy w całej Polsce toczyła się walka o władzę, z której zwycięsko wychodzili – przy pomocy oszustw i terroru – komuniści. Wielu Kaszubów, ciężko doświadczonych wojną, musiało po jej zakończeniu przechodzić procedury weryfikacji i rehabilitacji. Nie najlepiej układały się też relacje z ludnością napływową, z żołnierzami polskimi, a zwłaszcza radzieckimi (kradzieże, pobicia, gwałty, morderstwa, wywózki do ZSRR). Do tej krótkiej charakterystyki sytuacji należałoby dodać jeszcze ogromne trudności apro-

wizacyjne.

Inicjatywa zorganizowania zjazdu zrodziła się najprawdopodobniej na początku listopada 1945 roku, na spotkaniu działaczy kaszubskich w Kartuzach, przygotowanym przez Powiatową Radę Kultury i Sztuki. Pierwotnie kongres miał odbyć się 1 i 2 grudnia 1945 roku (B. Richert, *Nowa epoka w dziejach kaszubskich*, „Zrzesz Kaszëbskô” [dalej „ZK”], nr 16 z 8 XI 1946, s. 1). Uważano, że powinien on być manifestacją zgody i jedności: „Musimy nareszcie skończyć z podwórkowymi waśniami i osobistymi ambicjami jednostek” (B. Richert, *Pojednanie i zgoda*, „ZK”, nr 18 z 13 XI 1945, s. 1).

Organizatorzy przesunęli jednak termin zjazdu na 15 i 16 grudnia. Powodem był prawdopodobnie brak odpowiedniego zezwolenia, ale ważniejszą przeszkodą okazał się „zbyt krótki okres czasu między odbyć się mającym zjazdem a zawiadomieniem, [który – przyp. red.] nie pozwolił (...) na zajęcie stanowiska i delegowanie przedstawiciela U[rzędu] W[ojewódzkiego] G[dańskiego – przyp. red.]” (*Protokół z konferencji odbytej 31 grudnia 1945 r. w sprawie kaszubskiej w Wydziale Społeczno-Politycznym*, Archiwum Państwowe w Gdańsku,



Władze państwowe z niepokojem obserwowały organizację i przebieg Kongresu Kaszubskiego.

Repr. Edmund Kamiński

Urząd Wojewódzki Gdański [dalej APG, UWG], sygn. 1164/358, k. 252). Jednakże w połowie grudnia również nie doszło do zjazdu. W numerze 32 „Zrzeszy” z 15 grudnia B. Richert poinformował czytelników o przesunięciu kongresu na 12 i 13 stycznia 1946 roku. Powodem tego odroczenia miała być choroba wojewody Mieczysława Okęckiego oraz odbywający się w tym samym czasie ogólnopolski Zjazd Dziennikarzy w Gdańsku, na który planowały przybyć również władze wojewódzkie (B. Richert, *Dlaczego Kongres odroczono na 12 i 13 stycznia?*, „ZK”, nr 32 z 15 XII 1945, s. 1).

W rzeczywistości władze lokalne, zdominowane już przez komunistów, były zaniepokojone samodzielną inicjatywą środowisk kaszubskich i potrzebowały czasu, aby odpowiednio do tego wydarzenia się przygotować. W kontekście przesunięcia terminu zjazdu warto wspomnieć o ulotce („PRAWYM POLAKOM do wiadomości i ku przestrodze”) kolportowanej w Gdańsku, która zdaniem „Zrzesze” była „obelżywą napaścią na ruch kaszubski”, mającą na celu – poprzez oskarżenia o separatyzm – nie dopuścić do zwołania kongresu (B. Richert, *Jesteśmy na prostej drodze*, „ZK”, nr 36 z 23 III 1946, s. 1). Choć jej autorem był prof. Kazimierz Banaś-Purwin (dziennikarz, działacz Polonii gdańskiej, od marca 1946 roku stał na czele Wojewódzkiej Komisji Weryfikacyjnej), to powstała ona z inspiracji Franciszka Sędzickiego, który według Zygmunta Moczyńskiego (kierownika Działu Narodowościowego w Urzędzie Wojewódzkim) „tak jak przed wojną, obecnie jest bez środków do życia i dlatego zgorzknienie jego potęguje się stale”. Moczyński uważał, że Sędzicki traktował wydawców „Zrzesze” „jako domniemyanych konkurentów” (*Opinia Z. Moczyńskiego o memoriale ob. Kazimierza Banaś-Purwina z grudnia 1945 r.*, APG, UWG, sygn. 1164/358, k. 16-17).

Z zachowanej korespondencji władz różnego szczebla wynika, że dążyły one do tego, aby zjazd podkreślał tylko niektóre wątki (np. martyrologię i łączność Kaszubów z narodem polskim). Obawiano się, aby „niepowołane elementy spośród Kaszubów nie wykorzystały Kongresu w kierunku przedstawienia ruchu kaszubskiego jako ruchu o tendencjach odśrodkowo-narodowościowych”. Władze chciały, aby w pracach zjazdu wzięli udział przedstawiciele partii politycznych, gdyż miało to wywrzeć wpływ na ich przebieg oraz na treść rezolucji w takim kierunku, ażeby one ewentualnie „nie odzwierciedlały kaszubskich odrębności narodowych” (*Poufne pismo Departamentu Politycznego Ministerstwa Administracji Publicznej do Wojewody w Gdańsku z 7 stycznia 1946 r.*, APG, UWG, sygn. 1164/358, k. 1-2).

Rządzący zrozumieli, że przełożenie kongresu wywołało niezadowolenie wśród Kaszubów. W tym kontekście warto odnotować fakt z końca grudnia 1945 roku. Pułkownik Anatol Zbaraski (wicewojewoda gdański) zaprosił do siebie, do Sopotu, działaczy kaszubskich (Richert, Szutenberg, Rompski, Józef Gniech), nakazując im utworzenie rządu kaszubskiego i udanie się w tym celu do Warszawy. Nie przystąpili oni jednak do tej gry

SPN. 1945

SPN. 1945/46

13.12

Wzrost, da. 15 grudnia 1945

Ramie prawe 235

SPN. 1945

Do

Urzędu Wojewódzkiego

w Gdańsku.

Departament Polityczny poleca Naczelnikowi Wydziału Społeczno-Politycznego natychmiast nadebrać dane dotyczące ludności Kaszubskiej, a mianowicie:

1. Ilość Kaszubów
2. Jakie prądy społeczne i polityczne nurtują wśród ludności Kaszubskiej
3. Kto stoi na czele projektowanego Zjazdu Kaszubów
4. Jakże pisma są wydawane w nich
5. Kiedy ma się odbyć Zjazd Kaszubów
6. Jaka partia ma wśród Kaszubów największe wpływy

W powyższych sprawach należy porozumieć się z sekretarzami partii, oraz zasięgnąć opinii U.B.P.

Sprawę traktować należy jako b. pilną.

12.12.1945

Dyrektor Departamentu

(A. Grabowski)

Repr. ze zbiorów Dariusza Szymikowskiego

(zob. T. Bolduan, *Nie dali się złamać. Spojrzenie na ruch kaszubski 1939-1945*, Gdańsk 1996, s. 41-46). Na marginesie owych wydarzeń można stwierdzić, że Zbaraski uważał, iż należy przełożyć termin odbycia kongresu, bowiem „zjazdy i zebrania nie można zwoływać jeżeli się nie zna konstytucji ZSRR” (*Protokół z konferencji w sprawie kaszubskiej odbytej 31 XII 1945 r. w Wydziale Społeczno-Politycznym*, APG, UWG, sygn. 1164/358, k. 252).

W związku ze zbliżającym się wielkim spotkaniem, jego organizatorzy wzywali do powszechnej zgody i do tworzenia atmosfery współpracy. Według ich zamierzeń, zjazd stać się miał miejscem rozpatrzenia i pozytywnego rozwiązania wielu nurtujących społeczność kaszubską problemów. Przede wszystkim miał być „generalnym i popolitym ruszeniem do ciężkiej pracy wykonywania nowej i lepszej przyszłości na Kaszubach” oraz „uroczystym początkiem nowego życia na Kaszubach” (B. Richert, *Na przełomie*, „ZK”, nr 33 z 18 XII 1945, s. 1).

Dzięki pracy wielu ludzi (Komitet Wykonawczy tworzyli Brunon Richert, Ignacy Szutenberg, Jan Rompski, Augustyn Westphal, Jan Pobłocki, zaś w skład Komitetu Honorowego weszli między innymi mecenas Wiktor Roszczynialski, ks. Franciszek Gucza, Klemens Derc, Bernard Szczyński, Aleksandra Majkowska) kongres mógł się więc ostatecznie odbyć.

Obrady miały miejsce w sali Leona Prusińskiego (sala teatralna na 300 miejsc). Uczestnicy zjeżdżali do Wejherowa już w piątek (11 stycznia). Witaty ich bramy po-

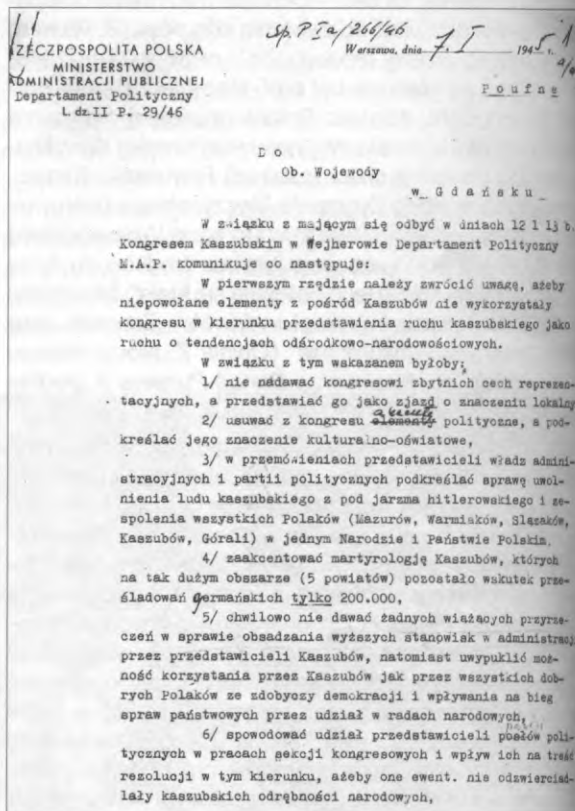
witalne z kaszubskimi napisami. Przybyli Kaszubi z całego regionu, w tym z ziem przyłączonych do Polski w 1945 roku (również delegaci Słowińców). Miasto zostało udekorowane, a obok flag polskich pojawiła się kaszubska (w ten sposób „ozdobiono” dom redakcyjny „Zrzeszy”).

Otwarcie kongresu nastąpiło w sobotę 12 stycznia o godzinie 10. „Wszystkie miejsca siedzące i stojące na sali i galerii były zajęte” – pisała „Zrzesz” (*Nasz Kongres*, nr 7-8 z 17 I 1946, s. 1). W pierwszej części obrad były przemówienia działaczy kaszubskich i różnych dostojników, w tym ministra informacji i propagandy Stefana Matuszewskiego.

Po obiedzie rozpoczęły się obrady w sekcjach: repolonizacji, kultury kaszubskiej i gospodarczej. W ich trakcie sprzeciwiono się stosowaniu jako kary wywożenia za Odrę w stosunku do autochtonów, uznano niemieckich Kaszubów za swoich braci i zaapelowano do rządu polskiego, aby ich oddzielił od właściwych Niemców i umożliwił im powrót do polskości, opracowano szereg postulatów dotyczących rozwoju kultury kaszubskiej (np. dyskutowano o powołaniu różnych placówek kulturalnych, w tym muzeum, i powzięto decyzję o utworzeniu organizacji kaszubskiej, której zadaniem byłoby dbanie o rozwój rodzimej kultury), uznano, że rolnictwo nadal będzie podstawą rozwoju regionu, postulowano przeniesienie nadmiar ludności do powiatów zachodnich, szybką odbudowę zakładów przemysłowych i budowę nowych, myślno o propagandzie turystycznej i rozbudowie sieci kolejowej. Pierwszy dzień kongresu zakończyły występy artystyczne (taneczne, recytacje, spektakl „Dziewczyna i miedza” ks. Bernarda Sychty).

W niedzielę 13 stycznia w sali obrad Powiatowej Rady Narodowej Starostwa Morskiego zebrali się działacze kaszubszy, delegaci wszystkich miast kaszubskich i licznych gmin. Wybrano Komisję Statutową, która miała opracować statut nowej organizacji i doprowadzić do jej zalegalizowania. Następnie odbyła się w kościele farnym msza św. (kazanie wygłosił ks. Franciszek Grucza). Po niej przyszedł czas na drugie zebranie plenaryjne. Referat na nim wygłosił Augustyn Westphal („Kaszubi w walce z Niemcami”). Odczytano również sprawozdania z prac sekcji, które zostały zaakceptowane przez zgromadzonych, a na koniec przyjęto rezolucję, w której Kaszubi oświadczyli, że „zawsze pilnie pełnić będą straż nad morzem oraz pielęgnować wartości rodzime dla pomnożenia polskiej kultury narodowej oraz dobra ludu kaszubskiego”. Ostatnim elementem programu była akademicka ku czci zasłużonych osób (recytowano wiersze poetów kaszubskich, czytano fragmenty „Remusa”, śpiewano pieśni).

Po kongresie zarówno wśród Kaszubów, jak i ze strony władz dominował pogląd, że przyniósł on pozytywne skutki. Wkrótce jednak strona kaszubska przekonała się o prawdziwych zamiarach władz komunistycznych. W efekcie „Zrzesz” pisała: „nie pozwolimy naszych praw w niczym uszczuplić, nie pozwolimy, aby krzywdzono nas na naszej odwiecznej ojczyźnie” (H. Kreft, *Na naszej drodze*, „ZK”, nr 67 z 9 VI 1946, s. 3).



Repr. ze zbiorów Dariusza Szymikowskiego

Obrady i decyzje podjęte na kongresie dotyczyły aktualnych problemów, a jednocześnie stanowiły podwaliny programu ukierowanego na przyszłość, którego jednak w ówczesnej sytuacji nie dało się zrealizować. Pewne możliwości powstały w 1956 roku, co zostało wykorzystane przez powołanie Zrzeszenia Kaszubskiego. Jednakże dopiero po roku 1989 powstały warunki do tego, aby Kaszubi znowu poczuli się gospodarzami swej ziemi. (-)

Zrzeszenia portret własny

W ramach uroczystości jubileuszowych 60-lecia I Kongresu Kaszubskiego i 50. rocznicy utworzenia Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie otwarto wystawę „Ruch kaszubsko-pomorski w XIX-XXI w. W pięćdziesięciolecie upowszechniania kultury Kaszub i Pomorza przez Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie”.

Przygotowana przez Janinę Kurońską, według scenariusza prof. Cezarego Obracht-Prondzyńskiego, ekspozycja zobrazowała zasadnicze trendy pojawiające się w ruchu kaszubskim w przeciągu ponad 150 lat. Nie ulega wątpliwości, że do połowy lat 50. minionego stulecia, do chwili powstania Zrzeszenia Kaszubskiego, był to ruch złożony z indywidualistów lub wąskich grup ideowych walczących o przetrwanie żywiołu kaszubskiego, a ściślej rzecz ujmując – mowy macierzystej. Polem aktywności – począwszy od Floriana Ceynowy, Hieronima Derdowskiego, poprzez młodokaszubów, zrzeszńców, klękowców – była praca naukowa, literacka i publicystyczna, wydawanie czasopism; sporo korespondowali, spotykali się w dosyć kameralnych kręgach.

W pierwszym okresie istnienia Zrzeszenia Kaszubskiego, przemianowanego później na Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, sprawa kaszubska stała się masowa, ale już od lat 60. znowu skupiła się w wąskim środowisku. Pojawiała się niemal wyłącznie podczas okazjonalnych wydarzeń kulturalnych, na spotkaniach działaczy i twórców czy konferencjach naukowych. Przełom nastąpił na początku lat 80., gdy członkowie ZKP włączyli się do rewolucyjnego zrywu „Solidarności”, która postrzegała kaszubskość jako przejaw niezależności i wolności w systemie realnego socjalizmu. To właśnie wówczas w Zrzeszeniu pojawiły się załączki charakterystyczne dla organizacji masowej – sztandary, prezentacje zespołów pieśni i tańca dla szerokiej publiczności, otwarte wydarzenia kulturalne



Ekspozycja prasy

Fot. Edmund Kamiński

i rozrywkowe: przeglądy, festyny, zabawy. Ta tendencja przybrała na sile na początku lat 90. – z nastaniem w kraju wolności obywatelskiej. Od pamiętnego II Kongresu Kaszubskiego (1992) ważną rolę w życiu Zrzeszenia zaczęły odgrywać nie tylko symbole i znaki tożsamości etnicznej, ale także gromadne spotkania towarzyskie i biesiady, zbiorowe pielgrzymki i podróże, manifestacje i zjazdy. Ruch stał się mniej

oświatowy, popularyzatorski, naukowo-literacki, a bardziej ludyczny i folklorystyczny. Wtedy też bez ograniczeń i dobitnie zaczęto domagać się uznania kaszubskiego jako języka, wprowadzono jego nową ortografię. Kaszubszczyzna weszła do telewizji, radia, pojawiła się w wysokonakładowym „Dzienniku Bałtyckim”. Okres ten zapoczątkował również obecność kaszubskiego w Kościele i w szkołach. Siłą napędową tych zmian stali się ludzie młodzi. Od kilkunastu już lat pomiędzy nimi a działaczami średniego i starszego pokolenia toczy się mniej lub bardziej ostry spór: jakie ma być Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie? Organizacją etniczną, może nawet w jakiejś mierze narodowo-kaszubską, czy też co najwyżej etniczno-kulturową, regionalną, otwartą na szeroko rozumianą pomorskość?

Jeszcze dziś utrzymuje się względna równowaga. Co więcej, polemika ta jest dla Zrzeszenia bardzo ożywcym źródłem aktywności, ma niekiedy moc inspirującą do podejmowania istotnych działań. Czas pokaże, czy zwycięży opcja jedności w różnorodności, czy też ideowej polaryzacji, która jednak na dłuższą metę może grozić rozłamem w Zrzeszeniu.

Wejherowską wystawę, na której zaprezentowano wiele dokumentów, portretów i przedmiotów o znaczeniu symbolicznym, zmuszającą do refleksji i zadawania wielu pytań, można było zwiedzać w czerwcu i lipcu bieżącego roku. (-)

Stanisław Janke



Ekspozycja plakatów

Fot. Edmund Kamiński

Jak Walerémù sã ùdało nikògò nie òszmùlëc

w czas do tegò baro pasowny, ale jak òn biédã spac zagònił,
to òna sã wnet zbùdzëła, a Waleri dostòł w pësk òd ksądza za nick.

Jarosław Kroplewski

Dobrze le slëchòjta jak bëło.

Jak Waleri z wòjnë przëszedł nazòd, to widzec bëło, że biédã nie szła spac, że wrëczy do chleba szlë za żòłti sér, swinie bëte wëżarté, krowë ùmiarté, a jegò przedwòjennò brutka Agnésã do klòsztoru wëdònò, bò na niego ju krziż bëł pòstawiony. To, że terò Pòlskò bëła wòlnò, a Wilusz ju bëł na zabòcenim, to jakò to pòcecha – człowiek to je człowiek, a mapa swiata to mapa swiata – z mapã sã nie òżenisz i dzeczy nie narobisz. Tak Waleri z Brunkem i Pawłem òd Szprëtków jedny nocë klòsztor w Żukòwie najachelë i Agnésã stamtãdka wëcygnãlë. Òna bëła na to, ale to ni mògło bëc dobrze widzóné, a jesz jak sã lëdze zwiedzëlë, że òn wiãksi dzél wòjnë ù Rusków bëł, to nawet nie pitelë jak to sã stało i pò chtërny stronie: biòłëch czë czerwònych – dlò tatków òstòł òn czerwòny.

Tak to krącëlë sã młodi pò krewnëch na miònczi z lëdzcim gòdanim, tëlì co tich krewnëch sprawiło, jaż jãzëczy jich do tatczanëch progów zagnãlë. Walerégò starszi nëkelë z domòctwa, za zgòrszenié, le mù kòza, wòzyk i përnã nòrzãdzów dalë, a Agnésë òjc nawetka na pòdwòrzë na pùscył, bò róz, że z klòsztoru dała sã wërwac, dwa – szła z czerwònym, to do tegò niosbã jesz miała, że schòwac ji nie szło i strach bëł, że jaczégò Piłsudczégò z tegò dò abò jesz gòrszégò smòka. Le mëmka za kòńsczim pòlem czipła, cobë młodim dac chòc płachtã i dwie sztepdeczi – pierzënë nie szło przemëcëc przed stòrim, co na westrzòdkù pòdwòrzégò pòmstowòł na tã całã wòjnã, co mało że lëdzy nabiła, to jesz tich co z ni wëszlë pòczwarzëła. Tak Waleri jesëń, zëmã i zymk płotë pò wsach gbùróm rëchtowòł, stodołë gacył, dwa daczki pòstawił, że dëtków kask ùzbieròł i baùplac kòlë strãdu Bòłtowégò òd rëbòka kùpił, a jesz Agnésã ù nich na gòrze przëzmòwòł, że mògła spòkójno na Jastrë natkã zrodzëc. Ta zemia bëła lëchò: le miòłk, a babszczë zëbra, ale wiedzno zemia. Tak to nibë jo, nibë do przòdkù, ale biédã spac nie szła – òna le sã zdrëmnała.

Ale slëchòjta le dali.

Tak po Jastrach, kòl łżëkwiata ze wszëtczych stròn lëdze zaczãlë sã sëpac jak bùlwë pò arfie, a przòdkem szlë miëmicë, a rajbach sã zrobił wkòł, a robòtë bëło tëlë, że jakbë Waleri zëgark miòł, to bë muszòł drëdzi żorgac, bò kòzden zëgark bëł za mòli cobë czas ten zmierzëc. A zjachało sã pòł swiata: Antków bòsëch, biëdotë z Galicëji,

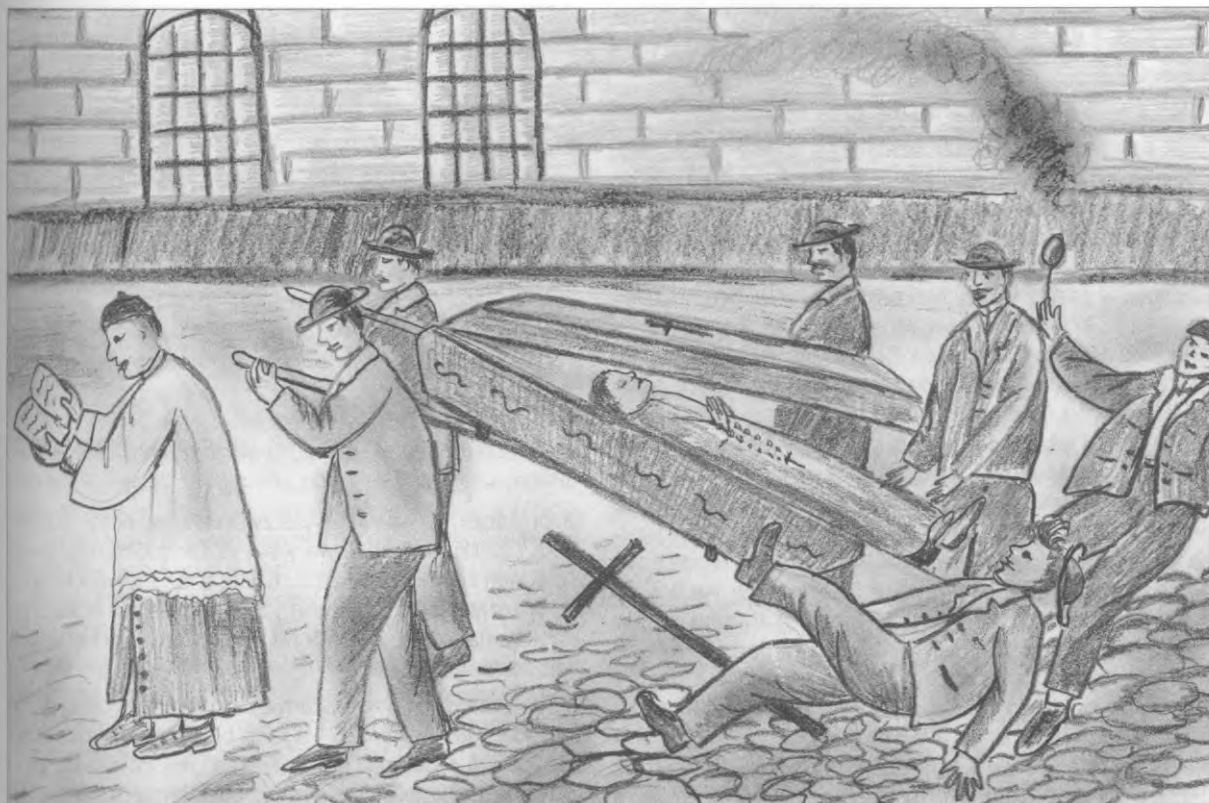
òberwarńców z kresowëch pùstków, Żëdów, Miemców, hrabiów w jednëch bũksach, że strach bëło rãce z czeszeni wëjac, bò zarò chto drëdzi tam swòje wetki. Ale robòta bëła i jak sã człowiek pilowòł, to płaconé nawetka miòł. Bez rok Waleri sã dwùch kòni dorobił, a Agnésã knòpa i dzeùsa żëwégò jak mòrénka, bò za drëdzim razã to pòrkã dało. A szło na jesz lepsze, bò przë jegò baùplacu miałë sã krzëżowac nòwòzniészë drodżi nowégò miasta, to òn za to na jesëń dostòł wiãcy jak dzesãc tegò co dòł ò zymkù. To jemù sprawiło na jesz dwa kònie, mòcné wòzë, szterë razë wiãksi baùplac pòd lasem, a do tegò jesz kòł. Założił òn firmã co piòsk wòzëła, a piòskù tuwò bëło dërch mało, tak że robòtë bëło dëcht, dëtczi sã jak trusë mnożëlë, że na to Agésã róz w róz le rodzëła. Tak to sztek Gdini z Walerégò robòtë i Agnésë brzëcha sã stòł. Ale biédã nie szła spac.

Tak terò patrzta co bëło dali.

Jak róz przëszło, że dëtczi sã zacząłë psëc. Inflacjò przëszła na miészak jak skòrcë na krzesznie. Reno mòł kònia przedac, a wieczòr za to nawetka kùrë nie dostac. A Waleri miòł prawie na ten czas kredit hòpen, a strach gò bëło brac, bò z bankù człowiek bë wzał pòł bũdinkù w grëbich pieniadzach, a do domù bë doniòł le tëlë co na sztrëchòlce. Ale trafił òn na banowiszczu zajisconégò banowégò, co ni miòł co z fùl wagònem stòłków zrobic, bò òdbiòrca òd ti jinflacji sã pòwiesyl w lese, krewnëch nie wskòzòł, a deszcz òd szterzech dni lòł, że nawet tich stòłków spòlëc nie szło, a wagòne muszòł òddawac, bò òsowië na jegò czeszeni bë padło. Ne tak Waleri chùtkò taszã tich papiòrów, co jak dëtczi jesz wëdzrzałë, z bankù przëwiòzł, wagòn stòłków kùpił, za resztã bówków do noszeniégò najął i tak òstòł z wëbùdowònym sklepem pòd wiòłdżi bũdink zastawionym stòlkama. Kredit ùratowòny, ale co z tima stòlkama! Slòdków mògło w całim pòwiace bëc mało. A jesz te stòłczki, mùszimë to rzec, bëłë bez tapicerczi. Tak Walerémù przëszło sã na tapicera ùczëc. Kònie przedòł, wòz zastawił, mëstra rimarsczégò najął i stòłczki na miãtkò kùrcził, a jesz òpiarca zaczął sòm rzezbic w róże, cobë to szło przedac chòc Żëdóm, i cyment a kis kùpiac na partér i piãtra. Stòłczki szlë, bũdink rosnał, dzecë zdrowë bëłë, dëtczi nibë sã turlalë prostã drogã, ale biédã nie szła spac.

Terò co sã wërobiòł!

Waleri sobie pòlc ùrznął przë tim rózów wërzinanim. Robic òn nick bez wiãksi dzél rokù ni mògł. Co terò – tapicér bez pòlca jak ksądz bez brzëcha. Prawégò, tegò



Rys. Maria Bordewicz

do klepaniégò w czoło, pólca. Stółczy sã kùńczetë, dëtczy sã gzëtë – biëda! Ale méster tapicér chcòł miec płaconé co sobòta. Bez ten czas sã Waleri na skrzëpkach naùczył grac, bò za piãc stółków skrzëpczi òd jednégò szkólnégò dostòł, a bez pólca szło smëczk trzëmac. Ten szkólny jész sã gò ùczëc pòdjął za to, że Agnësa szkólnëch dzecë przë swòjich pilowała jak w òchrónce. Tak Waleri bez tidzëri stółczy w Pòlskã wòzył, a w niedzielë pò wieselach na skrzëpkach gròł, a do tegò z czinzszòw dëtczy, chòc mòłë, zacząłë jic, że na dzecë, chtëmëch ju miòł dzesãc sztëk mùszalo starczëc. Agnësë do dzeczy Stazjã najął, takã szes-cdzesãt dërch, za miskã i spanië, a wedle dzeczy, to sobie rzekł, że wiãcy nié. Bùdink sòm sobie na elewacjã zarobił, a wieselów bëło, że kòńsczich ògónów na smëczk jãz felowało. Ale pò tich wieselach jinszò biëda zdrzała – Przegrëcha to bëła. Rìzawò, z piersama jak bòtë na Bòłce. Że òn na to szedł! Ta gòrãczka, to sano... Z wieselégò na wieselë... Jãz naszedł róz Agnësã, jak jemù bùksë zeszi-wała, co je rozpòrczył w Karczemkach na gòrze, ù Kąkòla. I taczì szlach dostòł w serce, tak gò sëmienië zgrzëło. Tak to przestroga przëszła na czas, le kãsk za grzëchem. Do spòwiedze szedł z tim doróbkem, a Agnësë wiãcy fartu-cha nie pindłòł. Grac dali na wieselach miòł strach, ale òd strachù robòtë nie mdze. Z mùzykantama le na pògrzebë jic sobie dozwlòł.

Ale z pògrzebów dëtków knap, że mùszòł sã za wiãcy òbzerac. Ùmëślił òn sobie sklep kòlonialny òdemknãc, a nòstarszã swòjã jazgùlkã za ladã pòstawić. A biëda żdała, bò spac òna nie szła doch.

Ale terò co bëło – sami patrzta!

Bòrg przëszło spłacać, dzeczy dzesãc sztëk, stółczy sprze-dónë, pògrzebów mało. Kòmòrnégò nie szło pòdniesc, bò mieszkaniów w miesce ju bëło dosc skòpicã, a to-warów nakùpilë, że dëtków ju na nic nie bëło. Na szczescë przëszło nieszczescë. Wleziłë Miemcë i wszëtczich wënëkelë. Pò dwadzesce piãc kilo dozwlòlë le zabrac. Trzësta kilo dobëtku dowiezłë do-dóm, do tatczëny wsë, tatkówie Agnësë i tatkówie Wa-lerégò na miónczi jich do se ròczëlë i miãtkò bë sã mògło robic, ale to bëła doch wòjna i biëda mùszala zaskrzeczëc do samych gnòtów: dwie natczì jima Miemcë wzãle na robòtë – dobrze że nié dalek, le òsmëdzesãt kilómétrów bez mała. Waleri cały rujan i smùtan tam jezdzył na swòjim kòle. Dòrka przë krowach – dwa razë na dzerì piãcdzesãt mùszala dojec, jãz strëpë miała na głowie òd òsrónych krowich brzëchów, co sã ò nie òpiërała, a Stefka do béków na bòsëchno w jesëri òbmiarzła, jãz serce dëszëło. Tak biëda sã zamachnała na Walerégò tczã: òn bë mògł natczì swòje dodóm dostac, ale mùszòł Miemcóm tã jich lësta pòdpisac. Ne jakże to – za Miem-ca sã zapisac? Òn, co Pòlsce nòwiãkszã hòwingã bùdowòł. Ne, mòże nié wprost, ale kisu tam nawiòzł całã gòrã, a generał Heller mù rãkã scësnał przë swiòtkach. Ale na kùńc òn to pòdpisòł, a dlò Dòrczi to bët czas òstatny, tak że dopiërkù na Niepòkòlanã òna z chòrobë wëlazła. Ale terò jemù biëda zaskrzeczala, że le sadnãc. Jak òn sã na tã lësta dòł, to wëszo, że jegò knòpi pòd Wehrmacht zacząłë pòdchòdac. To jakbë chtò

szëflą w krowińc trzasł. Dwùch wzälë zarô, a jak za rok pòd Tobrukem òni przeszlë do aliantów.... Biëda szła, jaż szëmiało.

No a terô slëchôjta – jesmë przë kùńcu.

W czas nôglãbczësi Walerégò biëdë przëszedł pògrzëb nôwiãkszi biëdë we wsë, Trudë òd Tusków, co ù kòscelnégò Mëjné na chlebowiznie bëła. Wiele co nie gadac droga do smãtôrza co szła, òblodzonô bëła, a Mëjna pòpiotëm ji nie pòsëpòł. A szlë òni tak: Pawël òd Szprëtków z krzëżem, za nim trëmnã nioslë: Brunek Gruchałów, Każka Szëmichów, Mëszków Max, Trëdrów Bernard, òd Płotków Bronisz i Sëldatków Bòlës, jo, a tej szedł Mëjna w kòmże z kadjëtëm, dali probòszcz Kòch – Miemc spòd Augsburga – nôpòrządnësi z Miemców, co òd czasu jak tuwò nastòł le rôz sã głupkówato zmilił, jak ze słowôrza słowa „Leib dem Christi na Miäso Christusa” przetolmacził... Za probòszczem szło bezmała pòł wsë, bò Tusków Truda bëła we wsë òd wiedno i nawetka za Wilisza ju starô bëła, chòc wicy Tusków nigdë tuwò nie bëło. Jo, jak jednym razã Szëmichów Każka sã pùrgnął i drëdzich na siebie scygnął, a trëmnã rznãła kerntã ò zmarzniãtã dargã. Ksądz w jednã, Mëjna w drëgã, le kadjëtło pùsycl Trudce na nodzi, lëdze na stronë, co niejeden na krzëwë krëszczy, co wedle drodзи rostlë, wskòcził, a trëmnã z Trudkã bez dekla, jak wasażk westrzòdkem, nëkała czejbë kòscërkò bana, bò dim òd kadjëtla sã cygnął sëwã szlajfã. Przëkã ti Trudżëny turë był kòscelny mùr. Co tuwò wiele sã rozgadiwac: trzask, prask, trëmnã w klepkach, Trudka w smiotach, a Walery, chòc za dwa dni miòł ju miec piãdzësãt lat, bëł przë Trudce pierszi – tak to biëda ùstawiła! Jak bëł pierszi, tak Trudkã ze sniegù wëdostòł i na prostë nodzi pòstawił. Tej sã dopiëruszkù zaczãła pògòrcha na całã wies, bò òna le sëkniã òd przòdkù miała, a òd tëtù gòlëtëchny slòdk. Na to prawie sã z górë bez mùr prze-



Rys. Maria Bordewicz

chilił Naczka, co na wieżë dlò zwònieniégò òstòł, przechilił sã i zawòłòł: Ruscë we wsë! W tim mòmence, jak na szrëcach zjachòł probòszcz Kòch, a jak miemieckò gapa òn wëdzrżòł bez tã czòrnã kapã, co mù pò bòkach jak skrzydła flabòtała. Zjachòł òn i Walerémù wërżãł w pësk bez zòdnégò słowa.

Tak Walery sadnął na kamie i za głowã sã chwëcył, bò terô to òn ju nie wiedzòł za jakã biëdã w pësk dostòł: za spekulacjã stółkama na òbwiëszonym, za rżawã przëgrzëchã na wieselnym sanie, za miemieckã lëstã, za knòpów we Wehrmachce, czë za co jinszëgò, bò doch nië za gòli slòdk Trudczy, a tim barzi nië za to, że Ruscë przëszlë! (-)

Opowiadanie otrzymało pierwszą nagrodę w tegorocznym Ogólnopolskim Konkursie Prozatorskim im. Jana Drzeżdżona w Wejherowie – w kategorii kaszubskiej.

Radio KASZËBË

98,9 - 92,3 FM

Tam, gdzie słyhać śpiew syren

Czesław Markiewicz

Szli długo. Jakby przez całe życie. Omijali bite, brukowane ulice, żeby nikt nie pomyślał, że idą, jak co niedzielę, do kościoła na mszę. Nie tutaj, w Kępicach, ale całkiem odświętnie do Ciecholubia, bo ten kępicki, nowy, to jakby nie kościół, jak wszystko tutaj. Ale nawet ten z Ciecholubia, stary, jak tylko mógł być stary, po wierchu, z nazwy z Ciecholubia, bo przecież za wsią, na skarpię, po wschodniej stronie drogi do Miastka, i też nie od razu właściwy, ich. Najpierw przecież ewangelicko-augsburski, potem, chociaż katolicki, to z parafii w Dretyniu. I jakoś teraz dopiero kępicki. A i same Kępice, to nie Kępice, ale naprawdę Warcino, i też zanim tu ich rzuciło, wszystko mieli ci cali wielcy, więksi niż oni wszyscy razem wzięci, Bismarckowie.

To jak się czuli, niby u siebie? Tak krótko, a tyle razy: raz tak, raz siak. Nawet jeśli o wszystkim nie wiedzieli, to instynkt przymusowych wędrowców podpowiadał im, że każda kępa trawy jakaś nie ta, nie od razu, i nie od zawsze ich.

Stąpali delikatnie, z przejęciem, niby cienie unoszące się nad ziemią, mgła błędząca po łące o świcie. Ale z dziwną wprawą potykali się o kretowiska. Wydawało się, że bezbłędnie trafiają w miejsca, których nie dotknęła ludzka stopa. Zatrzymało ich rozlewisko przy siłowni wodnej. Nie mogli się pomylić i zejść nad Jezioro Oblęskie, zbyt mocno zatrzymali tę wodę w pamięci, a kilkoro z nich miało wyraźnie przed oczami żywy napis: „Papierfabrik Hammermühle”. Inni nie zdążyli na szczęście przyzwyczaić się do ruskiego Businka. Można zgłupieć, przecież od początku było to samo: zwyczajne Kępice, ciche, obojętnie prastare, nic, że sławieńskie – dobre na umieranie.

Rozebrali się w milczeniu. Pięcioro z nich rzucało rzeczy byle jak, gdzie popadnie. Tylko jeden, dobrze utrzymany, wyprostowany, szczupły starzec, układał ciuchy starannie w charakterystyczny kwadrat. Inny, gestykulujący jak przywódca, zaprotestował:

– To wygląda jak więzienna kostka. Rozrzuć wszystko po łące albo najlepiej wrzucić do stawu. Masz być nagi pod każdym względem.

Sześcioro nagich starców, drżących w dolinie Wieprzy – jeśli ktoś patrzył na nich z góry, nie musiał nawet z nieba, wystarczył pobliski Chomniew, jako najwyższy z całych Górek Nakielskich. Nie mogli drzeć ze strachu. W ich wieku człowiek niczego już się nie boi. Przypuszczali, że w dolinie odnajdą to, co zobaczyli za pierwszym razem: wodę, sztandary, wiatę z muzyką, słodkości, zimną lemoniadę, ludzi opalających się w słońcu południowego stoku. Nie było nikogo, pustka i odludzie. Dlaczego nie

wpadli w panikę, ocknąwszy się nago nad zbiornikiem wodnym przy elektrowni, chociaż bez kropli wody, żadnej małej kałuży, nie licząc rosy, która zresztą zdążyła już od rana opaść, a do wieczornej było jeszcze za daleko? Mieli zamknięte oczy. Albo ktoś wyrugował z ich pamięci całą tę papierniczą, tartaczną, garbarską i Bóg wie jeszcze jak elektryczną wodę, bo znowu tyle razy czemu innemu służyła, jak się komu, kto niby stąd, widziało. Woda, nie woda, oni widzieli pod spuszczonej powiekami zwyczajną łąkę, jakoś dziwnie skrętnie zapomnianą i nietutejszą, coś, co zostawili albo zostało na zawsze gdzieś tam, skąd przyjechali. A im już tak zostało: raz rozlewisko, raz łąka; raz tu, raz tam. Wiele razy, przez cały czas. Sześcioro nagich, ślepych, milczących starców.

– Hej, wy tam! – rozległ się nagle czyjś Głos, jakby z zewnątrz, ale całkiem ludzki. – Nie otwierajcie oczu i nic nie mówcie. Dopiero, kiedy ja wam każę!

Wydawało się, że nie słyszą. Albo udawali. Okrzyk nie powtórzył się, odezwało się tylko echo. Dopiero ono zwróciło uwagę tego, który nie czekał aż dystygowanie wyprężony starzec sam zajmie się swoją więzienną kostką, i kopnął w poukładane rzeczy.

– A tyś kto? – zapytał nie otwierając oczu.

Z bliska okazało się, że są wśród nich trzy kobiety i trzech mężczyzn. Trzymali się parami za ręce.

– Nieważne kim jestem. Wiem, kim na pewno nie jestem. Nie jestem waszą śmiercią. Jestem zwyczajnie tutejszy – odpowiedział Głos po niemiecku.

– To masz szczęście, nie masz z nami niczego wspólnego. Odejdź i pozwól nam odejść.

Drżeli przecież nie tylko ze strachu. Doświadczyli też zimna – nawet tego syberyjskiego albo śmiertelnego z nocnych koszmarów. Przyszli tutaj z nadzieją, że woda pochłonie ich niewiadome życie. Dogadali się, że wejdą do stawu, wreszcie po swoją śmierć, choćby z tego powodu, że samobójczą, bo tyle razy ich zabijano, w tylu językach kazano im wznosić ręce do góry, tyle razy wystawiali swoje rzeczy na noc przed celą, że się przyzwyczaili. Żyli. A teraz nie chcą mieć tutaj grobów, bo to by znaczyło, że pogodzili się ze światem i wszystko jedno gdzie żyli. Nikt ich przecież nie zapytał: Gdzie chcecie żyć? To na końcu zrozumieli, jak i gdzie chcą umrzeć. Woda, wypływająca stąd jakimś strumieniem, choćby Maugscht albo Kupatką, rozniesie martwe ciała po świecie, będą mieli groby wszędzie albo nigdzie. Nic ich tutaj nie zatrzyma. Żadna pamięć, żaden głos, nawet ten, po niemiecku, który po jednym słowie zrozumieli, chociaż naprawdę nietutejsi.



Rys. Maria Bordewicz

– Tutejsi, nietutejsi – przedrzeźniał ich myśli Głos, – zrobicie, co musicie. Ale co was tak zabolalo, że doszłście aż tutaj, gdzie nie ma ani początku, ani końca? – dodał.

Milczeli. Ale nie z natury rzeczy. Albo nie rozumieli, albo nie potrafili inaczej, albo wszystko im się pomieszało: pamięć, języki, rozum – tak, że wyszło z tego ich tutejsze nic. Bez potrzeby zakopywania w ziemi. Chyba że nauczą się żyć z duchami, umierać bez tamtej, chociaż własnej, pamięci.

– Najpierw ty – wypchnął pierwszego Głos.

Krępy mężczyzna wyglądał więc na przywódcę. Być może to on wpadł na pomysł i przekonywał pozostałych do samobójstwa w Hammermühle, a może w Warcinie, może Businku, prawdopodobne były też Kępice – najprawdopodobniejsze na świecie.

– Macie mało czasu, mówcie o tym, co najważniejsze – rozkazał Głos, żeby wszyscy po kolei usłyszeli siebie nawzajem. Tak, jak trzymali się za ręce – rodzinami.

– Sam nie wiem skąd się wziąłem. Jestem Wojciech Czerniawski, piekarz – zaczął ten krępy. – Stamtąd pamiętam niskie góry i zapach gnoju. Aż do teraz czuję swąd spalanego węgla w lokomotywie wlokącej się na zachód. Najbardziej ten zapach. Żona przyplątała się stąd, była już. Mówiła, że przyjechała z niedaleka, z dawnego pogranicza. Uciekała od Niemców rowerem. Holenderską damką, której nie udało się zarekwirować Kałmukom. Sama im się oddała. Przynajmniej nie

zgwałcili. Na szczęście była jałowa.. Urodziła się w Babimoście. Przez trzydzieści kilka lat była za autochtonkę. Tutaj, to tak jakby była Niemką. Nawet miała takie swoje „r”. Nigdy nie gotowała ziemniaków, zawsze te cholerne kartofle i kartofle albo kartofel salat. Ten ruski, to był jej pierwszy raz. Wyszło potem, jak już była ze mną. W ciążę nie zaszła, bo zająć nie mogła. To się wspólnie rozglądaliśmy tutaj za jakimś dzieckiem. Nie od razu była dziewczynką. To, co się poruszyło w piwnicy, wciśnięte pomiędzy klinkierową ścianę, a schowek pod piecem chlebowym, wydawało się bardziej małpą, niż przepisową, tutejszą Gretchen. Okazało się zwyczajnym dzieckiem. Nadało się. Myśleliśmy, że niemowa. Nawet lepiej, że niemowa. Najpierw zobaczyliśmy, że się przeżegnała. Jak spojrzała w lustro, kiedy ją porządnie umyliśmy. Przeżegnała się i westchnęła. Niestety, odezwała się. Gdy wyjąłem pierwszy chleb z pieca, popatrzyła, wciągnęła powietrze i powiedziała: Mein Gott. Pomyślałem, że teraz dopiero się zacznie. Nic się nie zaczęło. Powiedzieliśmy, że to nasza córka. I już. Teraz nikt o tym nie wie. Nikt nie pyta. Tylko my. Aleksandra też nie wie. I nic nie pamięta. Czasami coś się jej wydaje, ale nam wszystkim tutaj coś się wydaje, jakby sprzed jakiegoś przemijania. Jeszcze teraz, moja żona, Maria, sztywnieje ze strachu, na myśl, że któregoś dnia Aleksandra obudzi się w środku nocy i zacznie mówić po niemiecku – urwał, co wyraźnie znaczyło, że skończył.

– Teraz ty – Głos szturchnął najstarszego, tego dystyngowanie wyprężonego. Wyglądał na najbardziej rozgar-

niętego, można by pomyśleć, że prezesował jakimś związkowi pamięci.

– Teraz nazywam się Józef Chokicz. Zegarmistrz – mówił z zamkniętymi oczami, jakby za chwilę miał rzeczywiście umrzeć. – Miałem już gotowego syna. Przywiozłem go z żoną. Skądinąd. Teraz już nikogo to nie obchodzi. Nawet ona, to znaczy żona, Katarzyna, jest na to obojętna. Tym bardziej syn, Zbigniew. Też urodził się tam. Gdzieś. Ale go to nie wzrusza. Słucha tego, jakbym opowiadał o Indianach. Od pierwszego dnia wędrował po tutejszych lasach, poznał całą tę ziemię, aż natknął się na niemieckie fortyfikacje. Kopał w ziemi. Szukał śladów. Co wykopał, chował. Bał się, że to, co wykopał może się komuś nie spodobać. A miał takie marzenie, żeby wykopać niemiecką raportówkę. Właśnie, jedyny mówił „niemiecką”. Nie tak, jak wszyscy, na wszystko, że „poniemieckie”. Rysował plany potyczek wojennych i wychodziło mu, że za tym albo za tamtym wzgórzem musiało stać działo. Albo jakiś moździerz. A skoro tak, to obok musiał stać bombardier, a jak stał bombardier, to wiadomo. Aż do raportówki. Tak mu zostało na zawsze. Do dziś. Szuka w życiu i na świecie tej raportówki. Nic go poza tym nie obchodzi – zamilkł. Mogło się wydawać, że na zawsze, że nikt już po nim nic nie powie.

Została ostanía para. Mężczyzna – mały, łysawy grubasek – nie wrywał się do opowieści. Odwracał głowę na bok, jakby zerkał spode łba na swoją kobietę. Oboje mieli przecież zamknięte oczy, jeśli cokolwiek widzieli, to była to zardzewiała wiedza, coś, co przyzwyczaili sobie od drugiego początku. Staruszka tylko pokiwała głową. Zaczęła, nie wrywając jednak dłoni z uścisku męża.

– To było zwyczajnie, pociąg nie jechał dalej. I tak wszystko było na jedno, wszędzie koniec świata. Ani lepsze, ani gorsze. Gdziekolwiek. Wyszło i gorzej, i głupiej. Przyklejali do ludzi żołdaków, niby na kwaterę. Tak z nami. Jak kwatrowali ruskie, srali za piec w kuchni, jak u siebie. Żarli ziemniaki, jak monstrancję. Cali w liszajach. Opluskwieni. To mówili, że ta Polka, chazajka, brudna, bo robaczki u niej chodzą, jak koty. Wystarczyły ziemniaki, piec i podłoga. A dalej okazało się, że to wszystko nieprawda. Że gieroje. Nam zdawało się. Właśnie. Gadaliby tacy: Niech Lipcowa, Zofia, i jej mąż Zygmunt, krawiec, zapamiętają raz na zawsze, że coś naprawdę może się zdawać. Przyjdzie znowu jakaś zmiana, i odwrotnie. Pluskwy wrócą na swoje miejsce. Nam nic nie zostało, tylko te jedne nożyce, jego, już znaczy męża, co my je wieźli stamtąd i trzymamy jak palec świętego Wojciecha, na dowód żeśmy skądś, bo jest na tych nożycach jedyny napis na egzamin czeladniczy mojego, że złożył go porządnie, po ludzku w samym Cechu w Samborze. Nic mi więcej gadać. Tyle że potem się normalnie dzieci rodziły bez mówienia i myślenia, co było i co ma być – skończyła, bo zaraz jak przełknęła ślinę uniosła głowę do góry, jakby chciała otworzyć oczy i spojrzeć hen, przed siebie, aż po pierwotne Warcino Zitzewitzów, a skoro tak, to Varzin.

– To wszystko? – udał zdziwienie Głos. – No to popatrzcie sobie tam, właśnie, przed siebie. No! Już!

Nawet nie drgnęli. Jak mieli patrzeć przed siebie? Nie widzieli niczego przed sobą, żadnej krawędzi, ani żadnej granicy. Teraz, tutaj, to było już wszędzie. Jeśli się łudzili, to dawno o tym zapomnieli. Głos ponaglał ich językiem zapoznanej marszruty. Odwykli. Nie bali się przecież żadnego porządku. A jednak najstarszy z nich, zegarmistrz Józef Chokicz, uniół głowę jeszcze wyżej niż ją zwykle nosił wysoko, nie otwierając ciągle oczu, jakby rozszerzył źrenice w nagłym olśnieniu.

– Nie mogłem przecież tego zobaczyć, co jedni domyślali, a drudzy zapominali – westchnął.

Pozostali odczekali chwilę i już wydawało się, że wszyscy zobaczyli to samo: kamienice na tej przeklętej ulicy w Kępicach. Przez lata mijali tyle razy fasady przy Niepodległości, że już przestały ich drażnić szachulce, zresztą lepiej, bo źle, brzmiało im, że pruskie. To zawsze była granica, wyznaczona zapachem spalanego w lokomotywie węgla. Teraz jedna ze ścian przenicowana była powietrzem albo zwyczajnie przezroczysta. W największym pokoju siedział Hans Kluger. Oni takiego go nie znali. Ten stary, który się nie odzywał, to Henryk Grocholski, Ale to był na pewno on, ten sam, trochę jakby młodszy, albo oni już gorzej widzieli, i w mundurze policjanta. Przy oknie stała kobieta.

– Piszą! Mówiłem ci, że napiszą! – pokrzykiwał Hans.

– Skoro piszą, to czytaj wreszcie – burknęła niezbyt zainteresowana kobieta.

Hans rozłożył gazetę, trzępiąc obiema rękami wyprostował szpaltę, chrząknął, sprawdzając, czy żona patrzy w jego stronę, zaczął czytać, jakby meldował o groźnym napadzie bandyckim:

„W piątek posterunkowy Hans Kluger zażądał od żony dwóch świeżo wykrochmalonych koszul i zapowiedział, że przez najbliższy weekend będzie nieuchwytny. 16 i 17 stycznia 1937 roku zamierza służbowo spędzić na Dniach Policji. Impreza jest organizowana w całych Niemczech. Panią Kluger nie dziwi zachowanie męża. Od kilku dni na równe nogi postawiona jest cała policja w okolicy. O obchodach informują w osadzie plakaty. Można kupić ołowianych policjantów. Przez weekend Kluger rozdaje ulotki z satyrycznymi rysunkami o policji. Ale największe atrakcje policjanci przygotowali na niedzielę. O godzinie 12.30 na posterunku zbierają się najuboższe dzieci z Hammermühle. Po krótkiej przemowie razem ze stróżami porządku w rytm orkiestry odmaszerowują na miejsce zbiórki. Stamtąd odjeżdżają do rezydencji grafa Wilhelma von Bismarcka na dobroczynny obiad. W karcie dań są kluski z wołowiną i kawa z cukrem”.

Piekarzowa Maria Czerniawska przyglądała się Klugerowi. Widziała to samo, co jej milczący mąż. Te same, fiołkowe oczy w kształcie migdałów i ten charakterystyczny kształt brwi – w twarzy Hansa majaczyła straszna prawda o ich córce Aleksandrze. Dziwnie nie przerażało ich to

przecucie, przecież czekali na to, obawiali się tego, chociaż ani jednym słowem, westchnieniem, nie dali przez te wszystkie lata znaku, że to ich jedyna zgryzota w życiu, od kiedy Aleksandra przeżegnała się przed lustrem.

– Tak – szepnął Grocholski. – Nie mylicie się, to moja córka – urwał.

Wydawało się, że już nie ma nic do ukrycia ani dodania. Ale Czerniawskim nie było wszystko jedno, chociaż za chwilę mieli rozplątać się w niepamięci. Widział to Grocholski. I na coś czekał.

– Jak to, córka? – jęknęła Czerniawska.

– Żona zginęła jeszcze, zanim podjąłem decyzję. Uciekała do rodziny w Dreźnie. Miałem z Elke, waszą Aleksandrą, dołączyć, jak się uspokoi. Nie uspokoiło się nigdy. Postanowiłem zostać, żeby ona była na swoim, za wszelką cenę. Ale nie za cenę przekleństwa, które nosiłaby zawsze jako córka tego Niemca z Niepodległości, co pewnie miał coś na sumieniu, przecież stąd. Długo myślałem gdzie ją zostawić, żeby ocalała. Jakie wybrać miejsce, co zawsze będzie żywe. Cmentarze można uśmiercić na parki, fabryki unicestwić razem z maszynami, kościoły pozamykać na swoje. Co może zostać raz na zawsze takie samo, zawsze stąd? Myślałem długo. Czas robił swoje. Pomagali mu Ruscy, wasi i wszyscy na całym świecie. Żalu nie miałem. No bo, jak mogłem mieć żal, że was tu przygnali? Pomyślałem, że takim pierwotnym miejscem będzie piekarnia. Chleb to chleb – wszędzie i zawsze, od początku świata. Resztę już wiecie. A Aleksandra jest po prostu z Kępic. Jak ja i cała moja reszta, przede mną – skończył, uśmiechając się Grocholski.

Czerniawscy milczeli. Piekarz nie myślał o córce, i tak poszła w świat, i tak rychło zmienił nazwisko. Nieważne, czy Czerniawska, Kluger, czy Grocholska, a i może nawet skończy w tym Dreźnie, bo teraz wszystko jest możliwe bez żadnej wojny przecież. A jeśli idzie o chleb, to racja. Do samej emerytury wypiekał go w piecu z napisem na froncie „Made in Germany” – o tym myślał przede wszystkim piekarz Czerniawski.

– To codziennie Grocholski tutaj gęby nie otwierał, żeby tylko w tym samym domu, co zawsze? – jednak przerwał kłopotliwe, jakby niemieckie milczenie. – Nie lepiej było do tego Drezna? Z własną córką? – dodał z wyrzutem, ale zaraz zamilkł, zagłuszając tłący zapach spalanego w lokomotywie jadącej na zachód węgla. Gdyby zostali, musieliby własne dzieci zostawiać po piwnicach na ocalenie? Taka cena, żeby łączyć po tej samej łące co ich ojcowie? Którą już ledwie pamiętają? Może to właśnie jest kara, że ją ledwie pamiętają? A powinni? – znowu zamyslił się Czerniawski.

– Nie dziwcie się. Co tam ja, zwykły policmajster. Sam kanclerz Otto swój ród tutaj, na odludzie przeniósł, i to z Schönausen, aż spod samego Magdeburga.

– Bo ja wiem... – zdziwił się głośno bez pozwolenia żony, milczący dotychczas krawiec Zygmunt Lipiec. Urwał, na widok mającej pod zamkniętymi powie-

kami łąki spod Samboru, która zakryła właśnie w tej chwili rozlewisko przy siłowni wodnej Hammermühle.

– To po to tutaj zostałeś Kluger, żeby nas upokorzyć? Żeby nas zniszczyć? Żeby nam udowodnić, kim naprawdę nie jesteśmy? – dodał zegarmistrz Chokicz.

– Nie, to nie tak! Nie od razu było jak w pamięci. Przecież najpierw ta Joanna, von, niby kanclerska żona, to nawet mówiła, że pałac jest trochę szkaradny, że zniszczonymi wstrętnymi pokojami... – kręcił Grocholski.

– On chce wam powiedzieć, że nie chce, nie musi nigdzie wracać, że jest jednym z was – wyjaśnił Głos.

Zamilkli. Milczeli jakoś dziwnie bezmyślnie. Może nie rozumieli, może nie potrafili od razu, w jednej chwili zobaczyć w przezroczystym Klugerze milczącego do tej pory po polsku Grocholskiego.

– Nic z tego, na to trzeba żeby i nasze dzieci i jego córka rozpląnęły się w nieswoim świecie – zareagował już rozmyślnie zegarmistrz Józef Chokicz.

– Dajcie mu szansę. Niech już nie musi chować ani zmieniać niczego. Ani on, ani wy, nikt z was tego wszystkiego przecież nie wymyślił – targował się Głos.

– A tyś kto do cholery, że jak duch chcesz nas nawiedzić. Znamy takie gadanie i w niczym nam ono nie pomaga, i nieprawda, że ani my, ani on, to przecież on, a nie my, porzucił własną córkę i on jest teraz Grocholski – zaprotestował, zachęcony ripostą zegarmistrza, Czerniawski, ale znowu ugryzł się w język, bo miał w pierwszym dowodzie ruską nazwę rodzinnej wsi.

– Posłuchajcie mnie. I tak zrobicie, co musicie – powtórzył po Głosie Grocholski. Wydawało się, że przypomnienie celu ich wędrówki przekonało całą, nagą szóstkę drżących starców.

– Posłuchajmy go – szepnął zegarmistrz Chokicz, spoglądając głęboko w przywódccze oczy piekarza Czerniawskiego.

– Mów – przyzwoliła za męża Lipcowa.

– Panie Chokicz, do pana mam pytanie, bo nie wiem, proszę mi wybaczyć, po co pana syn, zdaje się Zbigniew, chciał odnaleźć raportówkę, koniecznie niemiecką?

– Tak, rozumiem. Właśnie – niemiecką. Mogę tylko się domyślać, za niego. On chciał być może w ten sposób pokonać... – chrząknął zakłopotany zegarmistrz, popatrzył na Grocholskiego i z uśmiechem dodał – wroga. No, rozumie pan, taki skalp, trofeum, nic szczególnego... – skończył, rozkładając ręce.

– A co się będziesz tłumaczył, to jakiś grzech? Każdy powinien im dokopać, po sprawiedliwości – oburzył się Czerniawski.

– Zupełnie nie o to mi chodzi, mam po prostu w związku z tym propozycję, znaczy jeśli chodzi o to, hm – zaważał się Kluger, – trofeum. Nie wiem tylko, czy moja propozycja wystarczy. Ta gazeta, w której pisali o mnie, o mojej nieboszczce żonie, to naprawdę, proszę mi wierzyć, jedyna, najważniejsza rzecz naprawdę stąd, na-

prawdę o mnie. To więcej niż metryka, jedyny dowód, że nie tylko się urodziłem, ale żyłem, coś tam robiłem, z mojego punktu widzenia... dobrego. Jestem gotów oddać ten kawałek gazety, pan, panie Chokicz jakoś to podrzuci synowi, niech sobie to... wykopie, nie wiem, jakoś to trzeba będzie zrobić. Jak pan myśli?

– No... – zamyślił się zegarmistrz. – Nie wiem tylko, czy Zbigniew chce jeszcze coś w tym sensie wygrywać...

– Rozumiem, ale może to załatwi nasze sprawy.

– My nie mamy z panem żadnych spraw – wtrącił Czerniawski.

– Zgadzam się na pańską propozycję, panie Grocholski – kiwnął przytakująco Józef Chokicz, lekceważąc wątpliwości piekarza.

– Dziękuję. Ale, jeśli wolno, mam jeden warunek: ja się pozbędę swojej gazety, a pan... – spojrzał na krawca, ten burknął pod nosem: „Lipiec”, – właśnie, przepraszam, pan Lipiec pozbędzie się swoich nożyc. To za dużo? – zapytał Grocholski, nie spuszczać wzroku z Zygmunta Lipca.

Ten nabrał powietrza, poczerwieniał, wydawało się, że zaraz zacznie krzyczeć. Zauważyła to trzymająca go ciągle za rękę żona.

– Mąż się zgadza. Wystarczy, że ja rozumiem – powiedziała, wysuwając rękę z dłoni męża.

Odeszła do rzeczy porzucanych nad rozlewiskiem, niektóre pływały po wodzie, niektóre leżały bezwładnie na łące. Raz tak, raz siak. Pogrzebała w kurtce męża, spod której wykluwała się już świeża trawa, wyciągnęła nożyce i wróciła do pozostałych.

Kluger wyciągnął z lewej, wewnętrznej kieszeni marynarki złożony starannie, bodaj na czworo, jak ważny papier urzędowy, poźółkły, sztywny kawałek gazety.

Piekarz Czerniawski chodził tam i z powrotem, kiwał przecząco głową, podskakiwał, wymachiwał rękoma. Podeszedł do niego Chokicz, odeszli na stronę, zegarmistrz długo szeptał piekarzowi coś do ucha. Wojciech Czerniawski wyraźnie tężał, przestawał podskakiwać, wymachiwać rękoma, kiwać głową – w końcu dostał od tutejszego losu najwięcej, ale też najwięcej miał do stracenia. Na koniec mocno, zdecydowanie, jak przystało na przywódcę, kiwnął przytakująco głową i razem z najstarszym Chokiczem wrócili do pozostałych.

– To jest koniec – powiedział piekarz, jakby rozpoczynał najważniejsze, bo ostatnie przemówienie w życiu. – Żadne z naszych dzieci nie zostało tutaj, będą wozić znowu, jak my, jakieś wspomnienie, baśń jakąś po świecie. A gdzie początek? Sami

wiecie: Kluger, Hammermühle, kanclerz pod nosem, w Warcinie. Dalej do początku? Aż boli od spamiętywania. Dość. Dość tej krzątaniny. Wystarczy. Dawaj Zygmunt te nożyce, ciskaj je do wody albo zakopuj pod jakąś kępą na łące. Bierz Józek tę gazetę, niech już dzieciak znajdzie wreszcie, co chciał znaleźć. A ty Grocholski czy jak ci tam, ściągaj mundur, całe ubranie ściągaj, do golasa, i chodź tutaj. I nie gadaj już, jak gadać przestałeś swojego czasu. No! – skończył, spojrzał na Chokicza, ten zmrużył tylko oczy, reszta zrobiła, jak chciał i powiedział Czerniawski.

Stanęli nad brzegiem stawu, na miedzy oddzielającej łąkę od reszty świata. Postali właściwą chwilę i bez żadnego ceremoniału rozpoczęli wędrówkę. Szli. Szli coraz dłużej. Jakby przez całe życie. Omijali bite, brukowane ulice, żeby nikt nie pomyślał, że idą, jak co niedzielę do kościoła na mszę. Nic nie mąciło spokoju. Ciszę przerwał Głos, ale słyszeli go tylko oni:

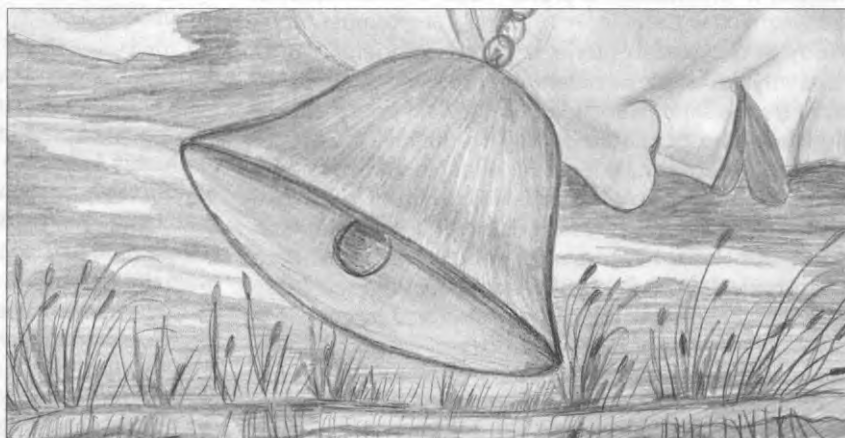
– Zostańcie tutaj. Tutaj – powtórzył, chociaż brzmiało to jak echo. – Wróć po was. Nie ja, to inny, wasz Głos. Głos – powtórzył jeszcze kilka razy.

Zrozumieli, bo po kolei przytaknęli, jakby meldowali obecność na apelu. Wchodzili tak samo po kolei do wody, najpierw zegarmistrz Józef Chokicz z żoną Katarzyną, po nich krawiec Zygmunt Lipiec z żoną Zofią, aż do piekarza Wojciecha Czerniawskiego z żoną Marią. Milczeli zgodnie, każdy w swoim języku.

Kiedy pod taflą wody, albo murawą łąki zniknęli ostatni z nich, być może był to Hans Kluger, w kościele rozległo się bicie dzwonów. Nieważne w jakim, nieważne gdzie, oni i tak już niczego nie słyszeli. O nich też już nikt nigdy nic nie usłyszał, jakby ich tutaj nigdy nie było.

Duchy, oswojone ze sobą, z którymi nauczyli się żyć, pięknie znikać. Odchodzić. Umierać. (-)

Opowiadanie otrzymało pierwszą nagrodę w kategorii polskiej tegorocznego Ogólnopolskiego Konkursu im. Jana Drzeżdżona w Wejherowie.



Rys. Maria Bordewicz

Poetycka zapowiedź Remusa

Stanisław Janke

Aleksander Majkowski znany jest przede wszystkim jako twórca ruchu młodokaszubskiego, redaktor pisma artystyczno-literackiego „Gryf”, autor powieści-arcydzieła „Żęcé i przigòdë Remùsa”. Jego twórczość poetycka pozostaje w cieniu napisanych przezeń prac prozatorskich i publicystycznych, działalności ideowej i organizacyjnej w ruchu kaszubskim. Warto jednak pamiętać, że autor „Remùsa” jako literat zadebiutował w 1899 roku, w wieku 23 lat, poematem – epopeją humorystyczną „Jak w Kòscérznie kòscelnygo òbrele abò Piąc kawalerów a jedna jedynò brutka”, a w 1905 roku ogłosił w Poznaniu pierwszy i jedyny tomik poezji „Spiewë i frantówczy”.

Debiutancki poemat „Jak w Kòscérznie...” pozostaje dotychczas jednym z najmniej poznanych dzieł Majkowskiego. Liczącej 79 stron książeczki, opublikowanej nakładem Bernarda Milskiego, wydawcy „Gazety Gdańskiej”, nie ma w najważniejszych bibliotekach polskich, także w Bibliotece Narodowej w Warszawie i Bibliotece Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie. Dwa egzemplarze epopei, w tym niekompletny, znajdują się w zbiorach Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

Jakie były okoliczności narodzin poematu? Jan Karowski twierdził, że utwór powstał w latach 1895-1897, po zdaniu przez Majkowskiego matury w gimnazjum w Chojnicach, a przed rozpoczęciem studiów medycznych w Berlinie. Przyszły autor „Remùsa” miał wtedy przebywać u stryja w Lamku niedaleko Brus i utrzymywać się z udzielania korepetycji. Z kolei Andrzej Bukowski dowodził, że Majkowski poetą zaczął się stawać na początku okresu studenckiego, po poznaniu Bernarda Milskiego. To właśnie za pośrednictwem wydawcy „Gazety Gdańskiej” dostał w 1898 roku zaproszenie na uroczystość odsłonięcia pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie. W ogłoszonym w „Tece Pomorskiej” (nr 5-6, 1938) tekście „Wspomnienia moje” Majkowski tak oto przywołał to wydarzenie: „I ta chwila, kiedy padła zasłona z postaci wieszczki narodowego z ręką na sercu, jakby chciał powiedzieć: kocham za miliony, a ja stałem u jego stóp z wielkimi reprezentantami społeczeństwa, wywarła na mnie niezatarte do dzisiaj wrażenie”.

Jak w Kòscérznie kòscelnygo òbrele

*abò
Pięc kawalerów a jedna jedynò brutka.*

W osem spiewach

napisał

ALEKSANDER MAJKOWSKI.

GDANSK.

Drukiem i nakładem B. Milskiego.

1899.

Tytułowa strona pierwszego wydania poematu Aleksandra Majkowskiego

Nie ulega wątpliwości, że epopeja „Jak w Kòscérznie...” nawiązuje do „Pana Tadeusza” Adama Mickiewicza zarówno w budowie wiersza, trzynastozgłoskowca (choć Majkowski nie jest w pełni konsekwentny w przestrzeganiu tej miary), jak i za sprawą inwokacji poprzedzającej osiem „spiewów” (pieśni) poematu. Apostrofę skierowaną przez wieszczkę do ojczystej Litwy, Majkowski zastąpił powitaniem rodzinnego miasta: „Witôj, Kòscérzno, matkò Kaszëb całëch! Nòmilszò mie z tëch wszëtczich miast kaszëbszczich matëch./ Òd swiata òdgradzonò, leżisz sobie w dole./ Jezora cã i lasë òpasują w kòle./ W ny chace pierszò żecò gòdzëna mie biëta./ Tam mie téż matka mójà pòczerza ùczëła...”. W dalszej części inwokacji poeta przywołuje znajomą sylwetkę wieży kościoła, wzbudzającą w młodości radość po każdym powrocie z ferii do domu, dzieciństwo przeżywane pośród swojskich kra-

jobrazów, łącznie z okoliczną doliną zwaną Kùlmańską. I właśnie tam – autor kończąc inwokację głosi przewrotnie – „mie róż kùlawò kùkówka/ Wëkùkała tą całą pòceszną frantówkã./ A jò to wszëtò spisòł, bësta i wa wiedzała./ Co mie tam w dolinie kùkówka kùkała”.

W słowie od wydawcy, zredagowanym prawdopodobnie przez samego Majkowskiego, znajduje się informacja, że epopeja „odzwierciedla narzecze kaszubskie z okolic Kościerzyny, skąd autor jej pochodzi”. Jak słusznie zauważa Ferdinand Neureiter w „Historii literatury kaszubskiej”: „W tym satyrycznym poemacie widać silny wpływ Derdowskiego nie tylko w formie, fabule i pisowni, lecz również w warstwie językowej”. Zgoła inny jednak jest typ humoru obu autorów. Derdowski swoją debiutancką epopeję „Ó Panu Czòrlńńszim co do Pùcka pò secë jachòł” (1880) oparł na komizmie sytuacyjnym, wyraźnie bawił się możliwościami płynącymi z rozbieszenia czytelników, był mistrzem tworzenia pogodnego nastroju. Majkowski natomiast miał wyraźną skłonność do moralizowania i karykaturalnego przedstawiania swoich postaci, wyśmiewał się z charakterystycznych dla Kaszubów wad, do jakich zaliczał piniactwo, zabobonność, pijaństwo i brak ogłady. Obarczył nimi, pomijając niejaki Zybcyha, głównych bohaterów swojego eposu: Pąpla, Aloszka, szlachcica Fon Szukaja i Jądroszka.

Fabula epickiego dzieła Majkowskiego jest dość prosta: W Kościerzynie w wielkopostny piątek umiera bardzo kochany przez parafian kościelny Remer, „Jagódką przewónny”. Po świętach wielkanocnych ksiądz proboszcz i dziesięcioosobowa rada parafialna, a wśród niej Drëfta i Żetowsczi, postanawiają wybrać nowego zakrystiana. Ustalają, że spośród pięciu kandydatów kościelnym zostanie ten, kto jako pierwszy ożeni się ze starą panną Martą, córką tuszkowskiego gospodarza. Pąpel, Aloszk, Fon i Jądroszk, wyruszają z Kościerzyny przez Lipusz do Tusków. Ich wyprawa, pełna absurdalnych przygód i zachowań, zwieńczona bijatyką w domu ojca poszukiwanej panny, kończy się niepowodzeniem. Ostatecznie Marta wychodzi za mąż za bliskiego jej sercu Zybcyha i to on zostaje następcą zacnego Jagódczi.

W tym pierwszym kaszubskim utworze Majkowskiego, w siódmej pieśni, pojawia się postać Remusa, wędrowca, sprzedawcy książek, dewocjonaliów i towarów jarmarcznych, którego autor po ponad dwudziestu latach uczynił głównym bohaterem swojej wielkiej powieści „Żęcë i przigòdë Remusa”. Wszystko wskazuje na to, że wcześniej wymienione postacie i sam Remus nie były bynajmniej osobami fikcyjnymi. Reportażysta Edmund Szczesiak, który skrupulatnie i wnikliwie szukał tropów bohatera powieści Majkowskiego, autor „Małej Odysei. Śladami Remusa”, bezspornie dowiódł, że pierwowzorem tej

postaci był Jakub Remus, żyjący w parafii lipuskiej na przełomie XIX i XX wieku. W młodzieńczym poemacie autor zarysował tę postać z cechami zewnętrznymi podobnymi do bohatera powieści; jednak zamiast charakterystycznej kary (taczki) wyposażył go w dwukołowy wózek (wózek), którym mógł podwieźć zmęczonych drogą bohaterów eposu.

Przestrzeń geograficzna w tym poemacie odpowiada obszarowi dzisiejszej ziemi kościerskiej. Poza samą Kościerzyną i okolicznymi miejscowościami szczególnie wiele miejsca w eposie zajmują Tuskowy, których mieszkańcy w tradycji kaszubskiej utożsamiani są z głupotą, naiwnością i prostackimi zachowaniami. Majkowski przywołał najbardziej znane gadki o tuszkowianach, a spotkanie wędrowców z Remusem umieścił przy grobie mitycznej Tuszkowskiej Matki – sosny o wysokości 30 metrów i ponad 3-metrowym obwodzie, liczącej obecnie około 200 lat. Tuszkowanie i Tuszkowska Matka są obecni także w twórczości innych pisarzy kaszubskich – Hieronima Derdowskiego, Jana Karnowskiego, Franciszka Sędzickiego.

Według Władysława Pniewskiego, który pod koniec lat dwudziestych rozmawiał z najstarszymi kościerzakami, główni bohaterowie poematu odzwierciedlają rzeczywistych mieszkańców miasta, jednak sportretowanych przez autora bardzo jednostronnie i nazbyt karykaturalnie. Ks. Gustaw Pobłocki recenzując pozytywnie poemat na łamach „Gazety Gdańskiej”, zachwycając się humorystycznym talentem Majkowskiego, wytknął jednak młodemu autorowi, że osoby występujące w jego eposie, „niemal wszystkie, są i duchowo i cieleśnie upośledzone, przy czym nad wyraz prostackie i nieokrzesane, stąd też ich słowa i żarty często karczemne, a postęпки surowe i grube...”.

Dwadzieścia pięć lat po ukazaniu się „Jak w Kòscérznie..” ks. Wacław Wojciechowski i kaszubski bard Wincenty Rogala z Wiela opracowali sceniczną wersję poematu. Farsa ta, wystawiana przez amatorskie zespoły teatralne na Kaszubach południowych, cieszyła się wśród widzów dużym powodzeniem. Adaptacja nie podobała się jednak samemu Majkowskiemu, który u schyłku życia (1936) dokonał własnej dramatyzacji utworu, nadając trzyaktowej sztuce tytuł „Strachë i zrăkówinë”. Tekst sztuki z rękopisu wydało po raz pierwszy Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie w Gdańsku w 1976 roku jako tom V dzieł zebranych Aleksandra Majkowskiego.

Andrzej Bukowski w „Regionalizmie kaszubskim” uznał, że niewielka pierwsza książka Majkowskiego „zwiastowała pojawienie się na horyzoncie kaszubskim nowego talentu i która, jak się okazało później, otwierała równocześnie nowy okres regionalizmu kaszubskiego”. Warto więc poznać chociażby siódmą pieśń tego poematu, jako poetycką zapowiedź wielkiej prozy – „Żęcò i przigòd Remusa”. (-)

Jak w Kòscérznie kòscelnégò òbrelë abò Piãc kawalerów a jedna jedinô brutka

Aleksander Majkowski

Sódmô spiewa

Jak to nym kawaleróm dali szło, jak sã Remùs ze swòją kòbiętą rozparcelowół.

Tam pód płotem jeden na drédzim lezelë
Ny troje i z wërwasu so òdpòcziwelë.
Pąplowi ùcechła ju dècht czësto gąba,
A Fon szukół w gąbie òstatnégò ząba.
Aloszk mòcko żalówół, że òpùscył miasto
I z wąpsa zeszkrobiwół sobie gąstë casto.
Miesąc wëszedł całi ju na mòdrim niebie,
A gwiónzdë mrugałë wesoło na siebie,
Jakbë z kawalerów strojiłë so żartë.
Jich trost bët, że przënòmni nicht nie dostół Martë.
Na nieszczescy jich baba przechòdząc ùdzrzała.
I chùtuszko wies całą do siebie zwòłała.
Jak czej gùła na pòlu ùdzrzy szkło swięcącë
I wszëscy glosno; na to przelotą wrzeszczącë
Kmòszczy i sã dzewùją i jã òbstapiają
I karczi wëcągając, pësczi rozdzerają,
Tak sã kòło nëch troje zbierelë tuszkòwsczë
Lédze, co kòbiëtë zwòłałë kòmòszczy.
A że sã z niebòròków srodze pòdkòrbielë,
Ti pòwstelë i dali w drogã sã zabrelë.
Lédze sã rozchòdząc, mielë taczë gòdczi:
To je zle, tëlë chłopa do nie jedny brutczy.
Jak jich ju widzała tuszkòwiòków rota,
Widzół Fon, że feluje mù jednégò bóta.
Zaklął i pòdniół piãscë: Ma cã dostaniema,
Ploto Szëmku, tã zdrójco, ma cã zaskarzëma!"
I Pąpel sã zgròżół, le Szadi bët cëchò,
Bò wiedzół, że dlò negò to jim szło tak lëchò.
A chòc òn i Szukey ù Szëmka sã bilë,
Terò sã w nieszczescu jak braca zgòdzëlë.
„Zaplacysz tã mie, Ploto, jeszcze mòje bótë!" –
„A tã, Szkarpeto diòchli, mòje sënë gnòtë;
Òbòczisz tã, co znaczy zadzerac sã z miastem!" –
„Jò mój wãps nié na darmò òsmòlëtem castem",
Mëslół Szadi so wreszce, drudzy klnãlë glosno,
A las, do chtërnégò przëszlë, wtórowół żalosno.
Szlë tą samą drogã, na chtërny przed Fonem
Ùceklë, jakbë przed Smãtkem z ògónem.
Wleklë sã terò prawie, jak czej mùchë w smòle,
Tak bëlë pòtłukli. A wtim patrzã: Kòle

Grobù Tuszkòwsczi Matczy jakbë cos leżało,
A to jakbë nodzi i tãż głowã miało.
Trzema terò na głowie włosë sã zjeżëlë,
Ale że bëlë troje, to sã nie bójelë.
Patrzã: - Leżi człowiek w trówã wëkùlniati
I chrapì jak zòga, w marłel òwiniati.
Przë nim stojół wózyk z dwóma le kòłami,
Òbladówóny całi różnymi pùdłami.
Jak Pąpel widzół, że żëwi, to ju nie bez przëmùs
Marłel òdwinął chiżë i wrzeszczół: „To Remùs!"
Remùs to bët pò pròwdze, co to z kòrunkami,
Ksążkami, jigłami i ze szkaplerzami
Jeżdżół na dècht wszëtczë na Kaszubach tòrdzi,
Jachtë, dni tòrgówë i wszëtczë jarmòrczi.
Jegò w kòscérsczim krësu kòzdë dzeckò znaje,
Bò pòcëszny sã jegò dzywnë òbëczaje.
Jak czuł swòje przëzwëskò, òprzestół ju chrapac,
Tarł so palcami òczë i jął mòckò sapac.
Tej rozpatrzël sã dobrze: „Co wa, lédze, chcelë,
Żesta mie tu ze spikù w nocë òderwelë?"
„Remùsu!" rzecze Pąpel, „nie znajesz tã naju?
Ma nie sąsma zbójce, ma sã z tegò kraju.
Tec ma cã w Kòscérznie ju nieròz widzała,
I na pierszë spòrzenië cebie tu pòznała!" –
„Ja", rzekł Remùs, „Pąplu, cebie jò bë znòłem,
A ù Szadégò jò ju róz przenocowòłem.
Ale tegò jò nie znóm. Tak dècht chòdzy Sznobel,
Żid w Gduńsku, co wëglądò, jak czej kasy wròbel."
Fon na to przëskòczël i wrzeszczół: „Remùsu!
Jesz le róz tak pòwiédz, to jò cã do mùsu
Zbijã, jak lëchi jãczmiń, przëgrzeszony gòchù!"
„A wëbòczce", zawòłół na to Remùs, „Rochù!
Tec jò ù waju ojca za knòpa służòłem,
A z òcemka waju łoczù nie pòznòłem.
Te bëm pòznół. Sã małë, jak ùchò sztepówczy.
A w kòzdym je plac czòrny, jak zòrno makówczy.
Tec wë ju za knòpa taczë òczë mielë,
I lédzë Emelczërem za to wòs nazwelë!"
Jak Fon ùczuł z Remùsa gąbë swòje wadë,
Nie wiedzół so, - bò nie chòł Remùsa bic, - radë.
Òdsapnął i wëtrëczczël òczë dècht szerokò. –
W niebò patrzëło jedno, w czësiń drédzë òkò. –
Remùs widzół dobrze, że gdzes w klëszczë bëlë
Ny troje, bò łachë srodze pòszargónë mielë,
Ale nick nie mówil. Wtim mù Pąpel rzecze:
Terò tã naju z biédë wëprowadz, człowiecze!
Wejle, tã so za karã terò wózyk sprawil,

Tê bës, jô wiém, nôs w biédze, brace, nie ôstawił.
 Ma sã le tak wlecze, a dalek do miasta,
 Zawies naju na wôzu twójim dodóm, - basta!"
 Remùs sã pòmału pòdniósł. „Ala biédze!
 Waju troje zawiesc? Co wa chciała lédze?
 Skąd wa jidzeta? Wa sã wierã w drodze biła,
 A rota wãdrów waju gdzie wëczubaszëta?"
 Aloszk wszëtkò pòwiedzec jemù sã wstidzòł,
 A chòc Papel mu cziwòł, òn tegò nie widzòł.
 „Jidzema z Tuszków. Ma sã w drodze téż nie biła,
 A rota wãdrów naju nie wëczubaszëta.
 Ma bëła ù brutczy, ù Szëmkówi Martë,
 Ale przëskòdzëlë nama tam złé czartë.
 Martë nìcht nie dostòł, nôs przë tim wëbilë,
 I za dwiërze razem tej wëpòrajilë.
 Ma sã dotąd wlekła, jak czej mùchë w smòle,
 A mie ju w nogach, w głowie i tu w piersach kòle.
 Të naju, Remùs, zawies". - „Ej co matka pòwié!" -
 „Ale bądź cëchò, Remùs, co sã nìcht nie dowié!"
 Prosył Papel z Fonem, i w trówie lezëlë,
 Bò sã ju na nogach dłuży nie trzimelë.
 Chòc Remùsowi zdzebkò klapczy felowało,
 - Tak przënomni wiele lédzy pòwiòdało -
 To òn, gdzie le gò prosył, pòmògł colemało.
 Ròż ùbòdzëmù chłopù pòdarowòł czòpkã,
 A jedny babie w Tuszkach dëcht nowùszkã gròpkã,
 Co jã prawie w Kòscérznie kùpił na jarmarkù,
 Chòc òn w biédze sedzòł sòm dëcht jaż do karkù.
 Nosyl sëkniã z foliszu z piãtnòsce dzurami,
 Bùksë z miecha, òkrëtë skòrznów chòlewami.
 Jedna chòlewa bëła sztiwnò, prostò, długò;
 Krótkò, pòdzurawionò bëła za to drugò.
 Twòrz bëła bez brodë, ale jak na rzëskù,
 Rosła wszãdze szczec krótkò, a to bez ùcëskù,
 Bò Remùs sã gòlël. Ròż w żëcu gòlony
 Bël òd Miemców, jak bez nich bël w kòzã wsadzony
 Za to, że przedwòł ne Wëbòrczé pòlsczé,
 W chtërnëch zwanò „Królówã" je „kòrunë pòlsczi"
 Matka Bòskò. A szandar mùszòł mù je mòcã
 Wëdrzec, i miòł z Remùsem paraluzną pròcã.
 Alé chòc to mù lëchò dosc w swiece sã dzało
 I bez dzurë wãpsa na skòrã mù wiało,
 To òn sã nie frëmaczël niczim bë na swiece,
 Spòwòł w bòrach i kniejach sobie w ceplim lece.
 A czej zema nadeszła, to òn przenocowòł
 Ù lédzy, bò mù kòzdi chãtnie noclëg dówòł.
 Chòc jesz nie bël tak stari, to ze swich towarów
 Na pògrzeb ùspòrowòł piãtnòsce talarów.
 - Tu mù nad brutmanami rëchała sã dusza
 I mówil: „Jô waju tej i zawiesc mùszã.
 Ale trzech nie docygnã; niech jeden z wòs troje
 Z kòleji wóz pòpichò, czej òdpòczną dwòje.
 Wleza dwòje nòslabszi, pùdła na klin wezta,

Ale w nich sã towarë, le jich nie pògniecta."
 Tej sã sztridowelë, chto wlëze do wòza...
 Remùs so timczasem wëszukòł pòwroza,
 Założël gò na plecë, chwëcòł diszel rãkã.
 A tam jeden barzi nad drëdżégò stãkò.
 Tej Remùs so ju radë nie widzòł jinaczi. -
 Zacygnął. - „Niech sadnie òd wòs jaczci taczil!"
 Tej Fon i Szadi w karã skòklë. Papel wzdichòł
 I z tëtù ròd nie ròd wòzëskò pòpichòł.
 Fon tu wërucël z troka ówã drëgã cegłã,
 Chtërnò mù frak na karkù jeszcze na dół wlekłã.
 I mù ju ò fejnosc wiãcy nie chòdzëlò,
 Cësnął jã, bë lizi cygnąc Remùsowi bëło.
 Jak bëlë za Lëpùszem na prosti szasji,
 Zmienił sã Aloszk z Paplem na pierszi stacji.
 Tu ju lizi szło. Wiãc Remùs swój ladunk pòceszòł
 I swòją historią zdzebelkò rozmieszòł.
 Mówil: „Ò nã brutkã żòłce so nie trujta,
 Le Panu Bògù za to jeszcze pòdzakùjta.
 Wejta jô bëlem z babã takżë skòjarzóny.
 Ale ma sã ju dówno rozparcelowóny.
 Ma sã ni mògła zgòdzëc. Òna fejn bëc chciała,
 I com zrobił, w kòdrach sobie òbwieszała.
 Ani rusz do chòwë, ani do robòtë,
 A jô so tam pò swiece za niã tłuc móm gnotë!
 Dlòtegò ma sã dwòje ròż srodze zwadzëła.
 Skòczëlësma i òstro żesma sã wëbiła.
 Tej jô mówił: Czej ma równo nie mësliëma,
 Kòbiëto, tej ma w żëcu ju sã nie zgòdzëma.
 Chcema wzac rozwód! - A chòc jesma chłop i żona
 Na wieczy, to jednak kòzdi pùdze w swòjã stronã.
 No, babskò sã zgòdzëlò; ale tej ma dwòje
 Pòklòcëlësma sã ò to, co kòzdi zwie swòje.
 Jedna grëbò pierzëna nad spróchniałim łozem
 Bëła przed Bòdżem całim naszym jinwantorzem.
 Ta kòzdemù z naju równie nòleżała;
 Jô jã chòlem òtrëmac; òna mie jã rwała.
 Tej radë dostała òd jaczégòs biësa
 I prosëc, bë nôs rozdzelël, pòszła do szòltësa.
 Ten nikòmù z naju nie mësłòł zdradzeckò,
 Rozdzelël jak Salomón ònegdój no dzeckò:
 Kòzòł kòzdemù nama trëmac swój kùnc pluchë
 I przerznął jã w pòłowie, jak doktorze brzuchë.
 Ale baba mie równak srodze òszukała,
 Bò so wszëtczë pióra na swój kùnc napchała.
 A jô w rãce le czëstë wãpiór òtrëmòlem,
 I pòtim jesz bùksë z niégò zrobiòlem!"
 Smielë sã kawalerë. Ale Fon ten wzdichòł,
 Bò Szadi włòzł terò na wóz, Fon zlòzł i pòpichòł.
 Papel rzekl: „Mie òd bólu cało skóra swãdzy!"
 Aloszk dodòł, stãkając: „Dotąd jô szedł prãdzy!"
 Tak to nym kawaleróm pòszlë ne szlubënë,
 Gwiòzdë bledlë, jak przëszlë do cny Kòscerzënë.

Br. Zbigniew Joskówski

Rëbaczenié Piotrowé

Òjcu Swiätimù Benediktowi XVI...

Pò wiôldzim żécégò nieòbjätim mòrzu
rézejë Apòsztol – z rëbóków nòpiersi.
Ze swiätą òtsadą plënie drogą Bòżą,
bò jima je żeczny swięzi zefir mòrsczi.

Nen Pioter – Apòsztol na gläbiò plënie wstec,
bò rëbaczenié je jemù namienioné –
òn łowi lëdzcze dëszë w Stów Żécégò séc,
bë wszëtczé òstalë na wieczy zbawioné.

Mòrze nieòbjäté i ful krëjamnoté
niese w toni bôldzò żécégò i smiercë,
dlôtë wcyg z nòdziej najaich czasów Pioter
spùszcziwò dragā wiarë w Christusa serce.

Pioter swòje cāżczé rëbacczé zadanié
pòddôwò òpiece Frzenòswiätszi Pani.

Gdiniò, 8/9 maja A.D. 2005

Drzeń szczescégò

Mójim Starszim i Starce Broniszë

Czimże je szczescé wëpraglë bez lëdzy,
chtërno w nëkbie czasu zdówò sã bëc dōkq?
Mòże w niedoprzińdny jawernoce sedzy
i na wëbrónych z żeczny kawlā czekò?

Szczescém je codniowòsc farwnò jak kwiatë,
że redëje serca swòjā cëdnā kròsq –
a chtò në pòtkòł, nemù surogatë
chòcbë skrzëlë zlotā, ceszbë nie przëniesq.

Chtò pòtkòł snòżq pòstacjò szczescégò
na przitczy gòrze swégò namienieniò,
nen mir mò w sercu, nimò grzmòtów zlégò,
chtërne chcq znikwic bëłny sztòłt semieniò.

Gdiniò, 2 maja A.D. 2005

Réza żécégò...

Człowiek wcyg rézeje
pò żécégò mòrzu,
bë w kuńcu doplënq
do zemi zbawieniò
i bôt swòj czerëjë
procëm falóm gòrzu,
chtërne w bôldnym tuńcu
chcq zmanic semienié.



Òdj. Mark Adamkóicz

Chòc człowiek doznowò
strachù w swim sëmienim
i sztorëmów dërných,
co stówajq przék,
to chwatu dodówò:
wiara w namienienié,
plëniacé dowierné
na Niebiańsczi Wik.

Òstróda, 24 lëżkwia A.D. 2006

Pòchwała Jezora Gòwidlińszczégò

Twòjé wòdë mòdré
pluszë szëmarzacé
lubno mie grajq
òjczësté refrenë
i twòji bôldzò
fale tuńcëjqacé
wcyg ùzwāczajq
mich wsëczëców strëñë...

W ciebie sã wzdrzewóm,
i z tczq adorëjā
klénót szafirny
jezórny mòdrotë.
Z redosq spiëwóm
– czëj twā bliżò czëjā –
pòchwalnā piesniā
Stwórcë twòjé snòżotë...

Òstróda, 24 lëżkwia A.D. 2006



Jerzy Dąbrowa-Januszewski

Odija

To krótkie nazwisko 32-letniego pisarza ze Słupska znane jest każdemu czytelnikowi współczesnej polskiej literatury. Fenomen czy przypadek marketingowy? Z pewnością to pierwsze. Fenomen talentu.

Młody autor, po opublikowaniu sześć lat temu w Słupsku zbioru opowiadań „Podróże w mieście”, w 2001 roku – w Gdańsku – tomiku wierszy „Pomiędzy tobą a mną”, w tymże roku wydał powieść „Ulica”. Krytykom zdumionym dojrzałością i oryginalnością jego pisarstwa, z charakterystyczną sobie szczerością i skromnością przyznał, że... akcja toczy się na jego dawnej ulicy w rodzinnym Słupsku. Rozpisywano się o godnym literatury genius loci ukochanego, a przecież tak zwykłego, miejsca Daniela Odiji! Trzeba tylko wiedzieć jak je pokazać!

„Jego bohaterowie to ludzie skrzywdzeni, ale zarazem najczęściej bezwolni i bezmyślni; okrutni, lecz chwilami jakoś na swój sposób przyzwyczajeni, (...) jego narracja przepelniona jest swoistą czułością wobec opisywanej rzeczywistości...” – napisał o „Ulicy” Piotr Bratkowski w „Gazecie Wyborczej”.

Czy słupszczanie są dumni z takiego sukcesu Daniela? Tak, choć jeden z mieszkańców ulicy Długiej, rozpoznawszy w powieści siebie, zastanawiał się nad procesem sądowym, „bo się z niego naśmiewali kumple”. Po paru dniach też był dumny z dawnego sąsiada, z rozślawienia miasta „na cały kraj”. W mediach rozbrzmiewały zachwyty nad „Ulicą”, Odiji przyznano Pomorską Nagrodę Artystyczną i kilka innych.

I oto, z początkiem 2003 roku, Wydawnictwo Czarne dostarczyło do księgarni „Tartak”, tym razem odijowski portret bankrutującego podslupskie-

go pegeeru. W kraju było w owym czasie jeszcze głośno o słynnym raporcie filmowym „Arizona” – także ukazującym nieodległą wieś. Według znawców literatury, w „Tartaku” Odija był jednak kunsztowniejszy, bardziej wyrafinowany w swoim młodym przeciwieństwie. W efekcie takich ocen książkę nominowano do Nagrody Nike. Wygrał „Gnój” Wojciecha Kurczoka, ale „Tartak” okazał się kolejnym bestsellerem.

Cóż miał począć niespełna trzydziestoletni wówczas pisarz z takim bagażem sukcesu, w obliczu nie kończących się wojaży po kraju na spotkania autorskie, także na sesje zagraniczne? Odpocząć! A więc odpoczywał, składając do druku wydany w 2005 roku tom opowiadań zatytułowany swojsko „Szkłana huta”. W domowym zaciszu tworzył koncepcję nowej powieści. Niechętnie opowiadał o pomysle, ale na pewno fabuła będzie dotyczyć Słupska. Jakże by inaczej – dodawał.

2 czerwca zostałem zaproszony na „Wieczór premierowy ze słowem i muzyką” w słupskim Młodzieżowym Centrum Kultury. Daniel Odija przyznał, że ukończył powieść zatytułowaną „Komedia”.

– Wiesz, to po trosze jak z Balzaka i Dantego, z chmurką egzystencjalizmu – usłyszałem przed niezwykle koncertem.

Zapowiedziano: słowa Daniel Odija, muzyka Emiteer. Pisarz czytał fragmenty powieści, w gęstej atmosferze podkładu muzycznego. Młoda widownia nagrodziła artystów brawami.

Jaka będzie ta powieść? Na pewno niezwykła: o korzeniach, historii Słupska z okresu rodzącego się nazizmu i wojennej hekatombie. Ukaze się jesienią. (-)

Kaszëbë – po leśny horyzont (3)

Wacław Tempski

Na szyjach krów brzęczą łańcuchy, wesóło parska koń. Masywna szyja w czarno-białe łaty napiera na mój policzek. Jeszcze pamiętam opuszczone ciepło poduszki, tym chętniej przyjmuję to przenikające przez skórę i sierść. Spoza długich rzęs patrzą łagodne oczy. Na wysokości mojej twarzy rozkołysana głowa odpędza natrętne muchy. Przyjazne uszy i mokra morda. Odchylam się, bo płaskie, twarde czoło i bliski róg mogą uderzyć jak dziadek tabakierką. Po krótkich poszukiwaniach znajduję przetyczkę. Gdy przewlekam przez kółko, łańcuchy opadają. Krowy tłoczą się w drzwiach, za nimi baran i reszta. Chaotycznie zaganiane przez Burka, chudego kundla, pomiędzy szopą Julki a przydomowym ogródkiem, skręcają za płotem w prawo, w wąską piaszczystą drogę. Pomaga też ciotka Lidia, nie wiem dlaczego nazywana przez wszystkich Pyrką.

Dalej biegnę sam. Drewniaki – korki grzęzną w sykim piasku. Droga łukiem okrąża ściśnięte płotami budynki, gospodarstwa Licałów, Kreftów i Wytbrotów, a po lewej stronie, przy lesie, gospodarstwo Korthasów. Zaraz za naszym ogródkiem mija domek, w którym w pobielanej dwuizbowej części, od strony drogi, mieszka Fryda, symbol nieporządku – z pewnością wymyślony. Gdy Pyrką chce dokuczyć ciotce Eleonorze, przezwanej Pączk, albo komukolwiek innemu, pada wówczas zdanie:

– Jo, ù ce pòpròwdze jak ù Fredë (U ciebie jak u Fredy).

Krowy kłaniane przez Burka w kostki w podskokach nabierają rozpędu. Podnoszę zgubione korki. Trzymam je w jednej ręce, w drugiej ściskam procę z rozwidłonego patyka, gumy i skrawka skóry. Może tym razem chociaż raz trafię kamieniem w kuper wróbla. Pośpiech i podrywany kopytami tuman kurzu przekreślają zabawę w polowanie.

Za świerkami kończą się płoty. Droga dotyka kartoflanych bruzd i niskich zbóż. Tam biegnie stadko. Będą przykre wypominania:

– Knôpie, znów owce bëtë w bółwach (Chłopcze, znowu owce były w kartoflach)

Tylko moja ciepła matka chrzestna, ciotka Eleonora, nasz najlepszy rodzinny kucharz, stanie w mojej obronie.

Po prawej stronie, w obniżeniu ogrodzone żerdziami podmokłe łączki. Tu drogi się rozchodzą za horyzont i na sandkule.

Zasapany zaganiam stadko na wzniesienie, gdzie stoi samotna brzoza z rozłożystą, płaczącą czapą. Moje spojrzenie za każdym razem pyta, czym są te wirujące, skręcone kolisto gałązki? Czy to przez ptaki zbudowane gniazda?



Od lewej: Lidia, zwana Pyszką, mama autora, Monika Dziecielska
Fot. ze zbiorów autora

Znak południa

Za brzozą, na kilka rzutów kamieniem, na skraju pól rozciąga się ciemny mur lasu. Przez wystające pas drzew przepędzam stadko na wciśnięte w las pastwisko.

Zanurzając się w zielony dom jestem tu gospodarzem. W koleinie na drodze, bezradnie wije się miedziany padalec – słęmiér. Gdy kijem roztrącam wczorajsze zeszcłe krowince, uciekają z nich żuki – gówniarze. Dziwi mnie ich błyszczący atramentowo panecz i szczudłowato stawiane nogi.

Gdzie zapędzić zwierzęta, żeby je szybko nakarmić? Pastwisko to zwyczajny nieużytek. Na tym óttógù (ugorze), na glebie jałowej, prawie zwirowej, wyblakła zieleni ostrych traw. Może spróbować na polu przy drodze? Może wzdłuż miedzy? Tuż obok soczysty łubin, owies, saradela. Ani Burek, ani ja nie utrzymamy w ryzach ruchliwych owiec. Tak, pozostaje piaszczyste pastwisko. Stado ma prawo chodzić aż pod las. Zajmuję moją warownię pośrodku pola – zebraną kiedyś, sterłą kamieni. Gdy ją zdobywam, zapadają się pod nią nagrzane jaszczurki. W pobliżu w grajdołku legowisko. Obok rozłożysta wieża jałowca. Z niej bronie żółtego łubinu.

Leżę i czekam, aż słońce wzniesie się wyżej. Nade mną chmury. Płyną i tworzą widma. Bajkowe okręty z żaglami, jakąś twarz, po chwili potwora, który może połknąć słońce.

Na chwilę pada cień. Obok mnie ogon łaciej krowy zagania roje much. Patrzę na nią, próbując ocenić to, o czym mi powiedziano:

– Czej ta joma ù slédny nodži mdze fül, to mērk, że możesz gnac krowę do bŭchtē (Gdy się wypełni u nasady tylnych nóg zapadły bok, to znak, że krowy możesz pędzić do zagrody).

Uciekam w stronę jałowca. Wyłamuję garść gałązek. Pojedynczo układam na większym kamieniu. Uderzam miarowo drugim. Kora z igłami odstaje, odsłania śliski, czysty szkielet. Pęczek wiąże okorowanym korzonkiem wydobyty spod sosny. Szczoteczka gotowa. Do mycia garnków, wiader i drewnianej dzieży, w której z ubijanej śmietany wypływają grudki masła.

Gdy wrócę, ręka mamy spocznie na czuprynie chłopca. Przyniesie w kubku chłodną maślankę, która w domu trzymana jest w ciemnej piwnicy.

Ale czas jakby stanął w miejscu. Boki krów są jeszcze zapadnięte. Cała nadzieja w słońcu.

Wrywam na skrawku ziemi trawę. Wyglądam piach. Pośrodku wbijam patyk. Na długość cienia wydrapuję w ziemi koło. Czekam. Słońce skraca cień. Wówczas pomniejszam koło. Po chwili jest on jeszcze mniejszy. Chociaż zniechęcony, czekam nadal. Zabawa powtarza się dopóki cień nie zamiera, nie ucieka od okręgu. Gdy go przekracza, to znak, że słońce jest już w zenicie. Tak mówił wujek Giorch:

– Chòcbē nie bētē najadti, gdē słuŕce na dwanòstā, możesz je gnac dodòm (Chociażby nie były najedzone, gdy słońce wskazuje dwunastą, możesz pędzić je do domu).

Pierwsze oszustwo

Na krańcach pól opadający skarpami las. U jego podnóża rozrzucone łączki i torfowiska. W zagajnikach, naokoło kopców, uwijają się ciemnobrązowe mrówki, rosną grzyby. Omijam różnokolorowe gąski. Do koszyka wkładam kurki i borowiki. Nie lubię maślaków, bo są śliskie. W nadmiarze rosną kozaki. Podobnie jak muchomory spotyka je krzywdzące kopnięcie. Piaszczysta droga przecina skarpe, opada w kierunku doliny rzeki Łeby i zmierza do majątku w Paraszynie. Na jej początku, po lewej stronie, prześwieca przez drzewa zielone oczko wodne. Od kiedy zobaczyłem w nim płynącego w skrętach zielonego węża, budzi mój niepokój. Byłem pewny, że broni on ukrytej w jezioru tajemnicy.

Po tej samej stronie torfowiska porośnięte bujną roślinnością. Brązowo-czarne lustra wody, w prostokątnych dołach po wydobytych torfie, odbijają biegnące po niebie chmury. Z przeciwnej strony drogi czeka sosnowy, pełen grzybów, skrawek – świadek mojej pierwszej porażki.

Niekiedy z moim stadkiem zapędzam się nad torfowisko i skraj łąki położonej w głębi lasu. Wśród drzew trudniej je opanować, ale wypas na leśnych przecinkach trwa krócej. Szybciej wracam do domu. Jestem dumny, bo widziałem pasące się na łące samy.



Pracownicy Hermana Hansena. Drugi z lewej w pierwszym rzędzie ojciec autora.
Fot. ze zbiorów autora

Pewnego razu, na początku mojego pastuszkowania, las czeka – jak sądzę – na mnie ze swoim bogactwem grzybów. Dorodnych, o grubych nogach i ciemnych kapełuszach. Radosny, z pełnym koszykiem borowików, spotykam chłopców z pobliskiego wybudowania.

Przekonują mnie:

– Te grzēbē nie są do jedzeniō. Dōj nóm, mē je dómē swiniōm (Te grzyby nie nadają się do jedzenia. Daj nam je, to damy je świniom).

Wierzę i daję. Tak doświadczam pierwszego bolesnego oszustwa.

Tato

Na początku wojny po dniach, nocach, tygodniach rozpaczy, miesiącach niepokoju i czekania, z różnych wieści układa się los taty.

Najpierw cofanie drogami na wschód i opór w lasach pod Warszawą, w bagiennych zagajnikach pod bombami i ostrzałem. Odważniejsi, skryci pod drzewami z karabinem wymierzonym w samoloty, ściągają na siebie zagładę. Nieubłagany strach spycha na bagna. Jeżeli śmierć, to w wodzie – uśmierzy ból, przyśpieszy zgon. Czuje to pies ojca i pierwszy musi zginąć z rąk swego pana. Strzał kończy bezskuteczne nocne wycie. Wycie nie żeby zdradzić, ale po to, by przywołać pomoc. Nie ma pomocy i nie ma wyjścia z okrążenia. Zaczyna się niewola. Piesza wędrówka powrotna na zachód, noc w jesiennym chłdzie i głodzie do jenieckiego obozu pod Hanowerem.

Aż wreszcie przychodzą od taty listy. Píše, że obozowy głód się skończył. Wybrani niewolnicy są wysyłani do okolicznych gospodarstw, do pracy w polu. Także tato. Na początku jeden z przychodzących bauerów podaje mu przez płot kromkę chleba. Potem wybiera do pracy na swoje gospodarstwo w Weferlinksen. Ów gospodarz, Herman Hansen, jest sołtysem wioski, członkiem SA. Nie przesładuje niewolników.

Czas pokazuje, że jest szczęśliwe, choć wojenne, zrządzenie losu. W sąsiedztwie tato spotyka bowiem swojego brata Władka.

Mama czyta nam pełne tęsknoty listy, pisane czasem wierszem, z podpisem Piech. Po tragicznej śmierci Heni, mojej siostry, w jednym z nich przychodzi zdjęcie jakby innego taty – z akordeonem na kolanach, starszego, z okrągłym wysokim czołem.

Herman Hansen ma dwóch synów na froncie rosyjskim. Dowiadujemy się później, że nie jest wielbicielem Adolfa Hitlera. Na przełomie lat 1942/1943 proponuje ojcu urlop i pozwala na odwiedzenie rodziny pod warunkiem powrotu. Warunek jest nie do spełnienia. Odmowa ojca przekreśla nadzieję. Trwa bolesna rozłąka.

W Tępczu dziadek dla ratowania gospodarstwa przed utratą, sam zgadza się na Eindeutschung (zniemczenie). Od mamy wiem z często powtarzanego wierszyka:

*Kto ty jesteś? - Polak mały,
Jaki znak twój? - Orzeł biały,
Gdzie ty mieszkasz? - Między swymi,
W jakim kraju? - W polskiej ziemi,
Czym ta ziemia? - Mą ojczyzną,
Czym znaczonej? - Krwią i blizną*
(Wł. Bełza, *Katechizm polskiego dziecka*)

W roku 1943 Herman Hansen zaprasza mamę i mnie do ojca. Obiecuje starania o przyjazd na dwa miesiące do Weferlinksen.

Paczka, którą otrzymałem od taty zapowiada podróż. W niej prawdziwy pociąg. Tory do złożenia w ósemkę lub w koło. Nakręcana kluczykiem lokomotywa ciągnie dwa wagoniki. Rozkładam tory na podłodze w pokoju. Nową niedzielną zabawką nie wypada się chwalić. Nie jest ona dla wszystkich. Wiejskie dzieci bawią się patyczkami, sprzętem domowym i gospodarskim. Bawią się pracując na podwórku, w polu, w lesie, wśród zwierząt i dorosłych.

Szkolne początki

Język niemiecki w mojej rodzinie nie jest zupełnie obcy. Mama, jej siostry i bracia zaczynali szkołę jeszcze pod zaborem. Dziadek w czasie pierwszej wojny światowej służył w armii pruskiej. Babcią z rodziny kaszubskiej, z domu Orseski, również dotyka pomorski los.

Używany w domu dziadka kaszubski spaja całą rodzinę w oporze przeciw najeźdźcom. Staje się on moim językiem ojczystym.

Nadchodzi rok, w którym widoczny za stawem czerwony budynek pod świerkami, głuchy przez kilka lat, znowu jest szkołą. Tym razem nieproszoną – niemiecką.

Początek nauki skrywa się w przestrzeniach mojej niepamięci. Czasem wystarczy przedmiot, czyjś gest, jakiś zapach, by zza zasłony ukazały się wyblakłe zdarzenia, tęsknoty, z dalekiej czy bliższej przeszłości.



W chwilach wolnych od pracy w niemieckim gospodarstwie, ojciec autora tekstu, Piotr grywał na harmonii.

Fot. ze zbiorów autora

Z tej szkoły zostają mi tylko dwa doznania. Ból i pamięć o tabliczce do pisania, czarnej, w drewnianej ramce. Twardy rysik, którym starannie od linijki do linijki skrobię w szkole i po lekcjach pierwsze litery. Linijek kreślonych w domu jest tym więcej, im większa jest kara. Jest jeszcze zapyłona szmatka, bardziej do rozmazywania niż wycierania.

Po jakimś czasie tabliczkę zastępuje zeszyt w linie na przemian cienkie i grube, w którym z każdym dniem przybywa nie tylko wyrazów, ale i kleksów. Z umoczonych w kałamarzu stalówek łatwo spadają na zeszyt, ubranie i ławkę granatowe krople. Znaczą także podłogę.

Gdy idę po raz pierwszy do szkoły, znam nie tylko niektóre niemieckie wyrazy, ale i całe zdania. Kilka książek spoczywa w szufladach. Przeglądam je z dziadkiem, który uczy mnie języka. Wcześniej poznawałem go z przekleństw dorosłych.

Przeglądanie zaczyna się od zbioru kolorowych kartek pocztowych. Zachwycają mnie na nich leśne pejzaże. Drogi przez fioletowe wrzosowiska, lasy bukowe usłane jesienną porą dywanem rudych liści.

Grubą książkę mogę oglądać tylko z mamą. Zastanawiają mnie w niej różne portrety jednego mężczyzny, a najbardziej ten podpisany: „Poeta wsparty na Judahu skale”. Jego duch waży w moim wewnętrznym świecie. Z tej książki uczę się po raz pierwszy na pamięć wiersza. Jest to często nucona „Świtezianka”. Tajemnicą otoczony świat ciekawi. Również ten pokazany w książkach pisanych językiem niemieckim. Widzę w jednej niepokojące zdjęcie zagazowanych żołnierzy na froncie pierwszej wojny światowej.

Ja nie wiem, ale dorośli pewnie tak, że znowu gazuje się ludzi, tysiące żydowskich mężczyzn, kobiet i dzieci. Nas, dzieci w szkole, doświadczają jedynie niewinne bicie linijką po dłoni – nie tylko za błąd w odpowiedzi na pytanie typu: „Wieviel ist acht mal sieben?” (Ile jest osiem razy siedem?), ale za każde wypowiedziane po polsku słowo. (-)

Salon ze starożytnym kluczem



Marek Barański *

TOWARZYSTWO
DOM UPHAGENA
30-051 GDAŃSK, UL. DŁGIEJ 12

Chociaż podróżowanie dla gdańszczan to rzecz naturalna, to jednak niewielu z nich dane było odbyć dalekie wyprawy. Wśród dawnych mieszkańców grodu nad Motławą mamy kilku znakomitych podróżników i odkrywców. Wystarczy wymienić Jana Heweliusza, który wybrał się na zwiedzanie Drogi Mlecznej i odkrył gwiazdozbiór *Scutum Sobiescianum*, czy rodzinę Forsterów, Jerzego i Jana, ojca i syna, którzy z kapitanem Jamesem Cookiem dopłynęli do odległych wysp Pacyfiku i opisali tamtejszą faunę i florę. W ich cieniu pozostaje Jan Uphagen, który wprowadził aż tak daleko nie dotarł, osiągając w roku 1754 jedynie Paryż, to dzięki swym podróżom sprawił sobie i ukochanemu miastu niezwykłą kolekcję widoków z Chin, Indii, Persji, starożytnej Italii i Grecji. Ten unikatowy zbiór przetrwał wojenną pożogę i jest dzisiaj cennym świadectwem stanu świadomości gdańszczan w XVIII wieku.

Moda na antyk to jeden z nurtów, który nie tylko kształtował oświecenie, lecz także przyczynił się do powstania romantyzmu. W przypadku Uphagena możemy mówić zarówno o jego oświeceniowym podejściu badacza, jak też o romantycznym postrzeganiu świata. Rokokowa dekoracja salonu w kamienicy przy Długiej 12, ukończona przed styczniem 1787 roku, na pierwszy rzut oka wydaje się standardowa, odpowiadająca stylowi końca baroku. Przy bliższym zapoznaniu się z nią zaskakuje jednak swoją

oryginalnością, która wyraźnie odróżnia ją od wszystkiego co znamy z tego okresu z Gdańska, Polski i Europy. Zespół widoków starożytnych ruin i stanowisk archeologicznych, będących przewodnim motywem dekoracji salonu, to ciekawość, dotychczas niezauważona, przyczynek recepcji antyku na ziemiach polskich w XVIII wieku.

Nadążyć za oświeceniem

Jan Uphagen podczas studiów w Getyndze w latach 1751-1754 odwiedził także Amsterdam i Paryż. W tych uniwersyteckich ośrodkach krzyżowały się prądy filozoficzne analizujące historię oraz interpretujące dziejowe wydarzenia, panowała w nich również moda na kolekcjonerstwo i starożytność. Zainteresowania Uphagena historią przyczyniły się do powiększania własnego księgozbioru, szczególnie o pozycje dotyczące początków cywilizacji i pochodzenia Słowian. Rezultatem owych studiów było dzieło „*Parerga historica*” opublikowane w 1782 roku. W tej uproszczonej kronice świata od czasów jego stworzenia aż do roku 1000 autor starał się wykazać rodowód mieszkańców ziem polskich, zwłaszcza tych, zamieszkujących południowe wybrzeże Bałtyku. Swoje rozważania poparł bogatą wiedzą historyczną i najnowszymi opisami przywiezionymi przez podróżników penetrujących kraje orientalne. W ówczesnym Gdańsku, z licznymi bibliotekami, zbiorami i kolekcjami, dobrze wykształcona elita inte-



Rozwiązanie zagadki dekoracji tego salonu Jan Uphagen pozostawił potomnym.

Fot. Marek Adamkiewicz

lekutualna miała wyjątkowe możliwości rozwoju. Przybywający tutaj z wielu krajów kupcy i naukowcy przywozili m.in. najświeższe nowinki i nowe idee, które padając na podatny grunt mogły swobodnie się rozwijać dzięki indywidualnym zainteresowaniom mieszkańców miasta. Johann Bernoulli w dziele „Reise durch Brandenburg, Pommern, Preussen, Curland, Russland und Pohlen in der Jahre 1777-1778” z satysfakcją przedstawił cenne zbiory miejskich bibliotek.

W takim środowisku zrodziła się u Uphagena koncepcja dekoracji swojego salonu. Jej realizacja jest dla nas o tyle godna uwagi, że prezentuje w materialnej formie stan wiedzy o starożytności przedstawiciela ówczesnej elity intelektualnej Gdańska. Należy jednak zaznaczyć, że przykład gdański zalicza się do prekursorskich na ziemiach polskich. Salony antyczne w pałacach w Nieborowie (Zug), Łańcucie (Brenna), Lubostroni (Zawadzki), Śmiełowie (Smuglewicz), Dobrzycy (Zawadzki), Pałacu Myśliwickim (Herliczka) oraz założenia parkowe Łazienek z Teatrem na Wodzie (Kamsetzer) czy nieborowska Arkadia (Zug), Natonin (Aigner), poza realizacjami po 1770 roku w siedleckiej Aleksandrii (Zug), parku na Solcu (Zug) i Powązkach w latach 1770-1775 są równoczesne lub nawet późniejsze w stosunku do dekoracji salonu w Domu Uphagena. Warto podkreślić, że wymienione powyżej miejsca projektowane były przez najlepszych architektów i artystów działających w ówczesnej Polsce. Dzięki podróżom do Italii mieli oni bezpośredni kontakt nie tylko z dziedzictwem antyku, ale również z najnowszymi, szybko rozwijającymi się od połowy XVIII wieku, tendencjami. Natomiast program dekoracji salonu jest autorstwa samego Uphagena, który w odróżnieniu od swych możliwych partnerów nigdy starożytnych ruin nie widział.

Książkowe inspiracje

Szansę na realizację przez Uphagena założonej koncepcji dawały sztychy i rysunki publikowane w albumach i książkach podróżniczych. Pas płycin boazerii obiegających salon ozdobił widokami antycznych ruin, na które pierwotnie złożyły się 23 przedstawienia. Mniej dekoracyjne obrazy znajdowały się na wąskich panelach umieszczonych w gładach okiennych. Płyciny drzwi od strony wewnętrznej dekorowane były czterema mniejszymi widokami. Zachowane ślady potwierdzają istnienie podobnej dekoracji także na drzwiach od strony przedpokoju i na klatce schodowej, których obecnie nie jesteśmy w stanie rozpoznać.

Na osi salonu, w niszy podokiennej, widnieją ruiny Paestum, na prawo od niego jest panorama Palmyry, a po lewej stronie Persepolis. Wzdłuż ścian umieszczone zostały zabytki Aten i Koryntu. Na drzwiach są przedstawienia ruin Stonehenge, Persepolis, Ktezyfonu i niezidentyfikowanej ruiny gotyckiej. Eliminacja z tego zespołu zabytków rzymskich i egipskich wydaje się być decyzją świadomą. Obok Aten – wiodącego miasta antycznej Grecji pojawiają się tutaj przedstawienia ruin starożytnej stolicy Persji – Persepolis, Palmyry – państwa-miasta, które w III wieku n.e. ogłosiło się stolicą imperium, wypowiadając wojnę Rzymowi, a także Ktezyfonu, stolicy państwa sassanidzkiego.



Fragment dekoracji w uphagenowskim salonie

Fot. Marek Adamkiewicz

Stonehenge oraz nierozpoznana gotycka ruina to przekaz posiadający głębszą wymowę ideową, którą należałoby poddać dodatkowym analizom.

Możemy z dużym prawdopodobieństwem przyjąć, iż dobór ikonograficzny eksponujący zabytki starożytnej Grecji jest wynikiem pełnej świadomości Uphagena co do swoistej mody i olbrzymiego zainteresowania nimi ówczesnych elit, podsycanych m.in. sporem o prymat sztuki greckiej nad rzymską jaki rozgorzał w połowie wieku. Moda na greckość objawiła się ze zwiększoną siłą po opublikowaniu przez Juliana Dawida Le Roy'a pierwszych dokładnych rysunków zabytków Aten oraz umożliwieniu w połowie XVIII wieku zwiedzania kompleksu doryckich świątyń w Paestum, które w krótkim czasie stały się punktem docelowym licznych wycieczek starożytności miłośników. Rezultatem tych wypraw były, wydane na przestrzeni kilkunastu lat, liczne albumy rysunków i pomiarów. Johann Winckelmann, czołowy starożytnik XVIII wieku, w dziele „*Amerkungen über die Baukunst der Alten*” o zespole świątyń w Paestum napisał, że są one „najbardziej zadziwiającymi i najukochańszymi, najbardziej godnymi szacunku z całego antyku”. Umieszczona w salonie panorama miasta pochodzi ze znanej publikacji Thomasa Mayora – „*The Ruins of Paestum, otherwise Posidonia in Magna Graecia*”. Obie te książki Uphagen posiadał w swojej bibliotece. Możemy się domyślać, że centralne umieszczenie panoramy Paestum w salonie wiąże się z cytowaną opinią Winckelmanna. Widoki zabytków Aten pochodzą z wydanej w 1758 roku publikacji Le Roya „*Les ruines des plus beaux monuments de la Grece*”. Wśród pierwotnie istniejących w salonie malowideł można rozpoznać budowle Akropolu ze świątynią Ateny, Propylejami, Erechtejonem, świątynią Zeusa olimpijskiego, ruiny stadionu, akweduktu, grobowca Trazyllosa w Atenach, oraz obiekty z Koryntu i z Puli na Istrze. Prawdopodobnie nie zostały wykorzystane widoki ruin teatru w Sparcie, świątyni w Seunion oraz innych zabytków Aten, które publikował Le Roy.

Przedstawienia zabytków starożytnego Wschodu w salonie domu Uphagena możemy próbować wyjaśnić po-

przez wspomniane wcześniej jego zainteresowania cywilizacjami tamtego regionu, które zaprezentował w dziele „Parerga historica”. Znajdujemy tu odniesienia do dziejów Fenicji, Persji, Partów, przywołana została też wyprawa Carstena Niebuhra do Persepolis. Właśnie ten aspekt prezentacji Wschodu jest najbardziej oryginalną i unikatową cechą salonu. Persja, podobnie jak Chiny i Indie, fascynowała Europejczyków, czego wyraz dawali oni wykorzystując orientalne motywy i formy w dekoracji wnętrz oraz w pawilonach ogrodowych. Zabytki perskie i mezopotamskie nie cieszyły się jednak taką popularnością, choć Palmyra i Persepolis cytowane były w wielu ówczesnych leksykonach, m.in. u Bernarda de Montfaucona, Fischera von Erlacha czy w Encyklopedii Diderota. Przedstawienie widoku Palmyry, położonej w samym sercu Pustyni Syryjskiej, mogło wynikać z kilku powodów. Miasto stało się słynne za sprawą buntu i wypowiedzenia Rzymowi aliansu, które zakończyły się krwawym stłumieniem politycznych aspiracji mieszkańców tej pustynnej oazy. Jej tragiczny los oraz panującej tam królowej Zenobii, prowadzonej w złotych łańcuchach w tryumfie cesarza Aureliana, był przez starożytnych historyków wielokrotnie opisywany. Nowożytne odkrycie zrujnowanej Palmyry, nagłościone za sprawą podróży Roberta Wooda i Jamesa Dawkinsa, stało się przyczyną swoistej mody na to miasto w osiemnastowiecznej Europie.

Dobór przedstawień na drzwiach do uphagenowskiego salonu zaskakuje nie tylko geograficzną, ale także historyczną rozpiętością. Widzimy tutaj ruiny prehistorycznego Stonehenge, starożytnego Persepolis, Ktezyfonu, a także gotyckiej budowli. To dziwne zestawienie z pewnością ma ideowe podstawy, które w świetle naszych rozważań mogą wydawać się nie do końca oczywiste. Pozostałości Stonehenge, podobnie jak Palmyra czy Persepolis, były również szeroko znane za sprawą wzmiankowania tego stanowiska w leksykonach i encyklopediach. Ale Ktezyfon już takiej popularności nie posiadał, zaś historyczna wiedza na jego temat wymagała specjalistycznych zainteresowań.

Widok słynnej kolumnady w Palmyrze wraz z zamykającą ją od wschodu świątynią Bela został skopiowany z wielotomowej publikacji Montfaucona „L'antiquite expliquee et representee en figures”, będącej kompilacją opisów i dokumentacji rysunkowej z innych książek. Jej posiadanie było w XVIII wieku uważane za wyznacznik zainteresowań starożytniczych. Bernoulli w swoim opisie polskich kolekcji wielokrotnie podkreślał obecność tej książki w krajowych zbiorach. Przywołany przez Montfaucona obraz syryjskiej Palmyry zapożyczony został z dzieła słynnego podróżnika Comeilla de Bruyna, który nigdy jej nie widząc zaczerpnął rysunek z wcześniejszego źródła. W bibliotece gdańskiego Naturforschenden Gesellschaft wśród tomów Philosophical Transactions, wydawanych przez Royal Society w Anglii, znajdował się pierwszy opis odkrycia Palmyry przez kupców angielskich – T. Lanoy'a i A. Goodyear'a, opublikowany w 1695 roku przez Williama Halifaxa. Towarzyszył mu pełny panoramiczny widok ruin starożytnego miasta, którego charakterystycznym elementem była za-

chowana wspaniała kolumnada głównej ulicy. Potwierdzeniem, że wykorzystanym przez Uphagena źródłem była praca Montfaucona, a nie pierwotny widok Halifaxa, jest fakt, że przerys ten jest dokładnym powtórzeniem wschodniej części panoramy Wielkiej Kolumnady. W takim połówkowym wydaniu republikowany jest on jedynie przez Montfaucona. Zastanawiające jest, że Uphagen – mimo swych zainteresowań – nie wszedł w posiadanie i nie skorzystał z przedstawień ruin Palmyry publikowanych w 1753 roku w Londynie przez R. Wooda i J. Dawkinsa w albumie „The Ruins of Palmyra other wise Tedmor in the Desert”. Dzieło to wzmogło zainteresowanie całego starożytniczego świata, a poprzez dokładność opisu oraz bogactwo dokumentacyjne odsunęło w cień wcześniejsze publikacje powtarzające ten widok za Halifaxem. Albumu Wooda prawdopodobnie nie było także w Gdańsku. Warto wspomnieć, że na ziemi polskiej książka ta dotarła dopiero za sprawą Stanisława Kostki Potockiego, który nabył ją w 1787 roku. Oba przedstawienia ruin pałaców Persepolis znajdujące się w salonie, pod oknem i na drzwiach, zostały zaczerpnięte ze słynnej książki Niebuhra, „Reisebeschreibung nach Arabien”, którą Uphagen posiadał w swojej bibliotece. Widoki te nie były mu znane jedynie z tej pozycji. W jego bibliotece były również nie mniej znane prace innych podróżników – J. Chardina, C. de Bruyna, powtórzenia wizerunku u Montfaucona oraz niemieckie wydanie opisu podróży Pietro della Valle. Spór o dokładność ukazania wyglądu zabytku – w wykonaniu Chardina, Bruyna i Keyslera – toczył się w kręgach naukowych i możliwe, że Uphagen widoki owego zespołu pałaców wolał wybrać, jako najbardziej efektowne, publikowane przez Carstena Niebuhra. Niewykluczone, że był świadom jego powrotu z tej egzotycznej podróży właśnie przez Polskę i spotkania z królem Stanisławem Augustem Poniatowskim w 1767 roku. Mogło to być dla Uphagena dodatkową inspiracją do wyboru właśnie publikacji Niebuhra.



Starożytne zabytki według J. D. Le Roya: świątynia Minerwy w Atenach...

Szczególne miejsce w tej grupie przedstawień zajmują ruiny słynnego pałacu Tak-i-Kisra w Ktezyfonie, miejsce o dosyć ograniczonej recepcji w XVII i XVIII wieku, położonego nad Eufratem. Poza bitwą cesarza Justyniana nie kojarzono go raczej z innymi ważnymi wydarzeniami historii starożytnej. W wydanej w 1679 roku książce Athanasiusa Kirchera „Turris Babel”, znajdującej się w posiadaniu Uphagena, jest rysunek przypisywany włoskiemu podróżnikowi Pietro della Valle, który na początku XVII wieku wizytował Ktezyfon. Przedstawienie to w literaturze światowej znane było jako jedyny istniejący w tamtym czasie widok zrujnowanego, wspaniałego pałacu Sassanidów. Jednak obraz w domu Uphagena jest inny, zaś jego analiza, ze względu na wyraźne różnice co do samego ujęcia perspektywy, jak i opracowania detali, jednoznacznie wskazywała na istnienie jeszcze innego źródła. Weryfikacja katalogu biblioteki Uphagena nie ujawniła publikacji z tym przedstawieniem. W XVIII-wiecznej literaturze dotyczącej tego regionu oraz ogólnie znanej i cytowanej w owym okresie między innymi przez Edwarda Gibbona w „Decline and Fall of the Roman Empire” nie widać szczególnego zainteresowania tym obiektem. Gibbon zaledwie nadmienia pałac ktezyfoński, powołując się na opis Pietro della Valle i wspominając pracę francuskiego geografa Jeana Baptista d'Anvilla, w której to jednak rysunku takiego nie ma. Uphagen posiadał książkę d'Anvilla „L'Euphrate et le Tigre”. Podjęte badania wskazały na istnienie mało znanej i nie cytowanej przez Gibbona, wydanej w 1773 roku w Londynie, książki Edwarda Ivesa „A Voyage from England to India in the year MDCCLIV and also a Journey from Persia to England by an Unusual Route”. Znajduje się w niej zarówno doskonały i pełny opis tej budowli, jak i wizja, która posłużyła do dekoracji drzwi w salonie w domu Uphagena. Jednakże publikacji Ivesa nie ma w spisie książek uphagenowskiej biblioteki. Możliwe, że skorzystał on z egzemplarza, który przelotnie trafił w jego ręce, lub do któregoś z bibliotek w Gdańsku dotarło niemieckie tłumaczenie tej książki. Zastanawia, co kierowało Uphagenem, że skorzystał z tej unikatowej, szerzej nieznannej publikacji. Istniały bowiem inne przedstawienia ruin, kopiowane ze źródeł ogólnie dostępnych, które w dużej części posiadał w swojej bibliotece. Niewykluczone, że argumentem dla Uphagena była sugestia Ivesa, iż są to ruiny pałacu jednego z generałów Aleksandra Macedońskiego.

Znajdujące się na drzwiach salonu Stonehenge pochodzą z cytowanej już publikacji Montfaucona. Na jego umieszczenie obok przedstawień starożytnych stanowisk w tym zespole mogło mieć wpływ echo ożywionej dyskusji na temat owych ruin, którą od XVII wieku podejmowało w Anglii grono wybitnych badaczy, historyków, architektów, astronomów. Spierali się oni o funkcje tego obiektu i czas jego powstania, przypisując Stonehenge zarówno Rzymianom, Celtom, jak i łącząc je z kultowymi obrządkami druidów, Fenicjan czy Saksonów. Która z tych atrybucji była dla Uphagena istotna i wiążąca, trudno dzisiaj ocenić. Natomiast ukazana na drzwiach ruina gotycka może pochodzić albo z jakiejś podróżniczej książki, w której wspomniane zostały pozostałości krzyżowców w Lewancie, albo



... grobowiec Trajyllosa w Atenach...

jest naturalistycznym przedstawieniem budowli, znanej Uphagenowi z autopsji, znajdującej się gdzieś w okolicach Gdańska.

Malowane zagadki

W salonie obok ruin greckich pojawiają się charakterystyczne zabytki starożytnego Wschodu – Palmyra, Persepolis, Ktezyfon. Gdyby nie Stonehenge oraz gotycka budowla, dekorację tego pomieszczenia można by uznać za ideowo jednorodną. Ukazanie tych dosyć różnych miejsc znacząco rozszerza nasze rozważania. Ruiny Stonehenge można by jeszcze było uznać za starożytne, ale gotyckiej budowli na pewno nie. Czym mógł kierować się Uphagen, umieszczając wraz z innymi słynnymi obiektami starożytnymi przedstawienie anonimowej ruiny gotyckiej? Odpowiedzi powinno się szukać nie tylko w zainteresowaniach gospodarza, ukierunkowanych na poznanie zabytków antycznych, lecz także należałoby uwzględnić prawdopodobną szeroką wiedzę Uphagena o współczesnych prądach kulturalnych i estetycznych, żywych w Europie, a zwłaszcza w Anglii. Europejska świadomość kulturowego znaczenia ruin średniowiecznych budowli zaznacza się już w I połowie XVIII wieku. Pojawiają się wówczas również pierwsze głosy o konieczności ochrony tego rodzaju zabytków, zarówno ze względu na świadomość historycznej kontynuacji, jak i na ich samoistne estetyczne piękno. Ruiny – i te antykizujące, i gotyckie – wkomponowywane w założenia parkowe, stały się elementami wyznaczającymi nową jakość piękna, którą już od połowy XVIII wieku określano nazwą *picturesque* – malowniczości. W domu Uphagena współistnienie Stonehenge i anonimowej gotyckiej budowli wydaje się być sygnałem bliskich związków gospodarza ze środowiskiem angielskim. Warto wspomnieć o dobrych kontaktach z tym środowiskiem ojca Jana, Piotra Uphagena,

który w 1776 roku pośredniczył w przekazaniu dyplomu honorowego członka Royal Society dla króla Stanisława Augusta Poniatowskiego. Prawdopodobnie rezultatem tych szczególnych związków było nawiązanie przez Jana kontaktów z Society of Antiquaries, które doprowadziły do przyjęcia go w 1783 roku do tego szacownego stowarzyszenia starożytników. Akcentowało ono potrzebę opieki również nad własnymi, lokalnymi zabytkami przeszłości. Wyrazem tych poglądów był manifest towarzystwa z 1776 roku, w którym określono się ono strażnikiem średniowiecznych zabytków. Możliwe, że świadomość i podzielenie tych idei było właśnie inspiracją dla Uphagena do podkreślenia w salonie swych angielskich kontaktów. W owym czasie w Polsce poglądy na temat średniowiecznych obiektów nie były tak sprecyzowane, choć Ksawery Zubowski w wydanym bezimiennie w 1785 roku manifestie „Kollekcja starożytnych i tego czasowych osobliwości w kraju i za krajem znajdujących się. Naród Polski interesujących” domagał się inwentaryzowania zabytków. Dzieło to dedykowane zostało biskupowi Ignacemu Krasickiemu, który swym doskonałym piórem nieraz podnosił kwestie niszczenia i zatury narodowej spuścizny (m.in. teksty „O gmachach starożytnych”, „Nadgrobniki”). Nie można wykluczyć kontaktów środowiskowych i pośredniego wpływu opinii biskupa na elity Gdańska. Bernoulli w swym dziele wspomina wizytę Krasickiego u opata klasztoru oliwskiego. W tym samym czasie, kiedy Uphagen kończył dekorację salonu Zygmunt Vogel rysował widoki Warszawy, a w 1787 roku na zlecenie króla pojechał do Kaniowa malować zespół historycznych budowli, rozpoczynający cykl „Zbiór widoków sławniejszych pamiątek narodowych, jako to Zwalisk, Zamków, Świątyń, Nadgrobników, starożytnych Budowli i mieysc pamiętnych w Polsce”.

Takie spojrzenie pozwala identyfikować unikatową i oryginalną dekorację Domu Uphagena jako bliższą duchowi romantycznego podróżnika-odkrywcy, niż oświeceniowego naukowca-badacza. Cytowanie krajo-
brazowych rysunków, a nie tylko architektonicznych przed-

stawień wyraźnie wzmacnia ten ideowy aspekt. W swojej koncepcji zespół dekoracji salonu nie obejmuje zabytków orientalnych – islamskich bądź chińskich, których pełne były księgi w bibliotece Uphagena. Motywy te wykorzystał on oddzielnie, w tzw. herbaciarni znajdującej się na dostępnej z sieni antresoli. W dekoracji salonu brakuje zabytków imperium rzymskiego – zarówno tych znanych z Italii, jak i ze starożytnego Wschodu, m.in. słynnego Baalbeck. Rzymskie sceny obyczajowe oraz budowle umieszczone zostały w jadalni. Ich wielobarwna forma plastyczna nawiązuje do malunków w innych pomieszczeniach Domu Uphagena i tym samym odróżnia się od jednobarwnej dekoracji salonu. Warto zwrócić uwagę, że na dobór motywów dekoracji „sali rzymskiej” nie miały wpływu wykopaliska w Pompejach i Herkulanum, które właśnie w okresie urządzania domu stały się słynne w Europie. Ciekawe jest również, że Uphagen – mimo swych zainteresowań cywilizacjami orientalnymi – zabytkom egipskim nie poświęcił uwagi. W książkach jakie posiadał znajdowały się jednak przedstawienia charakterystycznych budowli faraonów – piramid i sfinksa w Gizie.

* * *

Analizując dekorację Domu Uphagena zauważamy, że salon – w odróżnieniu od kolorowych motywów zdobniczych w innych pokojach – poprzez swą monochromatyczność wydobywa delikatność rysunku, każąc się nim zainteresować. To specyficzne i indywidualne podejście, godne artysty smakującego piękno, świadomie wybierającego motywy, umiającego czerpać jak z rogu obfitości wszystko to, co warte jest zauważenia. Taka dekoracja salonu w domu mieszczańskim nadała mu charakter porównywalny ze świetnym, pałacowym wnętrzem, zaś skala zainteresowań antykem sprawiła, że powstało dzieło unikatowe także w wymiarze europejskim. Stanisław Kostka Potocki, czołowy starożytnik polski tego okresu, w swojej pracy „O sztuce u dawnych czyli Winkelman polski”, opublikowanej w 1815 roku, będącej rozszerzonym merytorycznie tłumaczeniem słynnej książki Winckelmann „Geschichte der Kunst des Altertums” z 1764 roku, jednoznacznie opowiedział się za potrzebą równoważnego oceniania artystycznych osiągnięć cywilizacji innych niż tylko grecko-rzymska. Pierwotny tekst znacząco rozszerzył o rozdziały poświęcone sztuce Chaldejczyków, Persów, Egipcjan, ludom Chin i Indii. Kostka Potocki pisząc swe dzieło z pewnością nie zdawał sobie sprawy, że skromny kupiec z Gdańska ponad 30 lat wcześniej w wyborze reprezentatywnych przedstawień dla dekoracji salonu w swym domu kierował się podobnymi przemyśleniami. (-)

* Autor jest dr. inż. architektem, archeologiem, konserwatorem zabytków, badaczem zabytków architektury.

Referat został wygłoszony w Domu Uphagena na spotkaniu z cyklu „Kultura dawnego Gdańska”.



... świątynia w Puli na Istrze

Kapela Plëskota

Regina Szczupaczyńska

Tadeusz Makowski robił w życiu różne rzeczy. Przez jakiś czas był zawodowym strażakiem, operatorem sprzętu na budowach, pracował jako konserwator drewnianych eksponatów w muzeum w Kartuzach, oprowadzał grupy turystyczne. Obecnie ma w Chmielnie własną firmę. Można w niej zamówić koncert kapeli, przewodnika po Kaszubach, a nawet instrumenty kaszubskie czy drewniaki.

Niezależnie od tego, czym się zajmował, zawsze towarzyszył mu kaszubski folklor. Przypada z nim zaczęła się w 1967 roku, kiedy to założył po raz pierwszy strój regionalny. Z dumą nosi go nadal.

O występach w zespole ludowym marzył już w szkole podstawowej. W tamtym czasie kartuskie Kaszuby przyjmowały uczniów szkół średnich, więc cierpliwie czekał. Nie bezczynnie jednak. W okresie świąt Bożego Narodzenia przebrał się z kolegami za gwizdże i odwiedzał domy. Od kilkunastu lat sam chodzi w stroju Gwiazdora bądź św. Mikołaja, często będąc najbardziej oczekiwanym wigilijnym gościem. Owo przynoszenie radości innym ma, niestety, swoją ceną – tego dnia jest nieobecny we własnym domu.

Od 1990 roku jego oczkiem w głowie jest kapela Plëskota. Wykorzystuje w niej doświadczenia swojego bogatego życia. – Zanim stworzyłem własny zespół, tańczyłem w Kaszubach z Kartuz i grałem na diabelskich skrzypcach w Modrakach z Parchowa i Chmielanach z Chmielna – opowiada. – Kilka lat grałem też w grupie Makowiacy.

Plëskotę tworzą: Andrzej Lelek (akordeon), Zbigniew Bajer (akordeon), Sławomir Gnyba (klamet), Wojciech Choszcz (klamet), Ludwik Choszcz (bazuna), Grzegorz Choszcz (bazuna), Ludwik Brzostkowski (skrzypce), Tadeusz Makowski (diabelskie skrzypce), Tadeusz Choszcz (kontrabas) i Kazimierz Grunholtz (burczybas). Występują średnio około 100 razy w roku, przeważnie podczas imprez na terenie powiatu kartuskiego. Oprócz tego corocznie biorą udział w Ogólnopolskim Przeglądzie Gry na Instrumentach Pasterskich w Ciechanowcu, zajmując w nim czołowe lokaty (m.in. Złota Kotwica dla Tadeusza Makowskiego w XX edycji przeglądu), i w Przeglądzie Zespołów, Kapel i Gawędziarzy Kaszubskich w Chojnicach. Uczestniczyli również w Międzynarodowym Festiwalu Zespołów Folklorystycznych w Nowej Rudzie (1998 r.), Ogólnopolskim Konkursie „Sabałowe Bajania” w Bukowinie Tatrzańskiej (1998 r.), Białostockich Spotkaniach z Folklorem (1998 r.) i in.

Od wielu lat kapela występuje podczas Jarmarku Dominikańskiego w Gdańsku. Jej członkowie nawiązali kon-



Kapela Plëskota uświetnia nie tylko lokalne imprezy. Od wielu lat jej członkowie występują podczas Jarmarku Dominikańskiego w Gdańsku.

Fot. ze zbiorów zespołu

takty i zaprzyjaźnili się z góralami z Krościenka nad Dunajcem, Zakopanego, Żywca. Dwukrotnie brali udział w pojedynkach muzycznych „Kaszubi kontra górale”. Koncertowali również poza granicami naszego kraju – w Danii i w Szwecji.

Kilkanaście razy pojawili się w Telewizji Polskiej (krajowej i regionalnej) oraz w audycji „Poranek symfoniczny” w programie I Polskiego Radia. W grudniu 2005 roku Tadeusz Makowski razem z wnukami prezentował koledy kaszubskie w telewizyjnej „dwójce”.

Lider kapeli jest człowiekiem wszechstronnym, najbardziej jednak lubi opowiadać. Stąd też wziął się jego pseudonim sceniczny – „Plëskot”, po kaszubsku ten, który wiele mówi. Jako gawędziarz odbył ponad trzysta spotkań z uczniami szkół nie tylko na Kaszubach, ale i w całej Polsce, kolejnych kilkaset z publicznością, m.in. na festiwalach i przy różnego rodzaju spotkaniach.

– Jestem wesołego usposobienia, skory do żartów – przyznaje. – Wiersze, wice... Zawsze znałem ich sporo. Często sam je wymyślam.

Talent z powodzeniem wykorzystuje w konferansjerce.

– Ciągłe tworzę nowe teksty – kończy. – Nadal jeżdżę po szkołach i opowiadam o życiu na Kaszubach. Ta kapela i to, co robię to całe moje życie. (-)

Kontakt

Tadeusz Makowski - Kapela Plëskota
83-333 Chmielno, tel. 058/684-50-40, 0603-813-528

Jubileuszowe Ludowe Talenty

Rozstrzygnięcie XXXV Konkursu „Ludowe Talenty” odbyło się 3 czerwca w Zielonej Bramie w Gdańsku. Wyjątkowość tegorocznej edycji podkreślał jej jubileuszowy charakter oraz nadanie całemu przedsięwzięciu imienia Izabelli Trojanowskiej, znanej dziennikarki i regionalistki, która przez wiele lat była związana z nim w sposób szczególny.

Komisja konkursowa pod przewodnictwem Edmunda Zielińskiego, prezesa gdańskiego oddziału Stowarzyszenia Twórców Ludowych, z udziałem Ewy Gilewskiej, Katarzyny Kulikowskiej i Barbary Maciejewskiej – przedstawicielek Działu Etnografii Muzeum Narodowego w Gdańsku – oceniła 1737 prac. Do finału zakwalifikowały się 463 osoby z 35 ośrodków z województwa pomorskiego. Jak co roku największym zainteresowaniem konkurs cieszył się w Sierakowicach, gdzie przystąpiły do niego 143 osoby. Każdy z uczestników przedstawił po trzy prace z wybranej dziedziny sztuki. Dominowało malarstwo na szkle (462), ceramika (426), haft (207) oraz tkactwo (162). Mniej licznie reprezentowane były rzeźby, w tym ptaszki (120), zwijane kwiaty (111), zabawki (87), plastyka obrzędowa (54), plecionkarstwo (42), intarsja (33), rogarstwo (3). Po długiej przerwie ponownie pojawiły się instrumenty muzyczne (30).

Wytwory młodych artystów oceniano w trzech kategoriach wiekowych: do 10 lat, 11-15 lat i 16-21 lat. Pod



Młodzi artyści i goście podczas finału konkursu Ludowe Talenty w Zielonej Bramie w Gdańsku

Fot. Krzysztof Kowalkowski

uwagę brano nawiązywanie do tradycji kaszubskiej w formie, kompozycji, tematyce, ornamentyce, użytych surowcach oraz estetykę wykonania.

– Każdy konkurs ma to do siebie, że są zwycięzcy i zwyciężeni, zadowoleni i zawiedzeni – powiedział Edmund Zieliński. – Ocena prac sprawiła nam wiele trudności. Nie jest łatwo, z setek, o podobnym poziomie, obrazów malowanych na szkle wyłować najlepsze.

Prezes gdańskiego STL zwrócił uwagę na dużą ilość wyrobów w glinie, co świadczy o coraz większym zainteresowaniu dzieci i młodzieży tą dziedziną sztuki. Świetnie spisali się autorzy wianków i wiązanek z kwiatami z bibuły, sięgając do starej tradycji woskowania. Piękne były szmaciane lalki, maski obrzędowe, w których dostrzec można było wpływ warsztatów przeprowadzonych w Starbieniu przez Oddział Miejski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku we współpracy z Kaszubskim Uniwersytem Ludowym. To samo można powiedzieć o tkactwie i hafcie. Widać nauka nie poszła w las, a kontynuowanie tego rodzaju szkoleń jest ze wszech miar potrzebne.

Wśród finalistów byli i tacy, którzy nagrody zdobyli w kilku dziedzinach. Ci najlepsi to uczniowie Szkoły Podstawowej im. Floriana Ceynowy w Sierakowicach, z którymi zajęcia prowadzi Bożena Skierka.

Nagrodzeni i wyróżnieni oraz opiekunowie wszystkich uczestników otrzymali dyplomy i niespodziankę finału – książkę „Ludowe Talenty 1971-2006”, opracowaną przez Tomasza Szymańskiego, a wydaną przez oddział gdański ZKP i Instytut Kaszubski specjalnie na tę okazję. Innymi prezentami były seans w multikinie Krewetka oraz obiad w restauracji Sfinks.

Ogłoszenie wyników urozmaicił występ Kaszubskiego Zespołu Pieśni i Tańca „Marzębińcz” z Szymbarka.

Koordinatorami konkursu byli Iwona Wolska i Tomasz Szymański – prezes oddziału ZKP w Gdańsku. (-)

Krzysztof Kowalkowski

Patronat honorowy

Jarosław Sellin – wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, Jan Kozłowski – marszałek województwa pomorskiego, Paweł Adamowicz – prezydent Gdańska, Andrzej Ceynowa – rektor Uniwersytetu Gdańskiego, Artur Jabłoński – prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Wojciech Boniślawski – dyrektor Muzeum Narodowego w Gdańsku

Patronat medialny

- TVP 3 • Radio ESKA NORD
- Radio Kaszëbë • „Dziennik Bałtycki”
- „Pomerania”

Sponsorzy

- Koncern ENERGA Gdańsk S.A.
- Urząd Marszałkowski Województwa Pomorskiego
- Urząd Miejski w Gdańsku
- Grupa LOTOS
- SAUR NEPTUN Gdańsk S.A.
- Morski Port Gdynia
- Agencja Rozwoju Pomorza CIECH S.A.
- Bank Millennium
- PENTA Systemy Komputerowe
- Fundacja Cepelia
- Ochrona ARES Service
- Piekarnia Pellowski



W kategorii haftu ocenionych zostało 207 prac!

Fot. Krzysztof Kowalkowski

Dotknięty smugą cienia

„Szwagra mō kōzdi, abò prawie kōzdi, ne tej czemù jō bē ni miōł miec”. Bò jō jem „kōzdy” albo „prawie kōzdy”.

O każdym albo prawie każdym jest „Tobaka dlō Kaszëbów” Jana Szutenberga. Nie znaczy to, że możemy swoje życie wykreślić według jakiegoś szablonu. Nie, bo „żecégò lëdzczégò nie jidze ustawic wedle jaczis statë regutë”. Ale każdy z nas w pewnym momencie życia czuje dotyk smugi cienia. Wówczas godziny, dni, miesiące i lata przyspieszają swego biegu, a myśli wyhamowują to, zdawałoby się, zawrotne tempo i wydobywają zdarzenia sprzed lat, o których wydaje się, że miały miejsce „le mōli sztërk czasu temu...”. Autor opowiadań ma świadomość, a raczej intuicję, że przekroczył już pewną granicę czasu. Nieuchwytny był moment jej przejścia; teraz wzrok częściej kieruje się wstecz. Stworzony przez pisarza narrator powtarza: „Dobrze bōczã jak to bēło, czej jō...” – tę strukturę wypowiedzi wypełnia zawsze inną treścią. Podobnego dopełnienia wymaga powtarzająca się fraza: „Òd nógò czasù minęło ju... (tyle)..lat”.

Ale wielkie są tutaj tylko liczby wskazujące na upływ czasu, bo dotykalna i odczuwana rzeczywistość każe Janowi konstatować: „czas ùcëkòł chùtuszko”, „... to sã minãło tak, jakbë to wczora bēło”, „... czas nie stoi w mōlu”. Jan wie, że nie każdemu z nas czas płynie jednakowo. Powiada: „Nen czas sã przikrzil i bël baro dlūdźi, czej jō bël taczim sobie bënienkëm, dwanòsce, szesnòsce lat stòrim”. Bywają nawet okoliczności, które sprawiają wrażenie, że „czas przëstanãł w mōlu”. Później Jan mówi, że „trzedzescelatny czas żeniebnego zwiãzku zminãł sã jak jeden dzëń”. Jaki jest ten świat, ku któremu zmierzają nasze myśli? O ludziach tamtych dni czytamy: „Dzys nie żëje ju Tónków tatł, nie żëją jegò dobrze za-



pamiãtóny sãsëdze”. Odszedł z tego świata prawie każdy. Wiemy, że czas bardzo dokładnie wymaże słówko „prawie”. Ten świat to miniona rzeczywistość przeniesiona pamięcią z młodości w lata dojrzałe albo narysowana w wyobraźni słowami ludzi starszych. Często spotykamy w „Tobace dlō Kaszëbów” zwroty: „Mój stark gōdiwòł”, „stark (...) wiele razë gōdòł” czy „stari chłopë tak gōdiwalë”. Rysuje się tu świat, który przemawia do następujących po nim pokoleń bogactwem porzekadeł, będących emanacją ludowej mądrości. Przytoczone w książce anegdoty, opowiedziane historie są egzemplifikacjami ludowych (i nie tylko takich) powiedzeń, którymi – odnosi się takie wrażenie – autor się zabawia:

- trochę nostalgicznie, a trochę stawiając opór zapisowi w dowodzie osobistym, twierdzi, że „storim je le nen, chtëren zabòczil o swoji młodoce”;
- z przekąsem wobec losu i na przekór oczywistości głosi, że „biëdnemu też nìcht nie mōże zakòzãc bōgato żëc”;
- teologicznie usprawiedliwiając brak gorliwości do nadwerężania swych sił, powiada:

„Do cãżci robòtë Pón Bóg òia stwòrzil”;

- mającym puste trzosi na pociechę, mówi: „Żele nìc ni mōsz, tej tobie nìcht nìc nie wezmie”;

- pamiętając o konieczności troski o zbawienie wieczne, nieśmiało rehabilituje pogańsko-rzymskie „pecunia non olet” przekonując siebie i nas: „Urobiã na to dësznë zbawienië to bël bël ten nòprawszi zamiar, ale tak lëtëchno pòchnãc za dëtuszkama nie je nìczim brëdëczim”.

Przytoczone tu porzekadła (jedne z wielu) pokazują, jak w nastrój towarzyszący refleksji o upływającym czasie wkrada się humor – niekrykliwy, życzliwy, będący rezultatem umiejętności narratora zdystansowania się do swojej osoby i do najbliższego świata. Prezentując siebie, Jan przekonuje czytelnika:

„Jō jem też chłopem baro pòstawnym i statecznym a tak pròwdã rzec, nòpiãkniëszim w Dąbrowie; wiedno le tej, żele ny drëdźi chłopci są gdes wëjchónë”.

Narrator ukazuje siebie w małżeństwie jako postać wyraźnie drugoplanową. Tak jest i z innymi męzczyzna-

mi, mimo podejmowanych od czasu do czasu nieśmiałych prób wybicia się na niepodległość. Jest to problem, można powiedzieć, odwieczny. Jego roztrząsanie w jednym z opowiadań zaczyna się od słów: „Stark też wiele razy gōdòł...” (s. 4-5).

Mimo że nie można tego akurat fragmentu zaliczyć do dydaktycznie budujących, należy powiedzieć, że cała książka jest pochwałą małżeństwa i narzeczeństwa. Humor, który towarzyszy niektórym opisom sytuacji, nie deprecjonuje istoty małżeństwa. Temat ten jest potraktowany bardzo poważnie. „Żeniebny stón to nie je zòbówka, chtëna jak sã naprzikrzi, tej szmërgnie jã w nòrt, to nie je bójka, chtëna mō zaplanowónë zakùczënië”.

Wszystko to dzieje się w Czasie, który wydaje się być głównym tematem prezentowanego tomu opowiadań. W Czasie, którego cały szmat jedni widzą przed sobą („Të mōsz jesz całë żëcë przed sobą...”), inni pozostawili go w tyle i dostrzegają już linię mety („Kò nóm ten czas sã przëblëżiwò, że czej chcëmë czej nie chcëmë, to mûszimë z tegò świata schodac”). Starsi kończą swą drogę, a młodzi chodzą „dali pò przedërchòny stëgnie, chtëmã przedëptele jëma jich ojcowie”. Czas stawia wymagania. Winniśmy zharmonizować swoje działania z pulsem czasu. Świadomość tego obowiązku towarzyszy człowiekowi od wieków.

W Księdze Koheleta czytamy (3, 1-17)

„Wszystko ma swój czas, i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem, Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wyrwania tego, co zasadzono, czas zabijania i czas leczenia, czas burzenia i czas budowania, czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płasów, czas rzucania kamieni i czas ich zbierania, czas pieszczot cielesnych i czas wstrzymywania się od nich, czas szukania i czas tracenia, czas zachowania i czas wyrzucania, czas rozdzierania i czas zszywania, czas milczenia i czas mówienia, czas miłowania i czas nienawiści, czas wojny i czas pokoju. (...)

na każdą bowiem sprawę i na każdy czyn jest czas wyznaczony”.

Krystyna Muza snuje poetycką refleksję:

„Je czas wzéraniõ w szpédziel
Je czas zbiéraniõ muszel
Je czas zdejmowaniõ gwíôzd
Je czas żniwieniõ mészli
Je czas jachaniõ w dokã
Je czas rzucaniõ kamieni
Je czas malowaniõ na piõsku
Je czas na przebiéranie w wãsach
Je czas...”

Mieszkańcy Janowej Arkadii, Dąbrowy, potrafią sprostać wymaganiom Czasu:

„Na czas bëła robota rozpóczińonõ
i na czas kùńczonõ. Na czas mûszało
bëc sònë i na czas rozpócziãtë
zbiorë”.

Trzeba słuchać Czasu, bo „ziemia
żele mõ rodzëc muszi bëc dopiesz-
czonõ i wiele razy zmiészonõ z pòtem
kaszëbszczegò gbùra”.

Jest też czas na wdzięczność ziemi,
wdzięczność przyrody. W opowiadaniu
„Dąbrowa” czytamy: „W Dąbrowie są
co kawaluszk stówczci, krzoczczci, na
kãpie wrzosa mòże tu narobiać
celskõ ùłożëc a to w lubòtnym cénii
abò przë słunuszkù i sòm nie wiész
czedë sã zdrémniész”. A „wieczór-
këm do spikù żabë kòlibiõnkã tobie
zanócã, że ùsuniesz sòm nie wiész
czedë”. Zda się, że słyhać szmer
czamoleskiej lipy –

...a ja swym cichym szepciem sprawić
umiem snadnie,
że człowiekowi łacno słodki sen
przypadnie”.

Wieczorem wycisza się cała wieś:

„Buten zrobiło sã ju smroczo,
domócë ptòctwò chãtno wchòdało
w swòje môle, żebe jész përzinkã
pógùtorzëc. Krowë ze smugów bëłë
wnëkónë w chlëw i czëc sã dało jak
chcëwie pòpijają wòdã z pòjidłòw.
Wszëtkò chòwa bëła ju zarechtowónõ
do spikù”.

Cytowane wyżej fragmenty są świadectwem językowego mistrzostwa autora opowiadań. Spowolnienie u schyłku dnia tempa wiejskiego życia oddają dwa zdania wielokrotnie złożone, kryjące w swoim rozciągniętym rytmie wieczorne zmęczenie. Po nich następuje końcowe zdanie pojedyncze: nadchodzi sen; koniec dnia.

Godna uwagi jest też umiejętność autora budowania syntetycznej narracji poprzez stosowanie mowy pozornie zależnej. Oto przykład: „Jak le më w chëcz do Staszka wleżlë, tej pierwszõ gòdka, niech mdze pòchwãlony Jezës Christus, a tej gdzie tã bëł, w jaczich stronach, jak terõska sã czëjész i tak długo i długo”.

Perłą tego zbioru jest, w moim odczuciu, opowiadanie „Ò kòwòlu”. Oczywiście, ktoś drugi wyłowiłby za pewne inne. Rzecz dzieje się poza granicą czasu, w ojczyźnie Pana z Wëżawów, jak pięknie nazywa Stwórcę Jan. Jako że trudno nam wyobrazić sobie rzeczywistość, w której czas nie istnieje, do myślenia o niej wprowadzamy schematy, którymi ogarniamy doczesność. Zresztą w przywołanym opowiadaniu część wydarzeń toczy się za ziemskiego życia bohaterów. Główną postacią utworu jest dąbrowski kowal Wica León. Był fachowcem wysmienitym. Jan – jako chłopak – lubił zachodzić do jego kuźni i przypatrywać się kowalskiej pracy. Za swój trud nie żądał wysokich opłat, a potrafił zrobić więcej od innych. Takiego rzemieślnika zapagnął Pan Bóg mieć u siebie. Powołał więc go do wieczności, by tam naprawiał niebiańską bramę i ogrodzenie. Istnieje podejrzenie, że do sprowadzenia kowala w niebiosy przyczynił się ojciec Jana, który wcześniej trafił do wieczności, a nie spotkawszy tam nikogo z dobrych znajomych, odpowiedział św. Piotrowi, kogo chętnie powitałby w gronie zbawionych.

Opowiadanie niesie ważne dla nas przesłania. Wskazuje np. na to, że każdy człowiek winien rozpoznać swoje powołanie i je realizować. Tytułowy bohater, mimo że mieszka na wsi, nie ma serca do uprawy ziemi. Jego przeznaczeniem jest kowalstwo. Z kolei ojciec Jana – zamiłowany gospodarz – uciekał od wszelkich zajęć technicznych. Nawet spotkany w niebie św. Józef, kiedy narzekał na słabą kondycję danego mu do pracy osła, usłyszał od kowala: „Jo, jo, Józefkù, ceslã to tã bëł baro dobrim, ale na chòwie tã sã baro nie znajesz”.

Opowiadanie „Ò kòwòlu” jest dla mnie literackim majstersztykiem teologicznym. Kowal właśnie z racji swego mistrzostwa w realizacji po-

wołania dostaje się do nieba, również tatka Jana trafił tam, gdyż był mądrym gospodarzem. Dzieło dobrego życia rozkwita po śmierci:

„Dzys niebnõ brõma je tak wëszëkòwónõ, za jaż blëcëje w parmi-
niach słuńca” (...) „Dzys wszelejaczë
niebnë pòla są dobrze òbrobionë
a pòchnacë kwiòtci roscã nawetka
na ùrzmach”.

Scena, w której Jezus poucza Leona, że jego reakcja na ludzki grzech była zbyt raptowna, impulsywna, mówi o naszych ciągłotach do ferowania wyroków i wymierzania własnej sprawiedliwości oraz o Bożym miłosierdziu. To Boże miłosierdzie skwapliwie starają się pomniejszyć ludzie – kowal i św. Piotr, sami będący grzesznikami, starannie reperując dziury w niebiańskim płocie, aby nikt niepowołany nie zdołał precyzyjnie się do wiecznej szczęśliwości. Dobrze wiemy, że i Piotrowi musiał Bóg wiele przebaczyć, ale Piotr, jak to człowiek, interesuje się grzechami innych.

Jan Szutenberg włada piórem z talentem muzyka i malarza. Do przywołanych wcześniej opisów usypiającej przyrody dołączmy kontrast dźwięku i jego braku przy opisie pracy kowala: „Od wczasnégò rena czëc bëło pòmion jego kòwadła, chtërnë miało taczì wdzãczny głos, jak czejbë jaczì snõżi zwònk bił gdes w kòscele. (...) Pò jego smiercë kòwadło je cëchò i nie kròsy nym pòmionem naszich stròn”.

I wreszcie „perła perły”: niebywale sugestywny obraz namalowany w zdaniu kończącym opowieść – o spotkaniu się w niebie Janowego tatka i dąbrowskiego kowala:

„Czej òb noc miesãdz tak jasno swiëcy, tej dozdrzec jidze jak tatka z kòwòlëm pò niebie szpacérëją”. Ten niezwykle obraz olśnił mnie. Ujrzałem taki w literaturze tylko raz: w „Mistrzu i Małgorzacie” Bułhakowa. Na ostatniej karcie powieści czytam: „Od postania do okna zalega szeroka droga z księżycowej poświaty, wstępuje na nią człowiek w białym płaszczu z podbiciem koloru krwawnika i zaczyna iść w kierunku księżycy. Obok niego idzie jakiś młody człowiek w podartym chitonie (...)”.

Idący z zapalem o czymś rozprawiają, spierają się, chcą się wreszcie porozumieć”.

To idą Jezus i Piłat.

W kulturze ludowej i w literaturze książecz jest przyjaciółm człowieka. W jego poświęceniu śnimy, marzymy... Jego blask dotyka nas też przy lekturze opowiadania Jana Szutenberg, któremu za jego literackie dokonania nisko się kłaniamy. (-)

Tadeusz Lipski

Jan Szutenberg, Tobaka dło Kaszëbów, Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej, Wejherowo 2005

Talenty przez lata

Ludowe Talenty mają już 35 lat. Szmata czasu, w którym zamykają się setki zdarzeń i ludzi z nimi związanych. A wszystko zaczęło się od ogłoszenia w styczniu 1971 r. przez oddział gdański Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego i klub Pomorania konkursu dla młodych twórców ludowych z myślą o Dniach Folkloru Pomorza Gdańskiego. Według pomysłodawców miał on zintegrować początkujących artystów i przyczynić się do spopularyzowania ich sztuki.

Losy przedsięwzięcia toczyły się potem różnie. Po drodze były zakręty historii, problemy organizacyjne i finansowe. Przetrwało ono jednak, wciąż będąc jedną z wizytówek ZKP.

Tegoroczny jubileusz stał się okazją do sporządzenia swego rodzaju remanentu. Za taki bowiem uznać można opracowanie „Ludowe Talenty 1971-2006”. Tym, którym są one bliskie, książeczka z pewnością dostarczy wielu wzruszeń. Zastrzec niemniej należy, że nie jest ona wolna od niedociągnięć.

W podróży w przeszłość może nieco irytować niezbyt przejrzysty układ pracy. Wspomnienia uczestników mieszają się tu z suchymi opisami poszczególnych edycji konkursu, brakuje też staranności edytorskiej. Czytelnik bez trudu dostrzeże m.in. kłopoty z ujednoliceniem pisowni skrótów, nie-

podawaniem nazwisk w kolejności alfabetycznej czy zmieniającą się często formą prezentacji laureatów. Wpadki te po części tłumaczy ogrom i różnorodność wykorzystanych materiałów źródłowych, a także ich niekompletność. Pozostaje mieć tylko nadzieję, że nie przeszkodzą one w przywoływaniu pięknych chwil sprzed lat. (-)

(MA)

Ludowe Talenty 1971-2006, zebrał i oprac. T. Szymański, Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie Oddział Gdański – Instytut Kaszubski, Gdańsk 2006



Seria z grifą – Wilėja

ë Szczodraki

Wędrowizna Region z Gdinie zaczęła wędrowanie książek w tzw. „Serii z gryfem”. Pierwszą publikacją są teksty Floriona Cenów: „Wilėja Noweho Roku” ë „Szczodraki”.

Artiklë ne pò róż pierszy òpublikowónë bëłë w 1843 r. w cządniku „Jutrzenka”. Wtenczas raz z kaszëbską wersją ukôzałë sã dolmaczënczi na jãzëczy rusczy ë pòlsczi. Czëtińc nowëgo wëdaniô, ôkróm nêch òryginalnêch tekstów, môże nalezc dolmaczeniô na jãzëk serbòchòrwacczi (Duszan Październicy) ë òpracowaniô zrëchtowónëgo w dzydniowim kaszëbsczim pisënkù (Róman Drzëdzón). Temù téż z tima pierszima kaszëbsczima dokôzama Cenówë mógã zapòznac sã lëdze, chtërnzy znają jedną z wëżi wëmienionêch słowiańskich gòdków. Wëdanië no je wierã w dëchù Cenówë, chtërnzy chcôł, bë kaszëbsczë tekstë mógłë czëtac téż jinszi Słowianie. Wersjô w nowi òrtografie môże bëc wëzwëskónô na przëmiôr bez szkólnêch regionalistów. Krótczi wstãp do tegò dzëła napisał prof. Jerzy Tréder.



W „Serii z gryfem” ukôzewac mdã sã stôrë tekstë tikającë sã Kaszëbë kaszëbsczëgo jãzëka z jejich nôùkòwim òpracowanim. Dzãka temu mdã òne dostãpnë dlô lubòtników kaszëbiznë, sztuderów a téż szkólnêch, chtërnzy mdã mógłë ne dokôzë wëkòrzëstëwac na lekcjach historii, regionalizmu ë kaszëbsczë gòdczi. W przërichtowanim sã lëstë Aleksandra Majkòwsczëgo (òpracowanië Dariusz Szëmikòwsczi). (-)

Belok

Florion Cenowa, Wilėja Noweho Roku, Szczodraki, Wydawnictwo Region, Gdynia 2006

Ukłony w stronę życia

Ukazał się debiutancki tomik wierszy kaszubskich Ewy Warmowskiej. Autorka pochodzi z Miechucina, mieszka w Bąckiej Hucie w powiecie kartuskim. Z wykształcenia jest nauczycielką wychowania przedszkolnego, absolwentką Podyplomowego Studium Języka Kaszubskiego na Uniwersytecie Gdańskim. Obecnie pracuje jako „szkólna” w Mojuszu i uczy języka kaszubskiego w Szopach. Jak napisano w nocie redakcyjnej, poezję kaszubską tworzy od końca 2003 r., ale ma już na swoim koncie kilka publikacji i jest laureatką nagród w konkursach literackich.

Wiersze E. Warmowskiej są apoteozą życia i Boga. Czuć w nich pochwałę istnienia i człowieczeństwa, charakterystyczną dla liryki ks. Jana Twardowskiego. Poetka zresztą nie ukrywa, że bliski jej jest właśnie ten, który „ostał swóje wierztë/ bë nima w nas òbùdzëc/ to co nôpiakniëszë/ i w co wórt je wierzcë”.

Tytułowy wiersz tomiku „Trapë do nieba” ukazuje istotę fascynacji twórczych autorki – odnajdywanie śladów wielkości Stwórcy w pozornie zwyczajnej codzienności, bliskich krajoobra-



zach. Domowa, pełna kobiecego ciepła poezja, sugestywnie oddaje także awans kaszubszczyzny, od mowy pozamykanej w „chęczech-klótkach”, jak pisał Jan Karnowski, po tę, która „zaprażyła słuńca”. Język utworów bliższy jest żywej mowie mieszkańców środkowych Kaszub, a zarazem bogaty w konstrukcje emocjonalne i intelektualne, wypływające z głębokiej wiedzy o dziedzictwie, na które składa się cała nasza historyczna i współczesna kaszubskość.

„Moja twórczość – wyznaje poetka w słowie wstępnym – przypadła na wiek dojrzały i zaskoczyła mnie jak nagłe przebudzenie”. Lektura „Trapów do nieba” na pewno olśni i porwie niejednego miłośnika poezji kaszubskiej. (-)

Stanisław Janke

Ewa Warmowska, *Trapę do nieba*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin – Bącka Huta 2006

Nad Czarną wodą...

To książka o życiu prostym, jego przemijaniu. Jest wprawdzie niedługa, ale nie powstała jednym tchem. Andrzej Grzyb wiele razy przerywał pisanie, mając wątpliwości co do słuszności jej



tworzenia. Opowieść o trwaniu kilku pokoleń gburkiej rodziny, połączonych postaciami urodzonego w 1901 r. Jana Konrada, ujrzała jednak światło dzienne. Osadzona została w miejscu, które z małej, położonej na wysokim brzegu Wdy, wsi zamieniło się z czasem w miasto – Czarną wodę. Zawiedzie się czytelnik, szukający tutaj wartkiej akcji, choć wielości wątków nie brakuje. Fabuła książki jest tak spokojna, jak spokojne (ale czy nudne?) było życie ludzi nad Czarną wodą, skupione wokół codziennych czynności, z dala od wielkiego świata. Autor z pamięci i niepamięci – bo sięgając zapewne do paru źródeł – wydobywa elementy, z których buduje powszedniość i oświećność „na pogra-

niczu lasów i pól, czasów i regionów, języków i obyczajów”. Opisuje pracę w domu, na roli, rodzinne uroczystości. Przytacza choroby, jakie dotykały niegdyś ludzi i podaje ludowe recepty na ich leczenie. Ukazuje klimat dawnej szkoły, dziecięcych zabaw, zakamarki szczenięcej wyobraźni (np. widzenie przez Jana Konrada wieloryba we Wdzie). Z sentymentem wspomina jak przed laty – gdy nie było jeszcze mediów elektronicznych – spędzano wolny czas. Czytamy więc o grze w skata, wyjściach na potańcówki, spotkaniach z rodziną i sąsiadami, o długich, wieczornych rozmowach w kociewskiej gwarze. Chwile te żyły, nikt tam, gdzie mieszkał od lat, nie czuł się obcy, anonimowy. Miejscem owego bratania się, dyskusji był nie tylko dom, ale i karczma, do której przybywał każdy – czy to stary, czy młody. W spokojnym nurcie wydarzeń pojawiały się w końcu nowinki ze świata. Taką był pierwszy w miejscowości telewizor. Do obejrzenia ruchomego obrazu w domu właściciela – inżyniera chętni byli wszyscy mieszkańcy. Powieść od innych napisanych współcześnie wyróżnia styl – trochę sienkiewiczowski, powodujący wrażenie jakby akcja lektury toczyła się przynajmniej dwa wieki temu. I po nim, i po treści widać zapatrzenie się autora w przeszłość, bez której nie byłoby teraźniejszości i przyszłości. Nie byłoby trwania. (-)

(ij)

Andrzej Grzyb, *Jan Konrad. Siedem żywotów i prawdziwa śmierć*, Wydawnictwo Bernardinum, Pelplin 2006

W hołdzie Profesorowi

Tematyka pomorska na łamach „Przeglądu Zachodniego” nie należy do rzadkości. Pierwszy w tym roku numer czasopisma jest jednak pod tym względem wyjątkowy. Dedykowany został bowiem prof. Gerardowi Labudzie, wybitnemu mediewiście rodem z Nowej Huty pod Kartuzami, który obchodzić będzie 90. rocznicę urodzin.

W kwartalniku znaleźć można m.in. tekst jubilat „Instytut Zachodni przed wyzwaniami przyszłości”, a także artykuły profesorów Marceliego Kosmana „Gerard Labuda – człowiek i dzieło”

oraz Józefa Borzyszkowskiego „Gerard Labuda – Kaszuba z Poznania”. Należy się cieszyć, że jubileuszowa publikacja ukazuje się tym razem z odpowiednim wyprzedzeniem, a nie, jak to często bywa, w „ostatniej chwili”. Urodziny prof. G. Labudy, o czym warto pamiętać, przypadają 28 grudnia. (-)

(MA)

Przegląd Zachodni, nr 1, 2006



Na najlepszej drodze

Obrodziło nam ostatnio pozycjami pół-encyklopedycznymi. Na początku czerwca pojawiło się trzecie – jeszcze ładniejsze, choć w miękkiej oprawie – wydanie wejherowskiej „biblii”



autorstwa Reginy Osowickiej, jednej z najbardziej zasłużonych dla promocji Wejherowa osób. Bieże 500 stron, zawierających prawie 700 haseł, z tego około 440 osobowych, a 250 rzeczowych. W porównaniu z poprzednim wydaniem przybyło 150 nowych, w większości osobowych. Znikło natomiast haseł 10, z których najbardziej mi żal tego poświęconego Feliksowi Muzie i wejherowskiemu seniorom – po prostu szkoda. Kilkanaście haseł zmieniło swe miejsce w szeregu i np. zamiast „Tradycje księgarskie”, mamy teraz „Księgarskie tradycje”. Część starego materiału przeredagowano i włączono do innych haseł lub podano w nowym układzie, np. „Starostwo”. Częściowo wymieniono też i „sformatowano” materiał ikonograficzny, przy

czym ubyłoby wiele atrakcyjnych fotografii. Usunięto zbędną powtórkę hasła poświęconego udziałowi wejherowian w Bitwie o Anglię.

Statystyka nie mówi wszystkiego, bo np. wiele haseł kryje w sobie haselka drobniejsze, ale postęp ilościowy jest oczywisty. Od poprzedniego wydania minęły cztery lata, Wejherowo zmieniło się wielce. W bedekerze pojawiło się sporo nowych twarzy, włącznie z osławionym Ryszardem Kaczyńskim i Dorotą Masłowską, ale są też uzupełnienia spraw z odleglejszej przeszłości. Duża część z nich dotyczy ostatniej wojny; są to np.: „Okupacja”, „Katyń”, „Niemiecka lista narodowościowa” czy „Wejherowianie pod Monte Cassino”. Obraz Wejherowa i spraw wejherowskich stał się niewątpliwie pełniejszy. Czytając niniejsze wydawnictwo czułem, że poznaję inne oblicza miasta – Wejherowo historyczne, Wejherowo artystyczne, Wejherowo rozmodlone i pobożne, a także Wejherowo naukowe, o którym wie się chyba najmniej. Wielkie brawa dla pani Osowickiej, że wyciągnęła to wszystko na światło dzienne. Każdemu miastu życzyć należy kogoś choć w połowie tak ofiarnego, zorientowanego w jego sprawach i pracowitego. Nie dość na tym, bo, jak się dowiadujemy, autorka przygotowuje już nowe wydanie „Bedekera wejherowskiego”, o którym prezydent miasta Krzysztof Hildebrandt pisze we wstępie, że chyba będzie musiała mieć ono postać dwutomową. I jest to właściwie bardzo dobra wiadomość, gdyż jakkolwiek praca R. Osowickiej wydaje się nie być zbyt odległa od ideału, to jednak została jeszcze do pokonania, powiedzmy, ostatnia prosta. Wiadomo poza tym, że praca historyka współczesności nigdy nie ma końca.

A oto, co pozostało do zrobienia. W książce rzuca się w oczy niemal zupełny brak aparatu redakcyjnego. Jest tylko goły spis haseł (postęp w stosunku do drugiego wydania!), ale nie ma żadnego indeksu – ani osób, ani miejsc, ani instytucji. Nie ma odnośników w hasłach, nie znajduje się tu choćby wzmianki o bibliografii tematu, nie ma też bibliografii ogólnej. Wiele pozycji wspomniano co prawda w treści haseł, ale jest to informacja rozproszona. Trudno więc korzystać z pracy pani Osowickiej, jeśli chce się poznać nieco więcej. Układ gniazdo-

wy, który przeważa w hasłach rzeczowych, jest z jednej strony ułatwieniem, ale również – z braku jakichkolwiek wskazówek gdzie co jest – znakomicie informację ukrywa.

Jasne jest dla mnie, że bedeker P.T. Autorki jest dla osób, które o Wejherowie wiele już wiedzą. Nie-tubylec będzie miał kłopoty ze zorientowaniem się w temacie – chyba że opanuje książkę na wrywki. Warto by poprzecznić ją choćby krótką historią miasta, dodać plan i mapę okolic oraz, co ważne, indeksy i odnośniki. Myślę, że wystarczyłoby słać kilkanaście haseł rzeczowych i historycznych, które często są fragmentami dziejów Wejherowa, by otrzymać krótki zarys jego przeszłości.

W kwestii tego, co już jest w treści książki, zastrzeżeń – przynajmniej tematycznych – mam mniej. Dziwi nieco pobieżne potraktowanie Franciszki Majkowskiej i Otylii Szczukowskiej, zwłaszcza w porównaniu z obszernymi sylwetkami obecnych włodarzy miasta, oraz wyjątkowo krótkim portretem samej R. Osowickiej. Najpoważniejszym zaś brakiem jest nieobecność hasła poświęconego Liceum Ogólnokształcącemu im. Jana III Sobieskiego. Omówiony został jej poprzednik – Gimnazjum i Liceum im. Sobieskiego, Stowarzyszenie Absolwentów LO, ale ogólniak jakoś wypadł. Życzyłbym sobie też osobnego hasła dla „Pasji Kaszubskiej”, wspomnianej kilkakrotnie, oraz dla dawnych, jak i obecnych patronów ulic. Warto by wiedzieć, kim byli Kropidłowska, Łęgowski, Mostnik czy Waśkowski, co wspólnego z grodem Wejhera mieli Krofey i Fenikowski oraz Trautman, dawny patron obecnej ul. Puckiej. Tuszę, że nie zaburzy to nieco hagiograficznego tonu książki ani obrazu Wejherowa jako miasta, gdzie niemal nie zdarzają się „plajty, samobójstwa, podpalenia” (Reymont). A taki właśnie obraz wyłania się z bedekera.

Skupiając się na sprawach redaktorsko-technicznych recenzowanej pozycji, tonację trzeba, niestety, zmienić na ciemniejszą. Na szczęście praca R. Osowickiej napisana jest prozą, a nie pseudo-slangiem encyklopedycznym, więc osoby o silnych bezpiecznikach będą mogły ją czytać z pożytkiem, a nawet z pewną przyjemnością. Obawiam się jednak, że pozo-

stałym będą przeszkadzać rozmaite niedoróbki, a to: pospolite niedopowiedzenia w kwestii kto kogo komu i z kim, częste zbitki zdań o różnych podmiotach domyślnych, istna katastrofa interpunkcyjna oraz zalew literówek. Być może czteroosobowa ekipa redakcyjna walczyła dzielnie do końca, ale rozgrywkę z drużyną chochlika drukarskiego... przegrała. Dużo jest nieuzasadnionych powtórek, często też informacja o danej osobie czy obiekcie jest rozproszona po różnych hasłach i nie występuje w hasle właściwym, np. hasło „Judycki” w ogóle nie wspomina o tzw. mapie Judyckiego, która ma swoje osobne wyjaśnienie pod literą M. Za to hasło poświęcone wizycie w mieście przyszłego papieża znajduje się – jako „Karol Wojtyła w Wejherowie” – pod K, gdzie chyba nikt nie będzie go szukał.

Oprócz takich nonsensów, sporo jest błędów rzeczowych. Napisane jest np., że prof. Borzyszkowski zdał maturę i rozpoczął studia już w pierwszym roku swego życia (1946). Dodałoby też dziesiątki nowych literówek i pomyłek. Czytamy więc np. o „świeceniach” kapłańskich, „poczytalności” prasy, „rozrachunkach” ulicznych itp., itd. Dużo przykrych błędów znalazło się w nazwach miejscowości i nazwiskach; rekordzistami są: Mauthausen (trzy wersje) i Majkowski (m.in. Makowski, Majakowski). Również samo Wejherowo kilkakrotnie pisane jest z błędami. Wniosek jest prosty: niedostatecznie sprawdzono tekst książki przed wydaniem. Szkoda, bo po raz kolejny pośpiech i niekompetencja zepsuły bardzo szlachetny i wspaniały zamiar. A przecież ewentualne wątpliwości można sprawdzić w innych częściach pracy pani Osowickiej (takoż w poprzednich jej wydaniach!). Poprawne nazwy miejscowości są w atlasach, nazwiska w encyklopediach lub w książce telefonicznej, wyrażenia obcojęzyczne – wiadomo gdzie, a wszystko nie powinno trwać więcej niż tydzień. Nie rozumiem więc, dlaczego sprawę tak „położono”. Trudno, stało się.

Życząc autorce jak najlepiej, poczekajmy na następne wydanie. (-)

Śławomir Cholcha

Autor dziękuje Bibliotece Publicznej w Bolszewie.

klëka

Burczybas 2006



W dniu przeglądu Wierchucinio mieniło się od kolorowych strojów kaszubskich.
Fot. Radosław Kamiński

Oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Wierchucinie zorganizował 4 czerwca II Przegląd Dziecięcych Zespołów Regionalnych „Burczybas”. Wodbywając się pod patronatem marszałka województwa pomorskiego Jana Kozłowskiego imprezie wzięły udział grupy z powiatów puckiego, wejherowskiego i lęborskiego.

Przegląd rozpoczął się od przemarszu przez wieś do kościoła uczestników z towarzyszeniem miejscowej orkiestry strażackiej. Mszę św. z kaszubską liturgią słowa w intencjach beatyfikacji Jana Pawła II, ks. biskupa Konstantyna Dominika oraz o pomyślność i błogosławieństwo dla zespołów regionalnych i ich opiekunów odprawili ks. Marian Miotk, ks. Tadeusz Knut i ks. Tomasz Juchniewicz.

Na Placu Kaszubskim występy zapowiadali Jadwiga Piernicka i Piotr Ciskowski. Poprzedziło je odczytanie listu marszałka województwa do organizatorów.

Scena i miejsce wokół niej mieniły się od pięknych, kolorowych strojów kaszubskich. Plac rozbrzmiewał radosnym śpiewem 261 dzieci, które przyjechały na przegląd. Po raz drugi było ich co najmniej tyle. Świadczy to o żywotności kaszubszczyzny w szkołach i wielkim zaangażowaniu nauczycieli.

Gościem przeglądu był Jerzy Walakus z Hopowa, twórca regionalny. Prezentował on wykonywane przez siebie instrumenty ludowe: burczybas, diabelskie skrzypce i parłeczki. One też były nagrodami dla zespołów.

Występy oceniało jury w składzie: Romuald Łukowicz – przewodniczący, Radosław Kamiński i Piotr Ilnicki. Pierwsze miejsce zajęł Zespół Pieśni i Tańca Kaszebskô Rodzëzna z Lini. Drugie zdobyły Dębogórskie Kwiatki ze Szkoły Podstawowej w Dębogórze. Trzecie zaś – Modraki ze Szkoły Podstawowej w Krokowej. Puchar starosty powiatu lęborskiego otrzymał Zespół Pieśni i Tańca Ziemia Lęborska, a puchar starosty puckiego przyznano dziecięcemu zespołowi regionalnemu Nasze Stronë z Wierchucina. (-)

Jadwiga Kirkowska

Szrederów siła



Piknik na ranczo budził zainteresowanie weekendowych turystów.

Fot. Piotr Dziekanowski

Od wspólnego śpiewania rozpoczął się 10 czerwca na „Rancho u Bogusia” – czyli Bogusława Szroedera, syna seniora rodu Stanisława w Kłęcznie – szósty już zjazd tej rodziny. Nieprzypadkowo

wśród piosenek znalazły się „Stëdnicczë j e z o r a , stëdniczi las” ks. Antoniego Pęplińskiego. Matka słynnego duchownego pieśniarza, Justyna, pochodziła bowiem ze Szrederów.

Owo śpiewanie roznosiło się echem po spokojnej tafli kłęczneńskiego jeziora. A że pogoda była piękna, piknik budził zainteresowanie weekendowych turystów.

Na spotkanie przybyło ponad sto osób, w tym licznie dzieci. Nabożeństwo w intencji rodziny odprawił stały gość zjazdów ks. Roman Skwiercz z Gdańska, określany zażyłe „szrederowym Remusem”. Były też konkursy, prowadzone przez parochianina Jaromira Szroedera.

Na dziedzińcu rancza senior Stanisław Szroeder i jego bratanek Antoni ze Słupska wręczali uczestnikom egzemplarze wydanej na tę okazję „Opowieści o rodzie Szrederów”. W książce, zawierającej wiele zdjęć z poprzednich zjazdów, umieszczono bogatą dokumentację genealogiczną rodu, zbieraną przez lata przez nestora Stanisława. Pokazano, cytując artykuły prof. Edwarda Brezy, jak bogate są dzieje nazwiska, pisanego odmienne w różnych wiekach w Niemczech i w Polsce. Wydawca zamieścił także herby. Jeden z nich, nadany Eljaszowi Schröderowi w 1658 r. przez króla Jana Kazimierza, znalazł się na pierwszej stronie okładki.

Na przyszlóroczne spotkanie zapowiedziano ustawienie przy rodzinnej kaplicy polnego głazu, upamiętniającego męczeńską śmierć 1 kwietnia 1943 r. w berlińskim Moabie kłęczneńskiego soltysa, działacza kaszubskiego, Antoniego Schrödera. Naziści nie oddali jego zwłok rodzinie, dlatego specjalny wysłannik przywiezie z Moabitu garstkę ziemi, by umieścić ją pod „głazem Antoniego”. (-)

Jerzy Dąbrowa-Januszewski



Uczestnicy zjazdu otrzymali egzemplarze książki o swoim rodzie.

Ołtarz nareszcie stateczny



Sierakowicki ołtarz szybko stał się symbolem miejscowości. Dumni z niego włodarze (na zdjęciu wójt Tadeusz Kobiela) nie szczędzą sił i pieniędzy na jego utrzymanie.

Fot. Marek Adamkiewicz

W połowie czerwca zakończyły się prace przy Ołtarzu Papieskim w Sierakowicach. Polegały one na ustabilizowaniu wielotonowej konstrukcji.

– Ołtarz osadzony był na zbyt miękkim, torfowym podłożu i musieliśmy zapobiec jego dalszemu osadzaniu – mówi Tadeusz Kobiela, wójt gminy Sierakowice.

Koszt całej operacji zamknął się w granicach 30 tys. zł. To niewiele zwąwszy na zainteresowanie, jakim cieszy się wśród mieszkańców i turystów ta wyjątkowa pamiątka po wizycie Jana Pawła II na Pomorzu w 1999 r. W ocenie włodarza konstrukcja nie będzie wymagała w najbliższym czasie przeprowadzania nowych robót. (-)

(MA)

Jubileuszowo w Pelplinie

Na początku czerwca pelplinianie tradycyjnie już wspominali wizytę przed siedmiu laty w ich mieście Jana Pawła II. Tym razem rocznicowe obchody miały szczególny charakter. Zbiegły się bowiem z jubileuszem 75-lecia nadania Pelpliniowi praw miejskich oraz 170. rocznicą powstania Collegium Marianum.

Główne obchody odbyły się 3 czerwca. Wzięli w nich udział m.in. arcybiskupi: Tadeusz Gocłowski, Henryk Muszyński, Edmund Piszcz oraz biskupi: Ryszard Kasyna, Wiesław Mering, Andrzej Suski, Józef Szamocki, Jan Bernard Szlaga. Obecni byli również wicemarszałek Senatu Maciej Płażyński, wojewoda pomorski Piotr Ołowski, przedstawiciele władz samorządowych.

W programie obchodów znalazła się uroczysta sesja w auli Wyższego Seminarium Duchownego, podczas której byłemu sekretarzowi Jana Pawła II, abp. Stanisławowi Dziwiszowi, wręczono tytuł honorowego obywatela miasta. Przyjmując wyróżnienie metropolita krakowski zapewnił, że Pelplin zawsze będzie bliski jego sercu. Po spotkaniu poświęcony, a następnie wmurowany został kamień węgielny pod aleję Jana Pawła II. W przyszłości aleja ta połączy miasto z miejscem sprawowania w 1999 r. mszy św. przez papieża-Polaka. Aktu tego dokonał nuncjusz apostolski, abp. Józef Kowalczyk. Głównym punktem rocznicowych obchodów była msza św. odprawiona pod przewodnictwem abp. S. Dziwisza. W jej trakcie metropolita krakowski przywołał słowa Jana Pawła II, apelując zarazem, by Polacy nie dawali złego świadectwa o swoim narodzie i nie wstydzili się swoich korzeni. Na zakończenie poświęcono nowy sztandar Collegium Marianum. (-)

(red.)

Jidą w przód z kaszëbizną

Piękna pogoda, mimo zupełnie innych prognoz, dwadzieścia kaszubskich pocztów sztandarowych, liczne delegacje, tłumy uczestników – tak było 18 czerwca na uroczystości poświęcenia stancyi oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Baninie.

Oddział istnieje zaledwie dwa lata, wcześniej jednak równie długo funkcjonował jako klub. W tym czasie osiągnął wiele sukcesów.

– W budowaniu świadomości kaszubskiej najważniejsza jest praca organiczna – powiedział prezes partu Eugeniusz Pryczkowski. – W tym celu wiele wysił-

ku wkładamy w nieustanne nauczanie języka kaszubskiego i edukację o Kaszubach. Bardzo ważne są też symbole i wzory do naśladowania. U nas są to biskup Konstantyn Dominik, którego obraz wisi z naszej inicjatywy w kościele, Jan Trepczyk, patron szkoły w Miszewie, oraz ks. prałat Józef Bigus, którego imię nosi placówka w Baninie.

Właśnie ta postać w sposób szczególny została tego dnia uhonorowana. W niedzielnej sumie, odprawionej pod przewodnictwem dziekana żukowskiego ks. prałata Stanisława Gackowskiego i ks. prof. Jana Perszona, dziekana Wydziału Teologii UMK w Toruniu, kilkakrotnie wspomniano budowniczego banińskiego kościoła.

– Pón Bóg zasól jegò żëcé w cãczim czasie, straszò wójna swiatowò, niewòła, prawie szesc lat lagru w Stuthoffie, Sachsenhausen – Oranienburg i na kùńcu w Dachau – mówił ks. Jan Perszon, który tuż po homilii poświęcił oddziałowy sztandar. – Jak kłos w parminiach słuńca, jak Królestwò Bòżé w dzejaniach swiata i lëdztwa, tak òn wiedno rozmòdlony, òdemkli na lëdzy, prosti i ùbòdżi ról w juwernoce do Christusa.

Dziekan żukowski poświęcił natomiast obelisk dedykowany pamięci prałata Bigusa, który umieszczony został między kościołem a szkołą.

Kulminacyjnym punktem uroczystości było przekazanie sztandaru z wizerunkiem Królowej Kaszub z Sianowa, dzieła Ingi Mach. Dokonał tego prezes



Kulminacyjnym punktem uroczystości było przekazanie sztandaru z wizerunkiem Królowej Kaszub z Sianowa, dzieła Ingi Mach. Dokonał tego prezes ZKP Artur Jabłoński na ręce banińskiego prezesa. Fot. ze zbiorów oddziału ZKP w Baninie

ZKP Artur Jabłoński na ręce banińskiego prezesa.

Podczas spotkania odczytano nową uchwałę oddziału, na mocy której powołana została Biblioteka Kaszubska. W dokumencie czytamy: „Biblioteka ma charakter ogólnokaszubski. Gromadzi książki w języku kaszubskim oraz pisane w innych językach o tematyce kaszubsko-pomorskiej, jak również materiały prasowe, audiowizualne, etc.”. Inicjatorami jej powstania są m.in. pochodząca z Rębichowa s. Honorata Pettkę oraz dr Janusz Kowalski z Gdańska.

– To znakomita inicjatywa, wybiegająca daleko w przyszłość. Rzecz tę należy rozpropagowywać i realizować. Ja już zdecydowałem o przekazaniu tutaj swoich kaszubskich zbiorów – podkreśla Janusz Kowalski. (–)

(ja)

Moja Pomorska Rodzina



Dziewięćcie drzewo genealogiczne Łukasza Bojke z Gimnazjum nr 1 w Gdańsku
Fot. Krzysztof Kowalkowski

W Urzędzie Miejskim w Gdańsku 19 czerwca odbył się finał konkursu Moja Pomorska Rodzina, zorganizowanego po raz pierwszy przez oddział Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Gdańsku i UM. Uczestniczyły w nim gdańskie gimnazja nr: 1, 4, 19, 20, 27, 48, z których po szkolnych eliminacjach wpłynęło 15 najlepszych prac w kategorii „Drzewo genealogiczne” i jedna w kategorii „Saga rodzinna”.

Jury konkursu, którego przewodniczącym był Tomasz Szymański, prezes

oddziału gdańskiego ZKP, a członkami Stanisław Flis – prezes Stowarzyszenia Archiwistów Polskich, Krzysztof Kowalkowski – sekretarz oddziału ZKP i Iwona Kossakowska – przedstawiciel Wydziału Edukacji Urzędu Miejskiego w Gdańsku, analizując prace w kategorii „Drzewo genealogiczne” stwierdziło, że są one w zasadzie przedstawieniem korzeni rodziny. Ponieważ główna idea konkursu została jednak spełniona, komisja dokonała ich oceny. Pierwsze miejsce przyznano Łukaszowi Bojke z Gimnazjum nr 1, drugie – Aleksandrze Zarębie z Gimnazjum nr 48, a trzecie Alicji Lisius z Gimnazjum nr 1. Nagrody ufundowane przez władze Gdańska i oddział ZKP wręczyli wiceprezydent miasta – Katarzyna Hall oraz jurorzy.

W kategorii „Saga rodzinna” nie było klasyfikacji, ponieważ wpłynęła tylko jedna praca. Niemniej autor tych słów, doceniając wysiłek Wojtka Kledzika włożony w jej przygotowanie, wręczył mu jako nagrodę indywidualną jedną z napisanych przez siebie książek.

Kolejne edycje konkursu zostaną poprzedzone spotkaniami z organizującymi go w gimnazjach nauczycielami. Pozwoli to na przybliżenie zasad tworzenia drzewa genealogicznego i rodzinnej sagi.

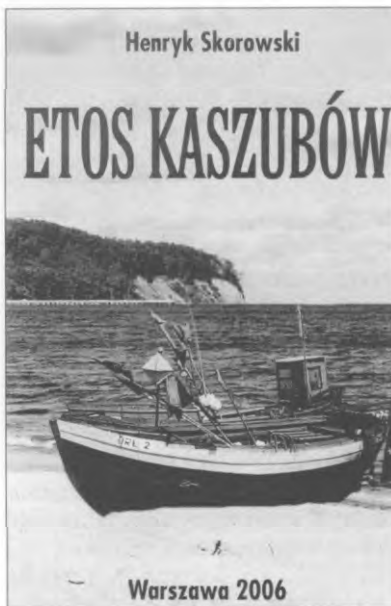
Nagrodzone i wyróżnione prace zostały wystawione na dwa miesiące w sali nr 107 Urzędu Miejskiego. (–)

Krzysztof Kowalkowski

Wiôłgówieskô kònfereńcjô regionalistów

Etos Kaszëbów w lëteraturze, a òsobliwie twórczoscë Augustyna Necła, bëł przewodną témą III Kònfereńcjë Dlô Szkólnëch Regionalistów, jakô òdbëła sã 19 ò 20 maja we Wiôldzi Wsë. Téma na zrzeszónò je z Necłowszczim Rokã, jaczi fejrowóny je w Pùcczim Pòwiece.

Ûczestnicë kònfereńcjë mòglë wësłëchac dwóch referatów namienionëch dokòzóm „pisòrza spòd rozewszci blizë”. Ksądz prof. Henrik Skòrowszci gòdòł ò etose Kaszëbów zawartëch w ksążkach A. Necła. Promòwòł



tëż swòją prôcã pt. „Etos Kaszubów w twórczosci literackiej Augustyna Necła”. Zòs directòr Mùzeùm Pùcczi Zemi Mirosłòw Kùklik gòdòł ò wòrtnoszczë necłowëch tekstów w etnograficznëch badérowaniach. Òkróm tegò ò kaszëbszczim swiece w ksążkach Annë Łajming referat wëgłoszëła dr Adela Kuik-Kalinowskô, a red. Stanisłòw Janke òpòwiòdòł ò dzysdniowi kaszëbszczi lëteraturze. Dzel kònfereńcjny prowadzëła òrganizatòrka zéńdzeniù directòr Pòwiatzowi Biblioteczki w Pùcku Aneta Szopny.

Z prozą Necła mòżna téż bëła zapòznac sã òbez binã. Dзецë z chłapòwsczi szkòlë, pòd czerenkã Aleksandrë Pietrzak ë Jirenë Ceynowë, przedstawiłë czile bòjków napisónëch przez negò sławnégò mieszczëńca jeich wsë.

Pierszi dzén zéńdzeniù zakùńczony òstòł kaszëbską biesadã, na jaczi ùczestnicë, przë zwãkach mùzyczki w wëkònanim karna Kaszubianki z Wiôldzi Wsë, mòglë pòdiskùtowac ò dzysdniowi kaszëbiznie, ë pòszmakac dobrégò zjèstkù.

W sobòtã, 20 maja, òdbëła sã réza szlachã zëcégò autora „Okrëtników spòd Nordowej Gwiazdy”. Bël to praktyczny dzél kònfereńcjë. Nòprzód, pòd czerenkã Mirosława Kùklika ë syna pisòrza, Jana Necła, ùczestnicë zwiedzëlë Chłapówò ë prowadzãcy do mòrza wiłòz Rudnik. Pòtémù òstalë złożonë kwiatë na grobie

pisôrza, chtërny je pòchówóny na småtôrzu we Wiôldzi Wsë. Dali szkółny zwiedzëlë Hël, gdzie Necel robił przed II światową wojną w Mòrszci Stacji. W jastarnieccim kinie odbël sã pòkòz filmù „Kaszëbë” z 1971 r., w jaczim główną rolã grôł Jan Piepka.

Òrganizatorama latosy kònferencjë bëłë: Pòwiatowô Biblioteka Pùblicznô w Pùcku, Mùzeum Pùcczi Zemi m. F. Ceynowë, Éwa Kòwnackô – człónk Zarządë Pùcczégò Pòwiatë, Ògłowi Zarząd Kaszëbskò-Pòmòrszczégò Zrzeszeniô, ë K-PZ ò. Wiôlgò Wies.

Za rok kònferencjë odbãdze sã w stolëcë wejrowszczégò pòwiatë. (-)

Róman Drzéżdżón

Lekcje na szlaku



Podczas wycieczki uczniowie z Czerska zwiedzili m.in. Zakład Ceramiki Kaszubskiej rodziny Neclów w Chmielnie.

Fot. ze zbiorów szkoły

„W samym sercu Kaszub” – to tytuł projektu, realizowanego przez nauczycielki Bogumiłę Milewską i Annę Połom ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Czersku, którego celem jest poznawanie swojej małej ojczyzny m.in. poprzez wycieczki edukacyjne. Jedną z nich, dla uczniów klas VI b i VI d, odbyła się trasą Kartuzy - Sianowo - Chmielno - Steżycza - Szymbark - Sikorzyno - Gołubie.

– Ów wyjazd jako metoda nauczania wydał mi się doskonałą okazją do rozwinięcia u uczniów pewnych zdolności oraz rozbudzenia w nich zainteresowania rodzinnym regionem – mówi pani

Bogumiła. – Pozwolił on o wiele skuteczniej niż inne sposoby korzystać z różnych źródeł informacji, doskonalić umiejętności pracy w zespole. Nauczył dzieci też trochę dyscypliny i wspólnego rozwiązywania problemów.

Podczas wycieczki młodzie ludzie poznali m.in. osobliwości Kartuz (Muzeum Kaszubskie, kolegiatę), Chmielna (Zakład Ceramiki Kaszubskiej Neclów), Gołubia (ogród botaniczny). Zbierali informacje o Kartuzach, a potem robili plakat zachęcający do odwiedzenia tej miejscowości. Na podstawie zbiorów Muzeum Kaszubskiego oraz innych źródeł omówili życie codzienne mieszkańców Kaszub, zaś za pomocą mapy obliczyli odległość dzielącą Czersk od Kartuz. Przygotowali też notatkę o muzeum ceramiki kaszubskiej w Chmielnie, poznali historię tej wsi. Zaznajomili się z etymologią nazw Kartuzy, Chmielno, Necel. Sporo dowiedzieli się o sanktuarium w Sianowie oraz o walorach przyrodniczych i turystycznych okolic Szymbarka, Wieżycy i Gołubia.

Po powrocie do szkoły wykonali mapkę z trasą wycieczki, na której zaznaczyli interesujące miejsca Kaszub. (-)

Oprac. ij

Szlachama Tómk

Tómk Fópka – muzyk, kòpòzytór, spiewówk, autor tekstów, pòëta, dirigent, autór felietonów, wicebùméster... Mógłbë jesz wiele wëmieniwać, ale mést nòlepsze bdze miono: kaszëbsczi dzejòrz. Człowiek òrchestra, chtërny sercã, dëszã ë całã òddóny je kaszëbiznie.

– Skądkaż òn bierze nó to wszëtkò czas? – pitalë sã bëtnicë autorszczégò wieczorë Tomòsza Fópë, jacji odbël sã 21 czerwińca w Lëteracczi Kawnicë „Kolumb” w Pùcku.

Òrganizatorã zéńdzeniô bëła Pòwiatowô Biblioteka Pùblicznô w Pùcku. Tómkówë dokòzë deklamòwałë Dorota Dettlaff ë Piotr Cëskòwsczi, chtërny zinterpretòwałë je pò swòjémù tj. pò bëlòckù.

– Bëło to czekawé doswiòdczenié, czëc jak czëtają mòjë wiérztë lëdze z Nordë – rzekł pòzni bòhatër wieczorë.



Òb czas zéńdzeniô jegò uczestnicë òddichalë kaszëbizną...

Òdj. Rómk Drzéżdżónk

Òkróm pòëticczich recytacjów bëła téz mùltimedialnô prezentacjô sylwetczë autóra „Szlachama kùsków”. Jakno że zrëchtòwòł ją Piotr Cëskòwsczi z Kaszëbszczégò Kabaretë FiF, bëło to przedstawienié baro szpòrtowné.

Zabòwa ë smiëch sã w nòtërze Tómk, temù téz pòproszony ò zaspiewanié jedny ze swòjich pioseneków, wcygnął do zabawë gòsccy, chtërny baro chãtno sã nó to zgòdzëlë (nawetka ti, co spiewac nie lubią). Wszëtcë stalë sã człónkami hiphòpówégò karna, chtërny klaskaniém wëbijalë ritm ë spiewalë refren.

Mòze rzec, że òb czas zéńdzeniô jegò uczestnicë òddichalë kaszëbizną... Kòzden òtrzmòł na pamiątkã kszëczkã pt. „Szlachama Tómk”, chtërna dlò òchłodzeniô sã wachlowalë.

Bëło to ju drëdżë zéńdzenié z kaszëbsczim twórcã zòrganizòwónë przez Pòwiatowã Bibliotekã w Pùcku. Nòstãpnë, chtërnë bdze pòdsùmòwaniém lëteracczégò kònkùrsë dlò dzecy ë młòdziejzë z pùcczi òbëndë, odbãdze sã w rujanie. (-)

Rd

Twórcy na plenerze

XXIV plener twórców ludowych odbywający się w filii Kaszubskiego Uniwersytetu Ludowego w Starbieniu od 18 do 27 czerwca zgromadził 25 osób – rzeźbiarzy, malarzy, hafciarzy.

– Cieszy nas, że uczestnicy pleneru pochodzą z różnych zakątków Pomo-



Nie konia, a łosia na biegunach
wystrugał Zdzisław Grajper z Lęborka.
Fot. Iwona Joć

rza – powiedział Edmund Zieliński, prezes oddziału gdańskiego Stowarzyszenia Twórców Ludowych. – Od powiatów starogardzkiego i tucholskiego, przez gdański, wejherowski, po lęborski, bytowski i koszaliński.

Zwyczajem jest, że organizowanym w KUL plenerom towarzyszą tematy przewodnie. W tym roku Ewa Byczkowska, koordynatorka projektu, rzuciła twórcom hasło: zabawka ludowa. Tego rzeźbiarzem było trzeba! Edward Jastrzębski z Gdyni Babich Dołów przywołał z dzieciństwa drewniane samochody i takowe – mniejsze i większe – stworzył. Janina Gliszczyńska z Przłęśna koło Miastka wystrugała cudną, malowaną w kaszubskie motywy, kołyskę, zaś Zdzisław Grajper z Lęborka wyrzeźbił... łosia na biegunach. Były też samoloty, ludziki, zwierzęta – w tym na kółkach, prowadzone za pomocą kijka.

W osobnym pomieszczeniu nad czepcami i serwetkami pracowały hafciarki. Co ciekawe, motywy kociewskie przenoszą na płótna nie artystki z Kociewia (bo regio-

nalnych tam brakuje, więc i na plenerach ich nie ma), a z... Kaszub. Piękne kociewskie kwiaty „namalowała” na żółtym płótnie Elżbieta Lewandowska z Człuchowa.

Na zakończenie pleneru odbyła się wystawa powstałych podczas niego prac. Twórcy ludowi tradycyjnie zostawili organizatorom po trzy swoje dzieła. W ten sposób w KUL od początku odbywania się plenerów zgromadzonych ich zostało ponad 1200.

Uniwersytet od lat otacza opieką artystów regionalnych. Organizuje dla nich nie tylko plenery, ale też warsztaty z zakresu obrzędowości. W tych ostatnich chętnie uczestniczą również nauczyciele, którzy nabytą wiedzę dzielą się później ze swoimi podopiecznymi. Na tego typu przedsięwzięcia trzeba starać się o dotacje. Zdarzyło się raz, że pleneru nie dofinansowano. Mimo to – na usilne życzenie rokrocznych uczestników – zorganizowano go za KUL-owskie pieniądze. (-)

(ij)

Sztandar nad Kociewiem

Oddział Kociewski Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Pelplinie ma własny sztandar. Uroczystość jego poświęcenia i przekazania odbyła 3 czerwca. Przybyli nań poczty sztandarowe oddziałów ZKP z Bytowa, Gdyni, Gościcina, Karsina-Wiela, Kartuz, Kolbud i Sierakowic, a także delegacje oddziałów, m.in. z Grudziądza i Tczewa. Wśród wielu gości obecny był prof. Brunon Synek – przewodniczący Sejmiku Województwa Pomorskiego i wiceprezes ZG ZKP. Najpierw odbyło się spotkanie na pelplińskim cmentarzu przy grobie Sługi Bożego Biskupa Konstantyna Dominika. Po nim ks. infułat Stanisław Grunt odprawił w katedrze mszę św. Dalszy ciąg uroczystości miał miejsce w Zespole Szkół nr 2. Po wbiciu gwoździ i prezentacji sztandaru oraz wystąpieniach gości przedstawiona została historia miejscowego oddziału Zrzeszenia, który formalnie powstał w 1984 r. Jego początków należy jednak dopatrywać się w końcu lat 60.

Jak zauważył w liście do uczestników uroczystości prezes ZG ZKP Artur Ja-



Obecność pocztów sztandarowych oddziałów ZKP uświetniła pelplińska uroczystość.

Fot. Marek Waldoch

bloński, sztandar oddziału w Pelplinie jest pierwszym zrzeszeniowym na Kociewiu.

Znany pomorski historyk i badacz kultury Ryszard Szwoch przedstawił pierwszy tom „Słownika biograficznego Kociewia” swojego autorstwa. W części artystycznej wystąpiły zespoły prezentujące folklor Kaszub (Ślunowska z Kartuz) i Kociewia (Modraki z Pelplina). Doszło w ten sposób do symbolicznego połączenia dwóch regionów. Warto pamiętać, że poczucie wspólnoty kaszubsko-kociewskiej jest w Pelplinie niezwykle silne (z Kaszub pochodził długoletni proboszcz parafii katedralnej, a zarazem wybitny uczony ks. Bernard Sychta – autor „Słownika kaszubskiego” i „Słownika kociewskiego”).

Uczestnicy spotkania wielokrotnie przywoływali postać byłego prezesa oddziału Jerzego Henryka Demskiego, który podczas wizyty Ojca Świętego Jana Pawła II w Pelplinie (6 czerwca 1999 r.) zdecydował o pozyskaniu sztandaru. Niestety, nie doczekał on uroczystości. Zmarł po ciężkiej chorobie dzień przed nią. (-)

(red.)

Pół wieku dla ludzi

Trudno wyobrazić sobie Pomorze bez abp. Tadeusza Gościńskiego. Zawsze wśród ludzi, zawsze tam, gdzie dzieją się rzeczy ważne. Owo „zawsze” to pięćdziesiąt lat posługi duszpasterskiej,



Janina Gliszczyńska ze swoją kołyską
Fot. Iwona Joć



Złoty jubileusz stał się okazją do spojrzenia wstecz i docenienia raz jeszcze zasług abp. Tadeusza Gocłowskiego dla Pomorza.
Fot. Leonard Szmaglik

w czasie których związał się z ziemią pomorską na dobre i złe.

Rodzinne strony metropolity gdańskiego są jednak z dala od Pomorza. Urodził się w 1931 r. w Piskach niedaleko Ostrołęki, w rodzinie reemigrantów ze Stanów

Zjednoczonych. Po ukończeniu gimnazjum księży misjonarzy w Krakowie, wstąpił do ich zakonu. Świecenia kapłańskie przyjął 24 czerwca 1956 r. Studiował na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, a także w Rzymie, gdzie w 1970 r. obronił rozprawę doktorską.

Na przełomie lat 70. i 80. był provinciale Zgromadzenia Misjonarzy. Kilkakrotnie pełnił funkcję rektora seminarium duchownego w Gdańsku.

W 1983 r. otrzymał sakrę biskupią, zaś rok później, po śmierci bp. Lecha Kaczmarka, objął rządy w diecezji gdańskiej. Od 25 marca 1992 r. jest arcybiskupem metropolitą gdańskim.

Szczególny dług wdzięczności wobec jubilata mają Kaszubi.

– Tadeusz Gocłowski wprowadził rodną mowę do liturgii, pielgrzymował z nami do Ziemi Świętej, aby poświęcić tablicę z kaszubskim tekstem Ojcie Nasz,

przyczynił się do zaakcentowania obecności Kaszubów podczas papieskich mszy św. w Gdyni i Sopocie – przypomina Artur Jabłoński, prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Otwartość na ich potrzeby sprawiła, że od dawna uważają go „za swego”.

Metropolita gdański pełni równie znaczącą rolę w ogólnopolskim życiu religijnym i społecznym. Uczestniczył w poprzedzających Okrągły Stół negocjacjach w Magdalence, zasiada w Radzie Stałej Konferencji Episkopatu Polski, współprzewodniczy Komisji Wspólnej Episkopatu i Rządu.

Uroczyste obchody 50. rocznicy przyjęcia przez T. Gocłowskiego święceń kapłańskich odbyły się 17 czerwca w katedrze w Oliwie. Licznie wzięli w nich udział hierarchowie kościoła oraz przedstawiciele władz państwowych i samorządowych. (–)

(red.)

Gdańsk, 16 czerwca 2006 r.

**Jego Eminencja
Arcybiskup Metropolita Gdański
Tadeusz Gocłowski**

Wielce czcigodny Księżu Arcybiskupie

W imieniu wszystkich Zrzeszonych i swoim własnym, w dniu jubileuszu 50-lecia kapłaństwa składam przede wszystkim życzenia błogosławieństwa Bożego na kolejne lata posługi arcybiskupiej, na chwałę Bogu i ku pożytkowi nas, członków wspólnoty katolickiej. Niech Opatrzność darzy Eminencję zdrowiem i wszelkimi potrzebnymi łaskami.

Ten piękny jubileusz jest też okazją do złożenia Eminencji podziękowań za wszelkie dobro jakie nas, członków Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, całą społeczność Kaszubów i Pomorzan spotkało ze strony Księdza Arcybiskupa. A było tego niemało. Niech mi będzie wolno wspomnieć tylko troskę, jaką Jego Eminencja okazuje tak ważnej dla Kaszubów sprawie liturgii słowa w naszym języku oraz wspólną miłą pielgrzymkę do Ziemi Świętej, podczas której odsłonił tablicę z kaszubskim Ojcie Nasz w kościele Pater Noster w Jerozolimie.

Mamy także świadomość, że to dzięki Jego Eminencji Kaszubi stali się tak bliscy Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Dziękujemy za Gdynię, Zaspę i Sopot, a w szczególności za słowa, jakie w tych miejscach padały. Zawsze spotykaliśmy się z życzliwością i wsparciem Eminencji w chwilach trudnych i radosnych.

Polecając Eminencję raz jeszcze Bożej Opatrzności pozostaję z szacunkiem i wdzięcznością

**Artur Jabłoński
Prezes Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego**

Druha stanica dla rumskiego partu

Niedziela 11 czerwca była dla rumskich zrzeszeńców oraz sympatyków regionu dniem niezwykłym. Obchodzili oni 25-lecie działalności oddziału, który powstał 2 czerwca 1981 r. na fali nadziei na społeczeństwo obywatelskie, rozbudowanych po Sierpniu '80.

Jubileuszowe uroczystości rozpoczęły się mszą św. w kościele pw. Podwyższenia Krzyża Świętego. Przewodniczył jej wikariusz generalny archidiecezji gdańskiej ks. infułat Wiesław Lauer, który poświęcił nowy sztandar, zaprojektowany przez Wawrzyńca Sampa. Zastąpił on dotychczasowy, który po 18 latach wielokrotnych prezentacji, mocno się zużył, a dodatkowo stracił częściowo na aktualności ze względu na zmianę herbu miasta. Kaszubskie kazanie wygłosił ks. prałat Stanisław Megier, a oprawę muzyczną zapewnił chór Rumianie.

W świecie uczestniczyli licznie poczty sztandarowe Zrzeszenia oraz rumskiego Gimnazjum nr 2. Przybyli też prezes ZKP Artur Jabłoński, senator Edmund Wittbrodt, przewodniczący Rady Powiatu Wejherowskiego Kazimierz Bistrón

oraz burmistrz Rumi Elżbieta Rogala-Kończak.

Ważnym akcentem obchodów było odsłonięcie przy zabytkowym cmentarzu tablicy-kalendarium zawierającej historię najstarszej rumskiej parafii oraz kolejnych znajdujących się w tym miejscu świątyń.

25-lecie oddziału było okazją do podsumowania dotychczasowych działań. Wśród nich wspomnieć należy przedsięwzięcia, które odcisnęły pozytywne piętno na obliczu miasta: nadanie jednej ze szkół imienia Aleksandra Majkowskiego, odbudowa kapliczki patrona Starej Rumi, postawienie pomnika Mściwoja II, upamiętnienie tablicą zamordowanego w Piaśnicy wójta Hipolita Roszczynialskiego. Oddział może też się pochwalić piękną, własną siedzibą – „Świątópółkiem”.

Rumski part należy obecnie do najliczniejszych, najbardziej prężnych w Zrzeszeniu. W lipcu jego członkowie planują autokarową wycieczkę do wdzydzkiego skansenu na obchody 100-lecia jego powstania oraz na wielewską kalwarię. W tym samym miesiącu zorganizują Kaszubską Biesiadę dla zrzeszeniowych oddziałów z Małego Trójmiasta Kaszubskiego, która odbędzie się w parku przy Zagórskiej Strudze. Zaś w pierwszą niedzielę sierpnia już po raz trzynasty, wspólnie z Miejskim Ośrodkiem Sportu i Rekreacji, zapraszają na Jarmark Kaszubski. (-)

Jerzy Hoppe

Cennik reklam i tekstów promocyjnych		
Miejsce	Format	Ceny netto w zł
Okladka tylna barwna	180x260	5000
Okladki wewnętrzne	180x260	
a) barwne		4000
b) czarno-białe		2000
Dwie strony wewnętrzne		
(rozkładówka)	2x180x260 lub 390x260	
a) barwne		6000
b) czarno-białe		3000
Strona czwarta i następne (poza rozkładówką)		
czarno-białe	180x260	1000
1/2 strony	86x260	500
1/4 strony	86x130	200
1/8 strony	86x65	100
Teksty promocyjne – dostarczane przez zlecającego (ceny jak wyżej). Opracowanie redakcyjne (stylistyczne) tekstu bezpłatne. Na stronie mieszczą się 3-4 strony znormalizowanego maszynopisu (zależnie od rodzaju członki). W tekstach sponzorowanych istnieje możliwość zamieszczenia znaków graficznych. Jeśli znak jest wielobarwny, cena kalkulowana jest jak reklama kolorowa. Do cen należy doliczyć podatek VAT.		

Odcinek dla poczty		Odcinek dla banku		Odcinek dla posiadacza rachunku		Potwierdzenie dla wpłacającego	
zł..... gr.....	zł..... gr.....	zł..... gr.....	zł..... gr.....	zł..... gr.....	zł..... gr.....	zł..... gr.....	zł..... gr.....
słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający	słownie złotych Wpłacający
na rachunek	na rachunek	na rachunek	na rachunek	na rachunek	na rachunek	na rachunek	na rachunek
Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863	Redakcja „Pomeranii” ul. Straganiarska 21-22 80-837 Gdańsk Konto: Bank Millennium 41 1160 2202 0000 0000 5171 0863
datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.	datownik podpis, przyjm.
opłata	opłata	opłata	opłata	opłata	opłata	opłata	opłata
Wypełnić na odwrocie		Wypełnić na odwrocie		Wypełnić na odwrocie		Wypełnić na odwrocie	



"Pomeranię" w 2006 r.
pojedynczy numer 6 zł
półroczne (kraj) – 36 zł
półroczne (zagranica) – 72 zł
cały rok (kraj) – 70 zł
cały rok (zagranica) – 135 zł



"Pomeranię" w 2006 r.
pojedynczy numer 6 zł
półroczne (kraj) – 36 zł
półroczne (zagranica) – 72 zł
cały rok (kraj) – 70 zł
cały rok (zagranica) – 135 zł



"Pomeranię" w 2006 r.
pojedynczy numer 6 zł
półroczne (kraj) – 36 zł
półroczne (zagranica) – 72 zł
cały rok (kraj) – 70 zł
cały rok (zagranica) – 135 zł



"Pomeranię" w 2006 r.
pojedynczy numer 6 zł
półroczne (kraj) – 36 zł
półroczne (zagranica) – 72 zł
cały rok (kraj) – 70 zł
cały rok (zagranica) – 135 zł

Opłata za:

Opłata za:

Opłata za:

Opłata za:

Członkowie ZKP

W Senacie (podano główne biura senatorów)
Dorota ARCISZEWSKA-MIELEWCZYK, PO, 81-388 Gdynia, ul. Świętojańska 90/2 • **Maciej PŁAŻYŃSKI**, wicemarszałek Senatu, 80-838 Gdańsk, ul. Szeroka 80-81 • **Edmund WIT-BRODT**, PO, wiceprzewodniczący Komisji Spraw Unii Europejskiej, 81-352 Gdynia, ul. Abrahama 42

W Sejmie

Jerzy BUDNIK, PO, Wejherowo
Kazimierz KLEINA, PO, wiceprzewodniczący Komisji Mniejszości Narodowych i Etnicznych, Łeba
Stanisław LAMCZYK, PO, Somonino
Kazimierz PLOCKE, PO, Klanino, gm. Krokowa
Jarosław SELLIN, PiS, wiceminister kultury i dziedzictwa narodowego, Warszawa
Donald TUSK, przew. klubu parlamentarnego PO, Sopot
Jan WYROWIŃSKI, członek gabinetu cieni (Skarbnictwa) PO, Toruń

W Sejmiku Województwa Pomorskiego
Andrzej GRZYB, PO, Czarna Woda • **Tadeusz HAASE**, PO, Karczemki, gm. Szemud • **Kazimierz KŁAWITER**, PiS, Rumia • **Jan KULAS**, przew. klubu radnych PO, Tczew • **Franciszek MARSZAŁK**, Samoobrona, Kartuzy • **Marcin PLIŃSKI**, PO, Sopot • **Mieczysław STRUK**, PO, wicemarszałek województwa, Jastarnia • **Brunon SYNAK**, PO, przew. Sejmiku, Gdańsk

Przew. rad powiatów i ich zastępcy

Kartuski: **Edmund KWIDZIŃSKI** • Pucki, zastępca: **Tadeusz KLEBBA** i **Mieczysław KONKOL** • Słupski, zastępca: **Stanisław JANK**, PSL • Wejherowski: **Kazimierz BISTRON** i **Ludwik BACH**, PO

Starostowie powiatów i ich zastępcy

Bytowski: **Michał ŚWIONTEK BRZEZIŃSKI** i **Roman BOROWSKI**, PSL • Chojnicki: **Marek BUZA** • Człuchowski: **Aleksander GAPPA** • Gdański: **Bogdan DOMBROWSKI** • Kartuski: **Janina KWIECIEN** • Lęborski, zastępca: **Ryszard WENTA** • Pucki: **Artur JABŁOŃSKI** • Wejherowski, zastępczyni: **Gabriela LISIUS**

Prezydenci miast i ich zastępcy

Gdańsk: **Paweł ADAMOWICZ**, PO i **Szczepan LEWNA**, PO • Słupsk: **Maciej KOBYLIŃSKI**, SLD • Sopot: **Jacek KARNOWSKI**, PO • Wejherowo: **Krzysztof HILDEBRANDT** i **Bogdan TOKŁOWICZ**

Burmistrzowie miast i ich zastępcy

Chojnice: **Arseniusz FINSTER** i **Józef POKRZYWNICKI** • Hel: **Mirosław WĄDOŁOWSKI**, PO • Jastarnia: **Tyberiusz NARKOWICZ**, SKL • Kościerzyna: **Zdzisław CZUCHA**, PO i **Marek MODRZEJEWSKI**, PO • Lębork, zastępca: **Włodzimierz KLATA** • Łeba: **Halina KLIŃSKA** • Reda: **Stanisław WICKI**, PO • Rumia: **Elżbieta ROGALA-KOŃCZAK**

Burmistrzowie miast i gmin i ich zastępcy

Brusy: **Jerzy FIJAS**, PO i **Władysław CZARNOWSKI** • Bytów: **Stanisław MARMOŁOWSKI** • **Jerzy BARZOWSKI** i **Ludwik LENC** • Kartuzy: **Mieczysław GOŁUŃSKI** i **Ryszard MIELEWCZYK** • Pelplin: **Andrzej STANUCH** • Żukowo: **Albin BYCHOWSKI** i **Tomasz FOPKE**

INFORMATOR REGIONALNY

Wójtowie gmin

Chmielno: **Zbigniew ROSKOWSKI** • Dębica Kaszubska: **Grzegorz GRABOWSKI**, PSŁ • Karsin: **Roman BRUNKE** • Koczala: **Bernard MROZOWSKI**, SLD • Kosakowo: **Jerzy WŁUDZIK**, SLD • Lipnica: **Leopold JANKOWSKI**, PSŁ • Lipusz: **Janusz NIEWIAROWSKI** • Luzino: **Jarosław WEJER**, PO • Parchowo: **Władysław LANGOWSKA**, PO • Przdokowo: **Andrzej WYRZYKOWSKI** • Rzeczenica: **Lech JABŁŃSKI** • Sierakowice: **Tadeusz KOBIELA**, PO • Somonino: **Mieczysław FLISIKOWSKI** • Stara Kiszewa: **Józef CZAPIEWSKI**, PSŁ • Szemud: **Zbigniew ENGELBRECHT** • Tuchomie: **Jerzy LEWI KIEDROWSKI**

Stale kaszubskie msze święte

W każdą niedzielę

WŁADYSŁAWOWO, ul. Żeromskiego 32, g. 14, celebryści zmieniający się

Raz w miesiącu

BANINO, gm. Żukowo, ost. niedz., g. 10.30, ks. kanonik Roman Janczak • **CHWASZCZYNO**, gm. Żukowo, 3. niedz., g. 13.15, ks. kanonik Czesław Jakusz Gostomski

GDĄŃSK, kościoły: św. Jana, kaplica, **Główne Miasto**, zaulek Z. Zappio, 2. niedz., g. 11, ks. Waldemar Naczek • **Piecki Migowo**, ul. Piecowska 9, ost. niedz., g. 13, ks. kanonik Wojciech Chistowski i ks. Roman Skwiercz • **NMP, Przymorze**, pl. NMP 1, 1. wt., g. 19.15, ks. Waldemar Naczek. *Po mszach spotkania*

GOYNIA Babie Doły, ul. Rybaków 2B, ost. niedz. g. 12.15, ks. Edmund Skierka • **Cisowa**, ul. Kcyńska 2, 1. niedz., g. 7, ks. kanonik Stanisław Megier • **Oksywie**, ul. Plk. Dąbka 1, 2. niedz., g. 18, ks. Piotr Dobek • **Pogórze Górne**, ul. Porębskiego róg ul. Sikorskiego, 3. niedz., g. 8, ks. Marian Kozyrkowski • **Wielki Kack**, ul. Źródło Marii 18, 2. niedz., g. 8, ks. prałat Ryszard Kwiatek

KARTUZY, ost. niedz. miesiący nieparzystych: os. Wybickiego 34, g. 12, ks. prałat dr Marek Trybowski • parzystych: ul. Klasztorna 5, g. 12.15, ks. kanonik Piotr Krupinski

KOŚCIERZYNA, ost. niedz., g. 18 w miesiącach nieparzystych: ul. Kościelna 5, ks. prałat Marian Szczepiński • parzystych: ul. Świętojańska 10, ks. Zbigniew Węsierski

LEBORK, 1. niedz. miesiący nieparzystych: ul. Basztowa 8, g. 15, ks. prałat Alfons Formela • parzystych: ul. Kaszubska, g. 15, ks. Henryk Kreft

LIPUSZ, 2. niedz., g. 15, ks. kanonik Jan Ostrowski • **PREGOWO**, gm. Kolbudy, 1. niedz., g. 15, ks. Piotr Gruba • ks. Zygmunt Słomski, *po niektórych mszach spotkania* • **PRZODKOWO**, ost. niedz., g. 11, ks. Wacław Mielewicz • **SIANOWO**, gm. Kartuzy, 2. niedz., g. 9, ks. Waldemar Piepiórka • **SOPOT**, ul. 3 Maja 49, 3. niedz., g. 15, ks. prałat Stanisław Dulak; *po mszy spotkanie* • **WEJHEROWO**, ul. Sobieskiego róg ul. 3 Maja, ost. niedz., g. 12.30, ks. Zenon Pipka • **ŻUKOWO**, ul. Klasztorna 4, 2. niedz., g. 11.30, ks. Piotr Gruba

Dziesięć razy w roku

LUZINO, MB Różańcowej, ost. niedz. miesiący: II-XI, g. 17, ks. Sławomir Drzędzon

WYGODA, gm. Stężycza, 1. niedz. miesiący: I-VI i IX-XII, g. 11, ks. kanonik Bogdan Drozdowski

Dziewięć razy w roku

GDĄŃSK Osowa, ul. Wodnika 50, 3. niedz. miesiący: I-VI i IX-XII, g. 18, ks. Wiesław Szlachetka • **MIASTKO**, pl. Jana Pawła II, ost. czw. miesiący: I-VI i IX-XI, g. 19, ks. Tadeusz Kanthak • **RUMIA**, 2. lub 3. niedz. miesiący: II-VI i IX-XII (adresy kościołów i bliskie miejsca): centrum, ul. Dąbrowskiego 28, IX i XII (+ oplata), g. 14.30 • **Zagórze**, ul. Podgórna 1, X, g. 14 • **Janowo**, ul. Stoczniovców 23, XI, g. 14 • **Biała Rzeką**, ul. Sędzickiego 62, II 2007, g. 14.30 • **Stara Rumia**, ul. Kościelna 20, III 2007, g. 12.30; ks. kanonik Stanisław Megier

Osiem razy w roku

REDA Ciechocino, ul. Nowa 3, 2. niedz. miesiący: II i XI, g. 12.30 • centrum, ul. Fenikowskiego 4, 3. niedz. miesiący: III i IX, g. 12 • **Rekowo Dolne**, ul. Kościelna 18, 2. niedz. miesiący: IV i X, g. 13 • centrum, ul. Gdańska 3, 2. niedz. miesiący: VI i XII, g. 12.30; ks. kanonik Stanisław Megier

Cztery lub trzy razy w roku

BYTÓW, pl. Kard. Wyszyńskiego, 3. niedz. kwartalu, g. 13, celebryści zmieniający się: *po mszy spotkanie* • **SŁUPSK**, ul. Dominikańska 9, 2. niedz. miesiący: II, V, VIII i XI, g. 14, ks. Roman Skwiercz; *po mszy spotkanie w Oddziale ZKP*, ul. Jaracza 6 • **STRZEBIELINO**, gm. Łęczycze, 4. niedz. miesiący: III, VI i IX, g. 12, ks. kanonik Stanisław Bach

Księża Kaszubi na Kaszubach

(Bez miejscowości podanych powyżej)

Diecezja Pelplińska

BORZYSZKOWY, gm. Lipnica, ks. Jan Flisikowski • **BOŻEPOLE WIELKIE**, gm. Łęczycze, ks. prałat Alfons Formela • **BRODNICA GÓRNA**, gm. Kartuzy, ks. Kazimierz Benkowski • **CHOJNICE**, ks. prałat Henryk Cyrzan i ks. kanonik Jacek Dawidowski • **CZŁUCHÓW**, ks. Wojciech Naczek • **GŁÓWCZYCE**, ks. Tadeusz Stromski • **GNIEWINO**, ks. Marian Miotk • **GORECZYNO**, gm. Somonino, ks. kanonik Hubert Kitowski • **GRABOWO KOŚCIERSKIE**, gm. Nowa Karczma, ks. Alfons Grzenia • **GRZYBNO**, gm. Kartuzy, ks. Piotr Brzeski • **KLUKOWA HUTA**, gm. Stężycza, ks. Eugeniusz Grzędzicki • **LINIEWO**, ks. Grzegorz Flisikowski • **ŁĘBA**, ks. Zenon Mysz • **ŁĘCZYCE**, ks. Piotr Treder • **MIRACHOWO**, gm. Kartuzy, ks. Bogdan Mysz • **NAKLA**, gm. Parchowo, ks. Stefan Flisikowski • **NIEDAMOWO**, gm. Kościerzyna, ks. Dariusz Wiczling • **NIESTĘPOWO**, gm. Żukowo, ks. Alojzy Weltrowski • **NOWA KARCZMA**, ks. Jan Sperewka • **POMYSK WIELKI**, gm. Bytów, ks. Wojciech Hapka • **PÓŁCZNO**, gm. Studzienice, ks. Mariusz Szyca • **REKOWNICA**, gm. Nowa Karczma, ks. Zbigniew Wysiecki • **SOMONINO**, ks. kanonik Stefan Rychert • **UGOSZCZ**, gm. Studzienice, ks. Bolesław Liss • **WIELE**, gm. Karsin, ks. Eugeniusz Filipski

Archidiecezja Gdańska - w nast. numerze

Stale audycje i artykuły

Radio KASZEBE

Puckie 98,9, a wejherowskie, kartuskie i część Trójmiasta 92,3 FM: **RAMÓWKA** (bez nocy): PON-PIĄT.: g. 6-10, **Budzenie** • g. 10-14, **Sluchaj z nami** • g. 14-18, **Na widniku Kaszëb** • g. 18-21, **Gospoda pod Żubrem** • g. 21-23, **Na fali Radia Kaszëb** • SOB.: g. 6-18 jak pon.-piąt. • g. 18-20, **Przeboje** • g. 20-24, **Baw się z nami** • NIEDZ.: g. 6-11 jak pon.-piąt. • g. 11-15, **Bedeke Radia Kaszëb** • g. 15-19, **Na widniku Kaszëb** • g. 19-23, **Piosenki** • **STAŁE AUDYCJE**: NIEDZ.: **Kaszubska msza święta**, g. 14 • **CODZ.**: **Kleka** (pl.) i **pogoda**, g. 6.55, 7.55 itd. do 17.55 • **Prasa**, g. 7.15 i 9.15 • **Inf. drogowe**, g. 10.03 i 14.03 (bez niedz.) • **Wiadomości kulturalne**, g. 10.15 i 14.15 (bez niedz.) • **Rébacczewiodro**, g. 13.15 i 20.15 • **Kleka** (kasz.), g. 13.25 • **Czëjże czëc?**, g. 16.15

Radio Gdańsk

103,7, a bytowskie, chojnickie i człuchowskie 107,0, lęborskie 91,1, słupskie 102,0 FM: **Pomorzew Unii**, pon., g. 16.20-16.25 • **Kleka**, pon./wt. do piąt./sob., g. 21.45-21.53 (czw., g. 21.50-21.58) i 0.09-0.17 oraz część audycji: g. 5.25-5.28. **Czasowo określone inne audycje, np. sportowe, eliminują daną Klekę** • **Pomorzew sieci**, wt. i piąt., g. 14.40-14.43 • **Mitologia kaszubska**, czw., g. 15.20-15.24 i 15.43-15.47 • **Mag. kociewski lub żuławski**, niedz., g. 7.05-7.35 • **Na bótach e w borach**, g. 8.05-9. *M.in. powtórzenia części Klek*

Radio 92,3

Dawne te województwa, ale-lęborskie, a m.in. + chojnickie i kociewskie 103,1 FM: **Wiodro na weekend**, piąt., g. 16.03-16.05 • **Serwis kaszubski**, niedz., g. 6.03-6.08 • **Muzyka**, m.in. kaszubska, g. 6.35-7 • **Mag. kaszubski**, g. 21.45-22

Inne RADIA

GŁOS, Pelplin: 91,4, a chojnickie 97,1 FM: **Aniol Pańszczy**, czw., g. 12-12.10 i 18-18.10 • **Różaniec**, g. 20.45-21.25 • **Audycja kaszubska**, 2. niedz. miesiąca, g. 20.20-20.40

EtnoRadio: www.etnoradio.prv.pl lub www.etno-radio.tk, **Wieczór kaszubski**, śr., g. 18-20

TVP 3

ODDZ. GDĄŃSK: Magazyn słupski, pon., g. 17.50-18 i 22-22.10 • **Rodnó ziemia**, śr., g. 18.30-19 i niedz., g. 20.20.30 • **Kaszëbë**, 2. i 4. pon. i niedz. miesiąca, g. 18.30-19.00. *Część drukowanych programów pomija ww. audycje*

PASMO WSPÓLNE: **Etniczne klimaty** lub **Małe ojczyzny**, sob., g. 10.45-11.27

Dziennik Bałtycki

Strona NORDA oraz **HERBARZ SZLACHTY KASZUBSKIEJ** w piątkowych dodatkach: **Dziennik Bytowski** • **Dziennik Chojnicki** • **Tygodnik Kartuzy** • **Gryf Kościerski** • **Echo Ziemi Lęborskiej** • **Gryf Łużyński** • **Dziennik Miasteczki** • **Echo Ziemi Puckiej** • **Goniec Rumski** • **Dziennik Sierakowicki** • **Gryf Wejherowski** Kow.



Rómk Drzéždžónk

Chcemë le so zažëc

Ležnosców do zažiwanjô tobaczi Kaszëbi mają wiele. Tu a tam są spòtikają, czë to na kòferencjach, zéndzeniach, festinach, czë zjôzdach wszelejaczich. Sqsad z sqsadã, tatk z sënã, nënka z córkã, ómka z ópkã, gbùr z rëbókã, ùrzãdnik z robòtnikã, czej le kask czasë nalëzã, tej zarôzka jeden drëdžémù na rãkã stolemny priz proszkù sëpie.

A jak są spòtikają, tej rôd ze sobã kòrbiã. Żebë mądrze gadac, co sztót brunã grëpkã „diabelsczegò proszkù” w knërë wcygają. Tej ne kòrbiónczi za-žiwajków, nietobaczacëch cëzyńców, wiòlgã mądroscã zadzywiają. Jim wicy wcygają, tim mądrzi plestają. Co pòwòniają, tim słowa rozëmniészë lëpë gòdają.

Kaszëbi bëłno wiedzą, jak rozëm rozwidnic, bë glëpòt nie gadac. Niejeden zdzywòwóny są pitò: Jakùż to tak? Jeżlë Kaszëbi taczì bëłny mëtél na mądrosc mają, tej czëmùż jejich nòród tak mało słòwnëch pòlitików, nòùkòwców, pisòrów czë jinszëc artistów wëdòł. Pròwda je takò: bò skrómný są. W co drëdži chëczy kaszëbsczì Ajnsztajn, Lumier, Edisón czë jinszi Wiktór Égò żëje, leno że òni w swi mądroscë cëchò sedzã, bò wiedzą, że jak są swiatu òbjawia, tej spòkòju nijak miec nie mą mielë. A Kaszëba lubi cëszã, ùbëtk, spiëw ptòchów, wschòdë ò zachòdë słuńca, gwiondów mërganië a mòrszczich wałów szëmienië. Nie, nie dlò nëch swiatowé żëcé.

Skąd tobaka na Kaszëbach są nalazła? Wiele lëdzy mëszi, że jã pùrtk, na pòkùszenië bógòbójnëch Kaszëbów, przëniòsł. Le to nie je pròwda. Tobaka prost z Americzi pòchòdò, a przëwiozlë ją stamtądka kaszëbsczì żeglòrze, co nen wiòldzi a bógati kòntinent przòdë lat dlò Òjropejcików òdkrëłë. Dòwno to bëłò, temù dzysò ò tim ju nicht nie pamiãtò. Jak są czegòs nie wië, tej nòlepi je diòchlòwi wszëtkò przëpisac.

Teròzka tobakã kùpiò są, fejn w plastik zapakòwónã, w krómie. Wstid a sromòta! To doch nie je dlò kaszëbszczich nosów, żebë ze sztëcznégò òpakòwaniò zažiwalë. To je procëm nòtërze a zwëkòwi. Z krowégò roga zażëwac mùszi! Òd biédë z drzewiany, czë glënianny tobaczërë téż wëpòdò.

Jo, to są tak letkò rzeczé: z roga. Leno skądkaż tak cos wyc. Czasã mòże w krómie kùpic, ale do tegò szczescë mùszi miec, bò wnetka wszëtczë, letnicë za cãżczë dëtëczy, do se wëwòzają. To je taczì kaszëbsczì ekspòrtowi towòr. Mòże téż ùjach-towac rogòwã tobaczërã na stojiszczach òb czas festinów.

Mùs są z zakùpã rózka spieszëc, bò za czile latów za żòdnë pieniãdze są jegò nie dostónie. Kna-gów coròz mni, a ne co jesz żëją, rodzi mają taczë jaczës lebawë, bò skòżonym żòrcëm są futrowónë.

Tëż ne ùnijné przepisë w rozwiu rogarstwa feste przeszkòdzają. A to temù, że wszëtkò, co z krowë pòchòdò, a na wòrsztã czë miãso przeròbie są nie dò, zùtilizowac, czëlë zlikwidowac mùszi. Temù téż rodzi w krematorium w lëft jidã.

Czëc bëłò, że karno lëdzy ùmëslëłò so wpisać krowi rózczì na lëstã regionalnëch produktów. Jo, ùdba je dobrò, leno... Jak to w naszym kraju biwò, zaròzka do ti sprawë pòwòlónëch òstónie sto kòmisjów, jaczë mą bez trzë lata nad tim debatowalë. Pòtémù tzw. Fiskùs dòłòzi pòdatk, Zusëlc téż swòj wzątk mdze chòł miec, a zelony ekòlodzë protestowac bądã, żebë Kaszëbi biédnëm knagóm rogów nie ùrżinalë (cëż z tegò, że robiã to pò smiercë krowë, wedle animalsów ùrżinanië to je ùrżinanië).

Ach jo, chcemë le so zažëc! (-)

belok@op.pl

Ścinanie kani

Łączyńska Huta, 24.06.2006 r.



**1/2 LITRA PIWA ZAWIERA 25 GRAMÓW
CZYSTEGO ALKOHOLU ETYLOWEGO**

**SPRZEDAŻ ALKOHOLU OSOBOM
DO LAT 18 JEST PRZESTĘPSTWEM**

ŻUBR OBCHODZI KASZUBY



Super imprezy z gwiazdami

na Złotej Górze k/Kartuz

02.07 Truskawkobranie

10.09 II Kaszubskie Święto Piwa

Zapraszamy na wspólną zabawę!

01.07	VIII Zjazd Kaszubów Gdynia Skwer Kościuszki	05.08	Władysławowo Port Rybacki
01.07	Władysławowo Port Rybacki	06.08	Ostrzyce Centrum (parking)
08.07	Jastarnia Port Rybacki	12.08	Sierakowice Amfiteatr Szerokowidze
09.07	Bytów Zamek i Stadion Miejski	20.08	Wejherowo Amfiteatr Miejski
15.07	Kuźnica Port Rybacki	26.08	Władysławowo ul. Gdańska
19.07	Karwia ul. Kolorowa	27.08	Sierakowice Amfiteatr Szerokowidze
22.07	Kartuzy Park Solidarności	02.09	Władysławowo Port Rybacki
23.07	Wejherowo Amfiteatr Miejski	03.09	Somonino Stadion „Radbur”
30.07	Chałupy ul. Kaperska		

Żubr obchodzi 50-lecie ZKP 18 festynami na całym Kaszubach

